



*Karen Robards*



*Urojenia*

*Peter, ta książka jest dla Ciebie, w dowód uznania za  
skończenie studiów na Uniwersytecie Waszyngtona w Saint  
Louis.*

*Christopher, ta książka jest dla Ciebie, w dowód uznania za  
Twoje sukcesy.*

*Jack, ta książka jest też dla Ciebie, za to że jesteś  
wspaniałym synem.*

*Gratuluje, Panowie, oby tak dalej. Mama jest z was dumna.*

## *Podziękowania*

Pragnę podziękować wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tej książki: mojemu mężowi, Dougowi, za to, że zawsze jest przy mnie i dba o nasze codzienne sprawy, w ramach wspierania procesu twórczego; moim synom, za to, że dzięki nim się uśmiecham (a czasem płaczę); mojemu agentowi, Robertowi Gottliebowi, za jego starania; wspaniałemu wydawcy, Christine Pepe, wcieleniu cierpliwości i skarbnicy dobrych rad; Leslie Gelbman, Karze Welsh oraz wszystkim przyjaciołom z Berkeley; Stephanie Sorensen, która znakomicie zna się na promocji; oraz Ivanowi Heldowi wraz z całą ekipą Putnama, z wyrazami wdzięczności za miłe słowa i wsparcie.

# *Na początku...*

*8 czerwca 2005*

Nick, Nickiiii! Jesteś tam? Mam kłopoty. Naprawdę poważne kłopoty.

Agent specjalny FBI Nick Houston odsłuchiwał wiadomość, stojąc w kuchni swojego niedużego domu w Aleksandrii w stanie Wirginia. Pochylił głowę i potarł nerwowo kark. Ogarnęło go śmiertelne zmęczenie. Była środa tuż po jedenastej wieczór, miał za sobą wyjątkowo ciężki dzień. Zeznawał na procesie byłego informatora, który pracował dla niego ponad rok. Mimo współpracy oskarżonego i wstawiennictwa Nicka sędzia pozostał nieugięty i wydał wyrok dziesięciu lat w więzieniu federalnym. Córka staruszka omal nie zemdląca na sali sądowej, usłyszawszy werdykt. Resztę dnia Nick spędził na użeraniu się z najdroższymi prawnikami w mieście, którzy próbowali zrobić z niego kozła ofiarnego, kiedy zeznawał w innym procesie związanym z tą samą sprawą. Wypełnił dziesiątki formularzy, przedarł się przez stosy papierów piętrzących się po zamknięciu każdej podobnej sprawy, a potem, kiedy już wracał do domu, wezwali go do interwencji, podczas której zginęła jedna osoba.

Kolejny zwykły szary dzień roboczy jednego z wielu niedocenianych i źle opłacanych przedstawicieli amerykańskich organów ścigania, pomyślał. Ostatnie, czego dziś potrzebował, to wiadomość od siostry.

- Zadzwoił do mnie jakiś facet i powiedział, że Keith może przeze mnie stracić pracę. Mam mu dostarczyć kopie wszystkiego, co macie na temat jakiegoś sędziego, albo zwierzchnicy Keitha dowiedzą się o moim... - głos jego siostry załamał się - ...uzależnieniu od narkotyków.

Nick patrzył w osłupieniu na telefon. To był ich mały wstydlivy sekret rodzinny. On, Allison i jej mąż, Keith Clark, szef oddziału FBI

do zwalczania przestępstw gospodarczych oraz przełożony Nicka, strzegli go jak oka w głowie. Gdyby wieści o skłonnościach jego siostry (była alkoholiczką, a prócz tego nie trafiła jeszcze na narkotyki, który by jej nie przypadł do gustu, choć zdecydowanie preferowała kokainę) przedostały się do ogólnej wiadomości, Keith najprawdopodobniej musiałby odejść ze służby. Nie powinien pracować w organach ścigania, jeśli za sprawą żony jest idealnym obiektem szantażu.

- Możesz przyjechać? Kiedy tylko odsłuchasz wiadomość. Bardzo cię potrzebuję. Nie mam pojęcia, co robić. Zdaję sobie sprawę, że powinnam być silniejsza... w niektórych sprawach, ale... rozumiesz przecież... nic nie mogę na to poradzić. Boję się, Nick. Bardzo się boję - szlochała.

- Niech to diabli, Allie.

Nick uderzył otwartą dłońią w blat kuchenny imitujący ladę rzeźnika. Szafka nie była nawet w połowie tak solidna, na jaką wyglądała (od pięciu lat przymierzał się do wyremontowania kuchni, ale dotąd nie znalazł na to czasu). Wszystko podskoczyło do góry, łącznie ze złotymi rybkami w słoju. Bill i Ted popatrzyli z wyrzutem na opiekuna. Oczywiście wyrzut w ich małych wyłupiastych oczkach mógł równie dobrze dotyczyć tego, że puszka z karmą dla rybek znajdowała się w zasięgu jego ręki, a on raczej nie miał zamiaru po nią sięgnąć. Przygoda z Billem i Tedem zaczęła się dwa lata temu, kiedy poznali się w wesołym miasteczku. Nick był wtedy na niezbyt udanej randce z pewną kobietą i jej sześciolatnim synem. Dzieciak błagał o rybki, więc Nick z poświęceniem usiłował trafić w akwarium piłeczkami pingpongowymi, na co wydał czterdzieści dolarów. Kiedy wreszcie udało mu się wygrać, mama chłopca oświadczyła, że nie życzy sobie w domu żadnych obrzydliwych śmierdzących rybek, i oddała mu je z powrotem. Jego szczęśliwy dzień. Bill i Ted mieli swoje wymagania. Byli nieustępliwi w sprawie czystej wody i regularnych posiłków. Poza tym trudno sobie wymarzyć lepszych współlokatorów. Niekonfliktowi, cisi, nigdy nie miewali humorów i zawsze byli gotowi go wysłuchać.

W nagrodę za cierpliwość wsypał im trochę karmy. Rybki rzuciły się na nią skwapliwie, a Nick wrócił do rozważań na temat siostry.

Postanowił zadzwonić do niej najpierw na numer komórkowy. Nie odebrała. Pozostawał mu telefon domowy albo numer komórkowy szwagra, ale to mogłoby jedynie skomplikować sytuację, jeśli Allie nie zebrała się jeszcze, by powiedzieć Keithowi. Wiadomość, którą zostawiła mu na sekretarce, nie mogła być wcześniejsza niż sprzed pół godziny. To by się zgadzało, ponieważ jego telefon komórkowy roztrzaskał się o chodnik mniej więcej godzinę temu podczas zatrzymywania porywacza. Allie była nocnym markiem, nigdy nie chodziła spać przed pierwszą, więc jeśli nie odebrała telefonu, oznaczało to, że jest czymś zajęta. Na myśl, co też może robić, Nickowi przebiegły po plecach ciarki.

Cholera.

- Jesteś prawdziwym wrzodem na tyłku - poinformował nieobecną siostrę i poszedł do samochodu. Zamierzał pojechać do jej domu w Arlington, jakieś piętnaście minut drogi. Jeżeli jeszcze nie powiedziała o wszystkim Keithowi, dopilnuje, żeby to zrobiła. Jeśli Keith już wie, na pewno jest wściekły. Jego siostra będzie potrzebowała wsparcia i Nick miał zamiar stanąć za nią murem.

Bez względu na wszystko byli rodziną.

„Krew gęściejsza niż woda”, usłyszał w głowie głos matki. Mawiała tak zazwyczaj, kołysząc się z przepicia w drzwiach przyczepy kempingowej. W większości sytuacji był to wstęp, by go wysłać na poszukiwania pięknej niezrównoważonej starszej o cztery lata siostry, której słabością, jak okazało się już w gimnazjum, były wszelkiego rodzaju chemiczne używki. Z ich trójki to on był najbardziej odpowiedzialny. Miał odwagę przyjrzeć się dokładnie sobie i swojemu życiu, po czym postanowił je zmienić. Przewycięzył rodzinną skłonność do nadużywania alkoholu i narkotyków. Nie pił, nie ćpał i ciężko pracował, najpierw na oceny, a potem za pieniądze, aby zapewnić im wszystkim lepszą przyszłość. Niestety, mama zmarła, kiedy był na studiach. Jednak gdy już dostał dyplom, dotrzymał danej sobie obietnicy. Zabrał Allie, która miała już za sobą

rozwód, i przeprowadzili się do Wirginii, gdyż tam właśnie zaczynał karierę w FBI. Opuścili obskurne miasteczko w Georgii, gdzie się wychowali.

Przez jakiś czas obojgu wiodło się znakomicie. Allie, szczęśliwa z powodu szansy na nowe życie, znalazła sobie pracę i trzymała się z daleka od używek (przynajmniej z tego, co wiedział Nick). Siostra miała w sobie magnetyzm, któremu trudno było się oprzeć. Kiedy była trzeźwa, ludzie lgnęli do niej jak muchy do miodu. Miała pogodne promienne usposobienie i była piękna. Wysoka, szczupła niebieskooka blondynka o figurze modelki.

To Nick poznał ze sobą Allie i Keitha, kolegę z pracy, będącego o kilka szczebli wyżej w hierarchii FBI. Naprawdę miał nadzieję, że ten związek okaże się wybawieniem dla siostry. Że z miłości do Keitha przezwycięży swoje słabości. Nie wspominał mu ani słowem o problemach Allie. Do dziś było mu głupio, ale nie potrafiłby postąpić inaczej.

Od tamtej pory minęło piętnaście lat. Keith należał już do rodziny i trzeba przyznać, że ani razu nie wypomnił Nickowi jego milczenia. A Allie, piękna delikatna Allie załamała się pod wpływem stresu codziennego życia i nie potrafiła sobie poradzić bez „małej pomocy”. Czasem wpadała w ciąg alkoholowy, czasem narkotykowy, a niekiedy w oba naraz. W przerwach między nimi Nickowi i Keithowi udawało się doprowadzić ją do w miarę normalnego stanu i udawać przed światem, że wszystko jest w najlepszym porządku.

Modlił się, aby tym razem też im się udało.

Zajechał pod dom Allie i Keitha przed północą i zaparkował na zazwyczaj cichej spokojnej uliczce. Wszystkie domy w okolicy były duże i miały dobrze utrzymane ogrody. Po obu stronach jezdni rosły stuletnie dęby. Kiedy kupowali ten dom, planowali wypełnić go dziećmi. Dotąd ich nie mieli, ale Allie, która skończyła czterdzieści jeden lat, jeszcze nie straciła nadziei.

O tej porze wokół powinna panować cisza i ciemność, powitały go natomiast oślepiające światła, hałas i zamieszanie, które jak się szybko zorientował, koncentrowały się wokół domu jego siostry.



- O Jezu - przeraził się zobaczywszy, że światła należą do karetki pogotowia i radiowozów policyjnych. Na trawniku zaparkował nawet wóz strażacki. Jego siostra z pewnością nie pozwoliłaby nikomu zaparkować na swoim trawniku. Hałas robiły syreny alarmowe, natomiast zamieszanie tworzyli ludzie kręcący się wokół domu: personel medyczny, policja, strażacy, sąsiedzi i Bóg wie kto jeszcze.

W domu paliły się wszystkie światła.

Ze strachu poczuł nieprzyjemny skurcz w żołądku.

Zaparkował na jedynym wolnym kawałku przestrzeni, czyli na trawniku. Mniejsza z tym, że Allie się wścieknie. Pobiegnął szybko ku drzwiom frontowym. Były otwarte na oścież.

Wszedł do środka. Poszedł prosto do gustownie urządzonego salonu, gdzie zobaczył dwoje umundurowanych policjantów, rozmawiających cicho między sobą parę osób, które wziął za sąsiadów, oraz kilku mężczyzn w garniturach. Nawet nie próbował zgadywać, kim są, był zbyt zdenerwowany. Natychmiast odszukał wzrokiem Keitha rozmawiającego z policjantką. Pisała coś w notesie, kiedy mówił. Czterdziestopięcioletni szwagier miał na sobie te same spodnie od munduru i białą koszulę, w których widział go wcześniej w pracy, zdjął jedynie marynarkę i krawat. Jego przerzedzone brązowe włosy były w nieładzie.

Bez wątplenia stało się coś złego.

- Keith, gdzie jest Allie? - spytał Nick bez zbędnych wstępów. Jego głos zabrzmiał ostro i donośnie. Wszyscy popatrzyli na niego. Twarz Keitha o zadartym nosie i mocno zarysowanej szczęce, zazwyczaj tak pełna życia, pokryła się trupią bladością. Oczy były opuchnięte i czerwone, podobnie jak nos.

- O Boże, Nick - jęknął przeraźliwie Keith i ukrył twarz w dłoniach. Ramiona mu zadrżały. Nick poczuł mdłości, jakby go ktoś uderzył w żołądek. Jego szwagier płakał.

- Gdzie Allie? - powtórzył pytanie. Ogarnęła go panika, zacisnął dłonie w pięści, oddychał szybko.

Keith załkał. Policjantka i jeden z mężczyzn w tym samym



momencie uczynili krok w stronę Nicka. Wyraz ich twarzy uświadomił mu, że złe wieści zbliżają się niczym pociąg, który za chwilę go staranuje.

Nim zdążyli do niego podejść, usłyszał skrzypienie kółek. Odwrócił się gwałtownie i zobaczył, że personel karetki wyprowadza wózek przez hol w stronę drzwi wyjściowych. Pod białym prześcieradłem najwyraźniej znajdowały się zwłoki.

Kogoś wysokiego i szczupłego.

Nick wstrzymał oddech. Podbiegł do wózka, nie zwracając uwagi na protesty Keitha, ignorując głosy i ręce próbujące go powstrzymać. Nim ktokolwiek zdążył zareagować na tyle stanowczo, by powstrzymać go przed tym, co absolutnie musiał zrobić, odsłaniał już brzeg białej tkaniny.

Zobaczył pod nią Allie. Jej jasne włosy leżały rozsypane na prześcieradle. Miała szeroko otwarte szkliste, przekrwione oczy, szarą skórę i rozchylone fioletowe usta. I okropnie siną szyję...

Oblał go strumień zimnego potu.

- Allie - wychrypiał. Oczywiście wiedział, że nie odpowie. Nie mógł mieć żadnych wątpliwości: jego siostra była martwa. - Allie.

- Proszę pana! - Jeden z sanitariuszy wyszarpnął mu z rąk róg prześcieradła, Nick stracił nagle czucie w dłoni, w której trzymał materiał. Sanitariusz zasłonił z powrotem twarz Allie. W tej chwili Keith i policjantka przytrzymali Nicka za ramiona, a wózek wytoczył się na zewnątrz. Nick nie poruszył się. Nie mógł. Po prostu stał i patrzył, jak ciało jego siostry znika w mroku.

Mógł tak stać przez minutę, a równie dobrze mogła minąć godzina. Czas przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie. Wreszcie zdołał stawić czoło niewyobrażalnym faktom, zdołał zebrać myśli i odzyskał panowanie nad sobą na tyle, by móc odwrócić się w stronę łkającego szwagra, którego dłoń wciąż spoczywała na jego ramieniu.

- Keith... - Jego głos zabrzmiał bardziej jak skrzek. - Co, do diabła...

- Powiesiła się. - Keith stłumił szloch. - Wróciłem do domu i...

Boże... Znalazłem ją. Nic nie mogłem zrobić. Już n-nie żyła.

Nick miał wrażenie, że niewidzialna dłoń ściska mu serce. Bolało.

**Boże, jak to bolało. Ledwie mógł oddychać. Dzwoniło mu w uszach. Bał się, iż głowa za chwilę mu eksploduje.**

**Usłyszał echo słów siostry: „Mam poważne problemy...”.**

**Nie mógł powiedzieć o tym szwagrowi w obecności tych wszystkich ludzi.**

**- Chodź ze mną - odezwał się, chwytając Keitha pod ramię.**

**Wszędzie było pełno ludzi, dom pękał w szwach, zaciągnął więc szwagra tylnymi drzwiami na kamienne patio z wbudowaną kuchnią, gdzie Allie uwielbiała się relaksować.**

**Serce zaczęło mu krwawić na to wspomnienie.**

**- Dzwoniła do mnie - wyznał, gdy znaleźli się sami, i streścił wiadomość od Allie. Piękno nocy nie łagodziło jego bólu, kiedy opowiadał. Było niczym policzek. Jak gwiazdy mogły nadal świecić, kwiaty pachnieć, skoro Allie nie żyje?**

**- Więc to był powód. - Keith sprawiał wrażenie, jakby również miał kłopoty z oddychaniem. Stał z pochyloną głową i zgarbionymi ramionami. Jego głos brzmiał niewyraźnie. - Boże święty, Nick, dlatego się zabiła. Bo jakiś świr ją szantażował. - Wciągnął ze świstem powietrze. - Kimkolwiek jest, nie ujdzie mu to płazem. Dopadniemy go i zapłaci.**

**Nick ponownie ujrzał szarą twarz Allie na tle białego prześcieradła.**

**- Na pewno - odrzekł stanowczo. - Znajdę go. Możesz na to liczyć. Bez względu na koszty.**

**Była to raczej przysięga złożona siostrze niż obietnica dana Keithowi.**

**Po chwili poczuł pierwsze ostre dźgnięcie rozpacz, która utorowała sobie drogę przez oszołomienie spowodowane szokiem. Zostawił Keitha, zszedł z patio i ruszył w ciemność. Zwymiotował na trawę.**

# Rozdział 1

29 lipca 2006

Katharine Lawrence nie była zadowolona ze swojej być może ostatniej myśli przed śmiercią. Nie wydawała się stosowna. Niemniej jednak nie potrafiła nic poradzić na to, że właśnie odkryła, iż ma brudną podłogę.

Leżąc twarzą do dołu na zimnych twardych płytkach, z rękoma unieruchomionymi za plecami znalazła się tak blisko błyszczących kwadratów terakoty, jak nigdy dotąd. Nie mogła nie dostrzec rozmazanych na nich tłustych plam. Poza tym były jeszcze ślady małych ubłoconych łapek - ujrzała w myślach okrągły pyszczek swojej himalajskiej kotki o imieniu Muffy - do tego trochę zaschniętych czarnych kropli, które pachniały jak sos barbecue, oraz zróżnicowany asortyment niezidentyfikowanych smug, plam i brudu.

Na litość boską, przecież miała mop!

- Pytam po raz kolejny: gdzie to jest?

W głosie wysokiego potężnego mężczyzny w kominiarce, który pochylał się nad skrepowaną Katharine, zabrzmiała zimna groźba. Każde słowo podkreślał mocnym bolesnym szarpnięciem za włosy. Brutalnie obrócił jej twarz ku sobie i poczuła ostry ból w ścięgnach. Twarz Katharine, kiedy nie wykrzywił jej grymas strachu, była uważana za niemal idealnie piękną (na drodze do ideału stał lekko garbaty nos). Napastnik przystawił jej do skroni wielki błyszczący pistolet. Zadrżała, poczuwszy zimny metal na skórze. Dotyk śmierci.

Jego oczy - orzechowe, blisko osadzone, okolone czarnymi gęstymi rzęsami świadczącymi o tym, iż prawie na pewno jest brunetem - wydawały się jeszcze zimniejsze.

Zajrzała w nie i to, co zobaczyła, przyprawilo ją o następny lodowaty dreszcz przerażenia. Zaczęła oddychać o wiele za szybko, serce waliło jej jeszcze mocniej niż do tej pory, uderzenia pulsu

rozbrzmiewały jej w głowie, zagłuszając wszystko inne - szmer lodówki, szum klimatyzacji oraz odgłos szybkich kroków drugiego napastnika przeszukującego dom.

- Przecież powiedziałam, że nie ma. Nie istnieje, rozumiecie? Nie wiem, skąd macie swoje informacje, ale są nieprawdziwe.

Nie miała nic innego do powiedzenia, choć wiedziała, że jej nie uwierzą. Nie uwierzyli wcześniej, nie uwierzą i teraz. Niekończąca się historia.

Oczy napastnika pociemniały. Zacisnął wargi widoczne przez nieduże rozcięcie w materiale. Żołądek skurczył się jej ze strachu.

Zabiją ją, jeśli nie znajdą tego, po co przyszli. Na tę myśl zrobiło jej się słabo.

Nie miała wątpliwości. Świadczyło o tym ich okrucieństwo oraz zimna kalkulacja. W ich postępowaniu była jakaś niepokojąca celowość i determinacja. Nie mieli zamiaru pozwolić jej żyć. Ani Lisie.

Lisa Abbott, jedna z najlepszych przyjaciółek Katharine ze studiów, w wyniku splotu nieszczęśliwych zbiegów okoliczności wybrała właśnie ten weekend, by przyjechać do Waszyngtonu po raz pierwszy od siedmiu lat, odkąd Katharine sprowadziła się tu z nowiutkim dyplomem magistra nauk politycznych i głową pełną ideałów. Katharine podrzuciła Muffy koleżance (Lisa miała alergię na kocią sierść) i zgodnie z umową wyjechała po gościa o piątej. Podekscytowane spotkaniem po latach wyrzucały z siebie słowa z prędkością karabinów maszynowych, opowiadając, co się wydarzyło w życiu każdej z nich przez cały ten czas. Wstąpiły na drinka do Le Bar w Georgetown, zjadły kolację w restauracji U Angela za rogiem i ruszyły do miasta potańczyć. Wróciły do eleganckiego dwupiętrowego domu Katharine w jednej z najstarszych i najzamożniejszych dzielnic pod dość znacznym wpływem alkoholu. Wzniosły jeszcze jeden toast za spotkanie i poszły do łóżek, bardziej zamroczone alkoholem niż śpiące.

Teraz Katharine czuła się trzeźwa jak nigdy dotąd. Lisa leżała kilka metrów od niej zwrócona twarzą do zawstydzająco brudnej

podłogi, również związana. I zakneblowana. Widziała jedynie przerażony błysk brązowych oczu koleżanki, resztę twarzy zasłaniały kasztanowe włosy. Długa żółta jedwabna koszula podwinęła się do kolan, ukazując delikatny rysunek przedstawiający trzy motylki, wytatuowany nad lewą kostką. Falbany koszuli okalały jej opalone nogi niczym płatki egzotycznego kwiatu. Przynajmniej ten strój zapewniał Lisie większy komfort niż maleńkie satynowe bokserki i bluzeczka na ramiączka, które miała na sobie Katharine. Lisa była odrobinę wyższa od niej, Katharine za to szczuplejsza. Natomiast Lisa w niczym jej nie ustępowała, jeśli chodzi o atrakcyjność, i miała pięknie wyrzeźbioną wysportowaną sylwetkę. Na studiach obie siały spustoszenie wśród płci przeciwnej.

Katharine wpatrywała się z przerażeniem w zimne oczy napastnika, przeszywające ją na wskroś, jednocześnie boleśnie świadoma urywanych szlochów przyjaciółki.

Przez cztery lata były praktycznie nierozłączne, a teraz, kiedy wreszcie znów się spotkały, prawdopodobnie umrą razem, przemknęła jej przez głowę ponura myśl. O Boże, nie chcę jeszcze umierać. Nie w ten sposób. Jesteśmy takie młode. Lisa właśnie skończyła trzydzieści lat, ja mam zaledwie dwadzieścia dziewięć...

Miały po co żyć. Miały wszystko.

- Ostatnia szansa. Gdzie jest sejf? Katharine rozpaczliwie przełknęła ślinę.

- Przecież mówiłam, że tu nie ma żadnego sejfu. Nie mam biżuterii. Nie była moja, tylko poży...

Nie zdołała dokończyć zdania. Napastnik puścił jej włosy, cofnął się o krok, wsunął pistolet z tyłu za pasek spodni i kopnął ją w zębra. Starannie wymierzył siłę ciosu: wystarczająco mocno, żeby bolało, ale nie na tyle, by spowodować trwałe uszkodzenia ciała.

W jej piersi eksplodował ból. Katharine krzyczałaby, gdyby mogła złapać oddech. Łzy szczypały ją w oczy, czuła ich ciepło na policzkach.

Zimny pot wystąpił jej na czoło, ostre szpikulce bólu wbijały się w ciało, mięśnie, kości.

- Może wreszcie porozmawiamy szczerze? - odezwał się napastnik, jakby prowadzili pogawędkę towarzyską. Było to najbardziej przerażające wrażenie, jakiego w życiu doznała. Rzuciła mu szybkie wystraszone spojrzenie, po czym zacisnęła powieki i znieruchomiła. - Gdzie jest sejf?

Katharine bała się odpowiedzieć, próbowała uciec w głąb siebie. Skurczyła się, drżąc z bólu i strachu, poza tym leżała całkowicie nieruchomo, czując krople potu na całym ciele. Ból w klatce piersiowej nadal utrudniał oddychanie. Ostrożnie chwyciła powietrze małymi haustami, starając się zebrać myśli. Czuła przeraźliwe, przenikające do szpiku kości zimno, niemające nic wspólnego z chłodnymi płytkami podłogi ani powiewem klimatyzacji na spoconej skórze. Tak, odczuwała śmiertelny strach.

W rzeczywistości nie miała nadziei na to, że zdoła powiedzieć lub zrobić cokolwiek, by zmienić sytuację. A jednak rozpaczliwie zastanawiała się nad właściwą odpowiedzią.

- Gadaj.

Znów szarpnął ją za włosy. Otworzyła oczy i krzyknęła. Ciągnął jej głowę do tyłu i Katharine miała wrażenie, że za chwilę pęknie jej kręgosłup.

- Gdzie jest ten pieprzony sejf?

Zatrważająco przybliżył jej twarz do swojej. Popatrzył Katharine w oczy. Zobaczyła w jego spojrzeniu obietnicę śmierci i zadrżała.

- Nie mam sejfu - wyjąkała.

Zmrużył powieki, a ona zamknęła oczy, nie mogąc dłużej znieść wzroku mężczyzny. Przez chwilę zwisała bezwładnie, gdy wciąż zaciskał dłoń na jej włosach, i starała się wyrównać oddech, zapomnieć o bólu. Skóra głowy paliła i szczypała. Szyja ledwie wytrzymywała kąt odchylenia. Jednak żaden ból nie był tak okropny jak wymykająca się spod kontroli straszliwa panika, z powodu której jej oddech stał się szybki i urywany, serce łomotało, jakby właśnie przebiegła dziesięć kilometrów, a w ustach zaschło.

Boże, proszę, przyślij pomoc...

Mimo zamkniętych oczu czuła jego wzrok na swojej twarzy.



- Zaczynam mieć dość tej zabawy. Jeżeli natychmiast nie powiesz mi tego, co chcę wiedzieć, pobawię się nożem z twoją koleżanką. Może odetnę jej palec, a może ucho...

Katharine gwałtownie otworzyła oczy i popatrzyła na Lisę, która zeszywniała z przerażenia. Sprawiała wrażenie, jakby przestała nawet oddychać, Katharine pomyślałaby, że przyjaciółka zemdłała, gdyby nie widziała jej otwartych, pełnych strachu oczu.

- Chcesz się przyglądać, jak będzie krwawić? Dopiero wtedy zaczniesz mówić?

Katharine odetchnęła i spróbowała wydobyć z siebie głos. To, co udało jej się wreszcie wyartykułować, w niczym nie przypominało jej zwykłego energicznego sposobu mówienia, i było zaledwie cichym drżącym szeptem.

- Nie. - Nie spuszczała wzroku z Lisy, chora z rozpacz.

- O, nie. Błagam. Musicie mi uwierzyć, nie ma niczego...

- Zaczęła się trząść, dalsze słowa uwięzły jej w krtani. Oczy wezbrały jej łzami. Z trudem zdołała dokończyć przez ściśnięte gardło: - Gdyby był tu jakiś sejf, gdybym miała biżuterię lub cokolwiek cennego, dałabym wam wszystko, żebyście tylko poszli. Powiedziałabym. Przysięgam.

Jego oczy błysnęły złowrogo. Wydał usta i popatrzył na nią przeciągle. Katharine zadrżała.

- A wiesz, że całkiem ładna z ciebie dziewczyna. Może jednak dam spokój koleżance i zacznę wycinać swoje inicjały na twojej buźce.

Żołądek Katharine skurczył się, jakby zacisnęła się na nim ogromna zimna pięść.

- Nie. - Jej błaganie zabrzmiało żałośnie nawet dla niej samej. - Nie.

Groźba była tym straszniejsza, że wypowiedziana niefrasobliwym cichym głosem. Wszystko stało się w upiornej ciszy. Krzyknęła tylko raz, ujrzawszy mężczyznę skradającego się ku niej w ciemnościach. Otworzyła oczy na ułamek sekundy, nim ją zaatakował. Poza tym wszystko odbyło się niemal bezgłośnie. Przynajmniej na tyle, by się nie łudzić, iż ktokolwiek z zewnątrz mógł coś usłyszeć i wezwać pomoc.



Ona i Lisa, która spała w drugiej sypialni, zostały zawleczone po schodach do kuchni, rzucone na podłogę i brutalnie związane. Na początku Katharine najbardziej bała się gwałtu, jednak niepotrzebnie. Zbrodnia na tle seksualnym najwyraźniej nie była celem włamywaczy.

Od samego początku całkiem jasno określili swój cel: była nim zawartość sejfu, który, jak twierdzili, znajdował się gdzieś w domu. Spodziewali się znaleźć w nim biżuterię wartą miliony dolarów. Takie wrażenie odniosła Katharine. Telewizor ani laptop nie wzbudziły już ich zainteresowania. Nie tknęli również biżuterii, którą obie kobiety miały na sobie. Zignorowali mały diamentowy naszyjnik Lisy, a nawet o wiele bardziej kosztowne diamentowe kolczyki Katharine i pierścionek z dużym szafirem, który kupiła sobie na urodziny, najbardziej udane urodziny w jej życiu.

Po sprowadzeniu ich obu do kuchni nie interesowali się zbyt Lisą. To Katharine była szarpana, wypytywana i bita, to od niej usiłowali wydobyć informacje na temat nieistniejącego (w jej przekonaniu) sejfu.

Znali jej imię od samego początku. Ta świadomość zmroziła ją do szpiku kości, kiedy już przebiła się przez mgłę paraliżującej paniki. Najwyraźniej nie było to przypadkowe włamanie na tle rabunkowym; wszystko zostało dokładnie zaplanowane, ci dwaj wybrali ją sobie za cel i odnosiła wrażenie, iż obecność Lisy ich zaskoczyła. Spodziewali się, że Katharine będzie sama.

Z ich słów wywnioskowała, że złodzieje zobaczyli jej fotografię w „Washington Post” w zeszłym tygodniu. Nieszczęsne zdjęcie przyniosło jej same kłopoty, nawet nie wiedziała, że zostało zrobione, nim się ukazało. Przedstawiało ją w drodze na bankiet do jednego z najbardziej znanych waszyngtońskich lobbystów. Katharine miała na sobie jedwabną suknię od Diora i kosztowną, rzucającą się w oczy biżuterię. Najwyraźniej wśród złodziei rozeszła się plotka, iż te niewiarygodnie cenne klejnoty, jak również inne równie wartościowe rzeczy, przechowywane są w mitycznym sejfie w jej domu.

Jasne. Chciałaby. Bizuteria nie należała nawet do niej, Katharine wypożyczyła ją tylko na przyjęcie. Poza kolczykami i pierścieniem miała jedynie kilka drobiazgów, które trzymała w małej szkatułce na toaletce. Do jesieni utrzymywała się wyłącznie z rządowej pensji, a to, jak wiadomo, nie lada sztuka. Zdecydowanie nie mogłaby sobie pozwolić na klejnoty, o jakich posiadanie posądzali ją rabusie.

Próbowała im to wytłumaczyć. Niestety, nie uwierzyli. Podczas gdy jeden ze złodziei szarpał ją za włosy, brutalnie bił i kopał, wciąż domagając się wskazania sejfu, drugi wywracał do góry nogami cały dom. Zrzucał książki z półek, zrywał obrazy ze ścian, zaglądał pod cenne perskie dywany, przestawiał meble. Sąsiad z domu obok, lekarz, którego nazwisko uleciało jej z pamięci, mógł coś usłyszeć, jeśli był w domu. Jednak kiedy wracały z Lisa z miasta, w jego oknach nie paliło się żadne światło. Katharine wiedziała, że lekarz często wyjeżdża na weekendy. Sąsiadka z drugiej strony wyjechała do domu, do Minnesoty, i miała wrócić dopiero w sierpniu. Zasiadała w kongresie. Możliwe, że małżeństwo prawników mieszkające na końcu szeregu czterech domków... Ciekawe, czy oni są u siebie? Nie wspominali nic o żadnym wyjeździe, ale z drugiej strony, z jakiej racji mieliby ją uprzedzać. Nawet jeżeli byli w domu, nie zareagowali. Dotąd ani razu nie zadzwonił telefon, żaden zaciekawiony sąsiad nie pukał do drzwi z pytaniem, co to za hałasy w środku nocy. Jak również nie słychać było policyjnych syren, walenia do drzwi i krzyków: „Otwierać, policja!”. Jednym słowem - żadnej sąsiedzkiej interwencji. Jeśli lekarz albo prawnicy nie wyjechali, najwyraźniej pozostali równie nieświadomi dramatycznych wydarzeń, co płynący leniwie w mroku czarny jak smoła Potomac po drugiej stronie uliczki.

Zegar na czarnych drzwiczkach mikrofalówki wbudowanej w ceglana ścianę niedawno odnawianej kuchni wskazywał pierwszą zero siedem. Była sobota, dwudziesty dziewiąty lipca. Sektor rządowy miał letnią przerwę, panował sezon ogórkowy. Stare Miasto było wyludnione, ulica, na której mieszkała Katharine (sypialnia wielu urzędników średniego szczebla), świeciła pustkami. Jej piękny,

zabytkowy, całkowicie odrestaurowany dom ze świetnym systemem alarmowym, w najlepszej dzielnicy, który jeszcze dwadzieścia minut temu wydawał jej się oazą bezpieczeństwa, był w tę parną letnią noc równie odizolowany, co chata w środku lasu.

Innymi słowy zostały zdane tylko na siebie. Biedna, Bogu ducha winna Lisa. Wybrała niewłaściwy weekend na odwiedziny.

- Nie chcę skrzywdzić ani ciebie, ani twojej koleżanki, Katharine. - Głos włamywacza zabrzmiał niemal czule, ale oczy spoglądały bezlitośnie.

Z jej ust wydobyło się urywane westchnienie.

- Więc nie rób tego - odezwała się pewniej niż poprzednio.

Mrugnął powoli i leniwie niczym senny żółw. Sięgnął demonstracyjnie do tylnej kieszeni i wydobył nóż. Srebrny, wąski, niegroźnie wyglądający nóż, długości piętnastu centymetrów. Ostrze nie było widoczne, ale od razu wiedziała, że to nóż sprężynowy.

Wlepiła w niego przerażony wzrok. Wystarczy, że bandyta naciśnie guzik...

- Nie pozostawiasz mi wyboru, Katharine, to wyłącznie twoja decyzja. Jeżeli nie dowiem się, gdzie jest ukryty sejf, zamienię twoją piękną buźkę w dzieło impresjonisty.

Zesztywniała w mrozącym krew w żyłach oczekiwaniu. Serce wyrывało jej się z klatki piersiowej, dudniąc szaleńczo. Miała tylko jedną odpowiedź, wciąż tę samą.

Potrząsnęła głową z rozpaczą.

- Nie ma... żadnego... sejfu. Proszę, błagam, uwierzcie mi. To jakaś pomyłka.

Nastąpiła chwila głuchej ciszy.

- Głupia dziwka - powiedział mężczyzna upiornie obojętnym tonem.

- Mówię prawdę. - Głos jej zadrżał z rozpacz. - Przysięgam. To tylko zwykły wynajęty dom. Po co mi sejf?

Usłyszała kliknięcie i zobaczyła ostrze. Błysnęło złowieszczo, cienkie jak skalpel. Odetchnęła głośno, nie spuszczać wzroku z noża.

**- To nic nie da - powiedziała. - Nie mogę powiedzieć czegoś, czego nie wiem.**

**Napastnik pochylił się nad nią jeszcze bardziej. Jego twarz znalazła się milimetry od jej twarzy. Miał czerwone oczy i śmierdział czosnkiem. Uśmiechnął się. Nikły, złośliwy, upiorny uśmiezek. Katharine zakręciło się w głowie, usłyszała dziwny szum, a po chwili zorientowała się, że to jej własna krew krąży w żyłach z siłą i hukiem wodospadu.**

**- Masz ukryty sejf. Twój chłopak go tu zamontował.**

SR

## **Rozdział 2**

Jej chłopak, Edward Barnes, wysportowany elegancki czterdziestosiedmiolatek, wkrótce rozwodnik. Wyjechał do Amsterdamu, miał wrócić we wtorek. Spotykali się od trzynastu miesięcy. Od czterech lat był jej szefem, od dwóch lat zastępcą dyrektora do spraw operacyjnych w CIA. Awansowała razem z nim, jako jego asystentka, i w ten sposób Katharine Marie Lawrence stała się jedną z najbardziej wpływowych osób w CIA, ponieważ Ed jej słuchał.

Z powodu fotografii w „Washington Post” jego żona Sharon po dwudziestu latach małżeństwa wyprowadziła się z ich rezydencji w dzielnicy ambasad i wyglądało na to, że Katharine będzie miała Eda już tylko dla siebie.

Dom należał do Eda, mieszkała w nim, nie płacąc czynszu - jedna z wielu korzyści tego związku. Ukryty sejf nagle przestał wydawać jej się wyssaną z palca niedorzecznością.

Zmroziło ją.

- Nic o tym nie wiem. Ja tu tylko mieszkam.

- Taaa. - Głos napastnika ociekał sarkazmem. Przyłożył ostrze do jej policzka, niemal delikatnie.

Wstrzymała oddech, czując dotyk zimnego metalu na skórze. Sparaliżował ją strach. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że jeszcze jej nie zranił; przycisnął nóż tępą stroną, nie sprawiając bólu.

- Błagam - odezwała się. Z trudem wykrztusiła przez ściśnięte gardło nawet to jedno słowo. Serce jej łomotało, żołądek się skurczył. Widziała przerażone oczy Lisy i wiedziała, że cokolwiek powie, będzie bez znaczenia. Dodała jednak rozpaczliwie: - Nie rób tego. Proszę, nie.

- Gdzie sejf?

Dlaczego nie chciał jej uwierzyć? Co mogła powiedzieć? Jeżeli będzie się upierać przy swoim: że o ile jej wiadomo, nie ma tu żadnego sejfu - ten człowiek zrobi jej krzywdę. Panika wzięła ją w

całkowite władanie. Katharine zastanawiała się, czy skłamać. Jednak gdyby to zrobiła, to znaczy podała jakiegokolwiek miejsce, tamci dwaj szybko zorientowaliby się, że kłamie. Zakręciło jej się w głowie na myśl, co by wtedy zrobili.

Z drugiej strony, czy byłoby to gorsze od tego, co właśnie miało nastąpić?

- Katharine? - szepnął łagodnie. Odwrócił nóż i przycisnął ostrą krawędzią do jej policzka. Zaczęła szybciej oddychać. W piersi narastał krzyk. Powstrzymywała go z całej siły; wtedy na pewno zagłębiłby ostrze w jej twarzy. W ustach czuła kwaśny smak strachu.

- Myślisz, że bym wam nie powiedziała, gdybym wiedziała?

- To zależy od tego, czy jesteś mądra czy głupia. Na moje oko nie jesteś zbyt mądra. W końcu pieprzysz się z Edem Barnesem.

Odkryła, że strach bardzo utrudnia myślenie. Cokolwiek powie lub zrobi, rezultat będzie taki sam. Nie zamierzają tak po prostu odejść. Będą torturować ją i Lisę, dopóki nie znajdą tego, czego szukają, lub uwierzą, że sejf nie istnieje. Do tego czasu obie najprawdopodobniej nie będą żyły. Jest sobota. Do poniedziałku nikt nie zacznie się niepokoić o żadną z nich. Dopiero w poniedziałek, kiedy Katharine nie pojawi się w pracy, będą dzwonić, a potem ktoś z agencji przyjdzie sprawdzić, co się dzieje. Ta osoba, nie mogąc się dostać do środka, zadzwoni na policję i wtedy odkryją zwłoki jej i Lisy na brudnej podłodze.

Nie. Nie miała zamiaru na to pozwolić.

Ogarnęła ją rozpaczliwa determinacja. Zaciśnęła zęby. Nie chciała tak po prostu leżeć i czekać na śmierć. Musi być jakieś wyjście.

Trzeba spróbować.

Proszę, Boże, błagam...

Zwilżyła wargi i popatrzyła na prześladowcę.

- Posłuchaj, mam na koncie dużo pieniędzy. - Oczy mu pociemniały. Zmarszczył czoło. O, nie. Już wiedziała, że nic z tego, ale rozpaczliwie mówiła dalej: - Ponad sto tysięcy dolarów. Dostaniesz wszystko. W torebce mam kartę bankomatową. Możemy...

- Hej, znalazłem! - Podniecony krzyk przerwał jej w pół słowa.



Dochodził z małego pokoju na pierwszym piętrze. Tak radosny ton mógł oznaczać tylko jedno: ów ukryty sejf najwyraźniej istniał naprawdę.

Kto by pomyślał? To było pierwsze, co jej przyszło do głowy. A zaraz potem: Dzięki Bogu. Napastnik cofnął nóż i westchnęła z ulgą.

- Szczęściara z ciebie, Katharine.

Ona jednak zdawała sobie sprawę, że to nie wybawienie, a jedynie krótkie odroczenie. Spojrzała mu w oczy przez jedną okropną sekundę. Były lodowate; w tych mrocznych orzechowych głębiach nie znalazła litości. Wciąż trzymał ją za włosy.

Nagle z rozmysłem i bez ostrzeżenia walnął jej głową o podłogę. Czoło i nos boleśnie uderzyły w twarde płytki. Zobaczyła gwiazdy.

- Au! - Jęk bólu pochodził z jej własnych ust, z czego jedynie mgliście zdawała sobie sprawę. Zapadała w omdlenie, czując ciepłą krew płynącą z rozbitego nosa. Puścił jej włosy i wyprostował się.

- Zaraz wracam - powiedział, odchodząc szybko. Słyszała odgłos jego oddalających się kroków, póki nie stłumił ich gruby wełniany dywan leżący w jadalni.

Katharine ledwie zarejestrowała jego odejście, półprzytomna z szoku i bólu. Leżała z zamkniętymi oczami, oddychając ciężko, z nosa nadal sączyła się krew. Być może straciła przytomność, być może nie, jednak przez moment nie była świadoma niczego poza szarą mgłą spowijającą zmysły. Walczyła o każdy oddech.

- Katharine. - Szept był ledwie słyszalny. Poczowała lekki dotyk na prawym ramieniu. Nie zareagowała. Powtórzył się z większą natarczywością.

Katharine otworzyła oczy z pewnym wysiłkiem. Usta jej wypełniał słonawy smak krwi, gęstej i cieplej. Zadrżała. Uniosła głowę i splunęła na podłogę. Wszystko wokół zawirowało; zauważyła kałużę krwi w miejscu, gdzie spoczywała jej głowa. Czyżby... miała złamany nos? Wciąż krwawił, choć już coraz słabiej.

Bolał. Och, jak strasznie bolał.

- Katharine.

Mgła znów zasnuła jej oczy. Katharine instynktownie zwróciła



twarz w stronę, skąd dochodził chrapliwy szept. Kątem oka zauważyła coś żółtego. Ogarnęła ją kolejna fala słabości i kuchnia rozmyła jej się przed oczami. Z wysiłkiem obróciła głowę jeszcze trochę. Zamarła z zaskoczenia. Lisy nie dało się z nikim pomylić. Przyjaciółka leżała obok niej, na boku, zwrócona tyłem, jej plecy znajdowały się kilka centymetrów od okaleczonej twarzy Katharine. Minęła chwila (Katharine wciąż była bliska omdlenia), nim zdała sobie sprawę, że Lisa jakimś sposobem przyczołgała się do niej.

Popatrzyła przez ramię na Katharine.

- Rozwiąż mi ręce.

Poruszyła niecierpliwie opalonymi szczupłymi dłońmi ciasno skrępowanymi szarą taśmą. Koniuszki palców miała nienaturalnie białe, bo nie dopływała do nich krew. Katharine zmarszczyła czoło, nie rozumiejąc. Lisa przysunęła skrępowane nadgarstki do jej twarzy.

- Moje ręce - syknęła.

Nagle dotarło do niej: Lisa mówiła. Z wysiłkiem, niewyraźnie, ale mówiła. Taśma zaklejająca jej usta musiała się poluzować. W jaki sposób? Zastanawiała się przez chwilę, nim pojęła, że to bez znaczenia. Prostokąt szarej taśmy izolacyjnej pozostał przyklejony do jej górnej wargi i policzków, dolna warga jednak była wolna, co umożliwiło Lisie wykrztuszenie kilku zrozumiałych słów.

- Zębami - szepnęła nagłaco. Katharine mrugnęła.

- Zębami? - powtórzyła, nie rozumiejąc.

- Ciii. Tak.

Katharine zapomniała ściszyć głos. Zdała sobie z tego sprawę, jak tylko słowa wyszły z jej ust, jeszcze zanim Lisa wykrzywiła ze złością twarz i wymierzyła jej piętami ostrzegawczego kuksańca w udo. Skrzywiła się i cofnęła nogę. Lisa wciąż na nią patrzyła.

- Zerwij zębami taśmę.

Tym razem Katharine pamiętała, by mówić szeptem.

- Aha. Dobrze.

Nadal nie do końca rozumiała, nie potrafiła się skupić na tym, co miała zrobić. Nos wciąż bolał przeraźliwie i miała wrażenie, że ktoś

wbija szpilki wprost w ośrodki bólu umiejscowione w jej mózgu. Cała głowa pulsowała, w uszach dzwoniło, każdy ruch groził zemdleniem. Lisa prosi, żeby zdjęła taśmę zębami? Nie wiedziała, czy to ma sens, ale posłusznie schyliła głowę ku dłoniom koleżanki.

Popełniła wielki błąd. Ból eksplodował jej w skroniach. Rzeczywistość zaczęła się oddalać i znikła za mgłą. Dzwonienie w uszach stało się niemal kojące, kuchnia rozmyła się przed oczyma niczym fatamorgana. Nie było się czego uchwycić, nic stałego na świecie... Prócz Lisy.

- Katharine.

Związane dłonie koleżanki trącały ją z niecierpliwością. Skrępowane nogi kopały ją boleśnie w udo. Lisa patrzyła na nią z mordem w oczach, robiła wszystko, co w jej mocy, by nie pozwolić Katharine odpłynąć w kuszącą mgłę nieświadomości.

- Katharine, musisz to zrobić, rozumiesz? Zerwij zębami taśmę z nadgarstków.

Natarczywy szept przedarł się przez mgłę, która spowijała umysł Katharine, pozbawiała siły jej mięśnie, zamieniała kończyny w ołów. Wreszcie dotarł do niej sens słów Lisy. Otworzyła szeroko oczy i wzięła głęboki oddech walcząc o jasność myślenia. Nie zdążyła się ruszyć ani nic powiedzieć, kiedy z sąsiedniego pomieszczenia dobiegł łoskot, a po nim seria przekleństw. Serce podskoczyło jej w piersi.

- Upuściłeś go! - ryknął ktoś z pretensją, wyrzucając litanie niecenzuralnych słów.

- Bo jest, kurwa, ciężki!

Lisa, która właśnie miała wymierzyć Katharine następnego kopniaka, zamarła.

Przerażenie zwyciężyło słabość. W nagłym przebłysku świadomości zdała sobie sprawę, że nie mają dużo czasu. Włamywacze byli tuż obok. Mogli po nie przyjść w każdej chwili. Naprawdę wolałaby być wtedy gdzie indziej.

- No już! - Lisa kopnęła ją nagłaco.

Katharine wciąż miała wrażenie, że wewnątrz jej czaszki do połowy

wypełnia wata cukrowa, ale teraz, przypomniawszy sobie, że ich życiu grozi niebezpieczeństwo, uruchomiła drugą połowę mózgu wraz z całą resztą ciała.

Zginą, jeśli szybko się stąd nie wydostaną. Proste i śmiertelnie przerażające.

- Tak. Dobrze.

Z wysiłkiem szarpnęła taśmę wokół nadgarstków Lisy zębami, nie zwracając uwagi na ból, który przeszył jej nieznośnie wrażliwy nos, kiedy dotknęła nim przedramienia koleżanki. Bolało tak bardzo, że Katharine miała ochotę leżeć nieruchomo przez bardzo długi czas, póki nie przestanie. Śmierci bała się jednak bardziej niż bólu. Ta myśl sprawiła, że walczyła dalej z wściekłością i desperacją, próbując przegryźć taśmę. Lisa trzymała ręce tak sztywno i nieruchomo, jak tylko potrafiła. Wyciągała je do tyłu i próbowała ze wszystkich sił rozdzielić dłonie, gdyby Katharine udało się choćby troszeczkę rozdrzeć taśmę.

Jednak mimo szczerych wysiłków Katharine, taśma pozostawała nienaruszona. Gumowate i kwaśne tworzywo było po prostu obrzydliwe, samo chwycenie go zębami sprawiało trudności. Katharine wciąż trafiała nosem, wrażliwym niczym nieosłonięty nerw, w ramiona przyjaciółki. W innej sytuacji ból byłby wręcz obezwładniający. Nie mogła normalnie oddychać, musiała chwytać powietrze ustami. Wiedziała z całą pewnością, że ma złamany nos. W tych okolicznościach wydawało się jednak to mało istotne. Było tak niewiele czasu...

- Pospiesz się - sapnęła Lisa.

Zdawało się, że minęły godziny. Dni. Tygodnie. Miesiące. Zerknęła na zegar w kuchence mikrofalowej. Było dopiero czternaście po pierwszej. Niewiarygodne, że minęło zaledwie siedem minut, odkąd ostatni raz sprawdzała godzinę. Wbrew temu, co jej się wydawało, nie szarpała się z taśmą dłużej niż minutę lub dwie.

- Przestań - odezwał się ze złością jeden z włamywaczy. Na tyle głośno, że Katharine podskoczyła niczym rażona prądem.

- Masz lepszy pomysł? - burknął drugi w odpowiedzi. Katharine

przerwała na chwilę i popatrzyła nerwowo w stronę drzwi. Głosy dochodziły z bardzo bliska. Jednak przez wąską szparę zobaczyła tylko to, co wcześniej: róg szklanego stołu, kawałek szarego krzesła, obraz przedstawiający pojedynczą lilię w wazonie, leżący teraz na dywanie.

Boże, ile czasu pozostało, zanim któryś postanowi tu zajrzeć? Prawdopodobnie niewiele, doszła do nieuniknionego wniosku i strach zmroził krew w jej żyłach.

- Pospiesz się - powtórzyła Lisa.

No tak. Katharine zabrała się do pracy ze wzmożoną determinacją. Serce trzepotało jej w piersi niczym uwięziony ptak. Puls przyspieszył. Żołądek miała zaciśnięty. Lada chwila któryś z bandytów wejdzie do kuchni. A wtedy obie na pewno zginą. Włamywacze znaleźli sejf i nie będą ich już potrzebowali.

Szybciej, szybciej, szybciej - rozbrzmiewało jej w głowie.

- Gdzie idziesz? - Podniesiony głos należał do włamywacza, który złamał jej nos. Rozpoznała go natychmiast, przyprawił ją niemal o atak serca. Mężczyzna mówił szorstkim tonem, usłyszała ślad akcentu z ulic Nowego Jorku lub New Jersey. Najwyraźniej zwracał się do współnika, co oznaczało, że tamten się przemieszcza.

O Boże, dokąd on idzie? Katharine wysiliła wszystkie zmysły, próbując to ustalić. Nie udało jej się; nie usłyszała nic; żadnych kroków, żadnych dźwięków.

Błagam, Boże, oby nie szedł do kuchni.

Strach dodał jej sił. Jakimś cudem udało jej się naruszyć taśmę. Tak, Lisa również to poczuła. Świadczyło o tym tryumfalne zaciśnięcie palców. Rozdarcie było maleńkie, ale dało im nadzieję. Sukces nie wydawał się już niemożliwy. Katharine wgryzła się w taśmę niczym uparty zażarty terier, wciąż czując w ustach metaliczny smak. Może to krew? Nie wiedziała, nie obchodziło jej to.

Lada chwila ktoś wejdzie do kuchni...

Lisa próbowała uwolnić dłonie, napinając z całej siły mięśnie, a Katharine nadal szarpała zębami taśmę. Powoli, powoli, tak strasznie powoli rozdarcie się powiększało...

Lisa szarpnęła ramionami i nagle jej ręce były wolne. Zdyszana Katharine położyła na chwilę głowę na płytkach. Wymieniły triumfalne spojrzenia. Lisa zdołała usiąść, zerwała taśmę z ust i pochyliła się, by oswobodzić nogi.

Odgłos spuszczonej wody w toalecie udzielił im odpowiedzi na bardzo istotne pytanie: gdzie znajduje się jeden z włamywaczy. W toalecie na dole. Przez ułamek sekundy Katharine poczuła ulgę; wiedząc, gdzie jest jeden z napastników. Dopóki nie zdała sobie sprawy, że kuchnia może być jego następnym celem. Wystarczy, że skręci w lewo i przejdzie parę kroków. Zobaczy je już z daleka.

Lisa poruszyła się. Katharine obserwowała z bijącym sercem, jak przyjaciółka przesunęła się na czworakach w stronę szuflady ze sztucami. Dźwięk wysuwanej szuflady zabrzmiał w jej uszach niczym grom. Rzuciła przerażone spojrzenie w stronę drzwi. Podskoczyła, słysząc brzęk uderzających o siebie noży, łyżek i widelców. Po chwili Lisa cofnęła rękę, trzymając w niej wielki nóż z ząbkowanym ostrzem. Przecięła nim taśmę krępującą kostki.

- Może byś mi pomógł? - zawołał pierwszy z włamywaczy. Katharine omal nie połknęła własnego języka, odwracając się gwałtownie w stronę drzwi. Nic.

- Pomyślałem, że zajmę się naszymi paniami - odparł jego wspólnik. Katharine wstrzymała oddech. Spojrzała dziko na Lisę, która odrywała taśmę od skóry. - Żebyśmy to już mieli z głowy.

O Boże. Idzie je zabić. Teraz.

Jego głos dochodził z bardzo bliska. Z odległości kilku kroków.

Panika rozlała się po ciele Katharine lodowatą falą. Jej serce znowu gwałtownie przyspieszyło. Żołądek wykonał salto. Popatrzyła na Lisę, która wstała. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że przyjaciółka jest wolna, a ona nie.

Słyszała jego kroki, zbliżał się...

Lisa podbiegła, by przeciąć jej więzy.

- Mamy na to mnóstwo czasu - odezwał się niecierpliwie pierwszy z mężczyzn. - Najpierw pomóż mi z tym.

Kroki ucichły na moment, który wydawał się wiecznością, po



czym zaczęły się oddalać.

Uff. Katharine omal nie zemdląła z ulgi.

Nóż z łatwością przeciął taśmę na kostkach. Katharine szarpnęła nogami, rozdzielając je. Obie były teraz wolne.

- Idziemy - szepnęła Lisa.

Chwyła Katharine powyżej łokcia, pomagając jej wstać, i jednocześnie przecięła taśmę przy nadgarstkach. Nagła zmiana pozycji sprawiła, że Katharine doznała uczucia, jakby jej głowa miała za chwilę wybuchnąć. Poczuła ostry ból w boku, w miejscu, gdzie została kopnięta. Chyba miała co najmniej jedno złamane żebro. Czuła mrowienie w zdrętwiałych rękach. Łapała chaotycznie powietrze, próbując biec, ale zdała sobie sprawę z przerażającej prawdy: nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Kręciło jej się w głowie, walczyła z nagłym atakiem mdłości, ale nie ustawała w wysiłkach, by podążać na ciężkich, niezdarnych nogach za Lisą. Spieszyły w stronę przeciwległego krańca kuchni, gdzie mieściła się niewielka pralnia, a w niej tylne drzwi.

Światło księżycy i latarni przeświecało przez uchylone żaluzje w oknach za pralką i suszarką, dzięki czemu widziały, dokąd idą mimo wyłączonej żarówki. W ścianie niedaleko drzwi znajdował się włącznik alarmu. Błyskało w nim zielone światełko. Katharine zwróciła na nie uwagę, wchodząc tuż za Lisą do ciemnej pralni. Zdawała sobie sprawę, że jej zdolność logicznego myślenia nie jest w tej chwili najlepsza, ale wywnioskowała, iż system działa. Czemu więc alarm nie zadziałał? Czyżby zapomniała go nastawić? To bez znaczenia, uświadomiła sobie, najważniejsze, żeby dało się go włączyć teraz. Był bezpośrednio połączony z komendą policji. Musiała tylko nacisnąć guzik, a po kilku minutach nadjadą radiowozy. Jeśli alarm działa.

Wciąż biegnąc za Lisą, odchyliła się nieco w bok, by nacisnąć alarm. Jej przyjaciółka dotarła już do drzwi.

W tym momencie Katharine usłyszała coś, co sprawiło, że zapomniała o wszystkim poza myślą o natychmiastowej ucieczce. Odgłos kroków w kuchni zabrzmiał w jej uszach głośno niczym

sygnał alarmowy.

Na chwilę całkowicie obezwładniła ją panika. Spojrzała odruchowo na otwarte drzwi do kuchni. Przez kilka mrozących krew w żyłach sekund nic się nie działo. Potem...

- Hej! Gdzie one się podziały? - Głos włamywacza brzmiał, jakby ten był skonsternowany, niepewny, czy wzrok nie płąta mu figła. Po chwili zorientował się w sytuacji i wrzasnął: - Nie ma ich!

Ucieczka została odkryta.

- Cholera. Cholera. Cholera.

Lisa walczyła z drzwiami, które nie chciały się otworzyć. Bez rezultatu szarpała i ciągnęła za klamkę. Popatrzyła z przerażeniem na Katharine.

- Zamknięte.

Półprzytomna ze strachu, nie rozumiejąc nic poza tym, że muszą natychmiast stąd się wydostać, Katharine odepchnęła koleżankę i sama spróbowała otworzyć drzwi. Bez rezultatu. Klamka się przekręciła, ale drzwi pozostały zamknięte. Nagle doznała olśnienia. Ten zamek wymagał klucza. Drzwi same się zatrzaskiwały. Zostały tak zaprojektowane, by nie dało się ich otworzyć z zewnątrz, wsuwając rękę przez wybitą szybę. Klucz wisiał na satynowej wstążce obok suszarki, kilka metrów od nich. Rzuciła się w jego stronę. W tym samym momencie w oświetlonych drzwiach pralni stanął jeden z włamywaczy.



## Rozdział 3

Jesteśmy w potrzasku.

Katharine poczuła gwałtowny przypływ adrenaliny. Wstrzymała oddech. Jeśli teraz nie uda im się uciec, zginą. Chwyliła klucz i zaczęła z nim biec w stronę drzwi.

- Stać!

Dostała gęsiej skórki ze strachu. To krzyczał ten drugi, ten który przeszukiwał dom. Katharine poznała go po głosie. Jego wspólnik już nadchodził, słyszała stukot pospiesznych kroków w kuchni.

Obezwładnił ją kolejny atak paniki. Czas się skończył.

Włamywacz trzymał w ręku pistolet. Broń błysnęła w świetle padającym z kuchni. Katharine zdała sobie sprawę, że bandyta celuje w plecy Lisy, która nie przestawała szarpać za klamkę.

- Lisa! - krzyknęła ostrzegawczo, sama odruchowo chowając się za suszarką do ubrań. - Uważaj!

- Cholera.

Lisa odwróciła się i natychmiast dostrzegła zagrożenie. Popatrzyła na pistolet rozszerzonymi z przerażenia oczami, zacisnęła usta, zbladła jak ściana i uniosła ręce do góry w klasycznym geście poddania. - Nie...

W powietrzu rozległ się dziwny świst. Co to? Zastanawiała się Katharine. Nagle pojęła. Lisa wydała jęk strachu, szoku i bólu. Katharine patrzyła z niedowierzaniem na rozgrywający się przed jej oczami dramat. Przyjaciółka uderzyła w drzwi niczym pchnięta na nie jakąś niewidzialną ręką. Szyba roztrzaskała się z głośnym hukiem. Na kamienne schodki i chodnik na zewnątrz posypał się deszcz odłamków szkła. Katharine zdała sobie sprawę, że Lisa właśnie została trafiona. Ten świst (pistolet najwyraźniej był wyposażony w tłumik) pochodził od przelatującego w powietrzu pocisku.

- Lisa! - krzyknęła, zapominając o niebezpieczeństwie, które groziło jej samej. Podbiegła do przyjaciółki bezwładnie osuwającej

się na podłogę.

Nie żyje? Błagam, Panie Boże, spraw, żeby przeżyła. Ma otwarte oczy...

- Suka. - Gardłowe przekleństwo dobiegające od strony drzwi stanowiło jedyne ostrzeżenie, chwilę po nim usłyszała szcęk metalu tuż za sobą.

Wyostrzyły się jej wszystkie zmysły, zaczęła działać automatycznie. Kula trafiła w róg suszarki. Kula przeznaczona dla niej. Gdyby Katharine nie podbiegła do Lisy, została trafiona. Zadrzała. Teraz kiedy nie musiała już się chować, wydała z siebie przeciągły wrzask, którego mogłaby jej pozazdrościć królowa horrorów. Niekończący się przeraźliwy dźwięk podrażnił boleśnie jej gardło, re-zonując i wracając echem. Obejrzała się przez ramię. Napastnik nie stał już w drzwiach. Wszedł do małego pomieszczenia i ustawił się w rogu, skąd miał ją dokładnie na linii strzału.

- Łap ją!

Postać w cieniu mruknęła coś w odpowiedzi. Strzelec przykucnął, trzymając broń obiema rękami i przesuwając za nią pistolet, kiedy uciekała. Serce Katharine biło jak szalone: nie ma ucieczki, nie ma ucieczki, nie ma ucieczki...

Nie mogła się wydostać.

- Zastrzel już wreszcie tę sukę, do cholery!

Z obezwładniającą pewnością czekała, aż kula trafi ją w plecy. Czas jakby stanął w miejscu. Miała dziwne wrażenie, że opuściła własne ciało i przygląda się całej scenie z boku. Pomyślała ponuro, że to piekielne doświadczenie. Wciąż wrzeszczała i nie potrafiła przestać. Jej opętane krzyki przedzierały się przez mgłę strachu, przemocy i nieuniknionej śmierci spowijającą niewielkie pomieszczenie.

Jak to możliwe, że nikt nic nie słyszy?

Nie mogło minąć więcej niż dwie sekundy. Strach wyostrzył jej umysł, dodał siły mięśniom i skrzydeł stopom. Podbiegła do zamkniętych drzwi, wiedząc, że właściwie nie ma żadnych szans. Nie zdąży otworzyć, zanim padnie strzał. Została osaczona jak zwierzę.

Lada chwila poczuje, jak kula rozszarpuje jej plecy. Wyciągnęła rozpaczliwie rękę z kluczem w stronę zamka. Kula, przed którą drżała, przemknęła obok jej policzka i utkwiała w ścianie przy framudze, wzbijając rozpryski betonu. Katharine poczuła je na twarzy i w oczach.

- Nie! - krzyknęła.

Instynktownie obejrzała się za siebie, jej niespokojny wzrok spoczął na Lisie. Szkliste brązowe oczy przyjaciółki wpatrywały się w nią, nie widząc, wciąż spoczywała w tej samej, pólśiedzącej pozycji. Z piersi sączyła się czarna krew.

Nie żyje. Wygląda na martwą. O mój Boże, nie żyje.

Katharine wsunęła gorączkowo klucz do zamka i nagle zdała sobie sprawę, że od świata zewnętrznego nie oddziela jej już szyba. Ciepłe nocne powietrze mieszało się z chłodnym podmuchem klimatyzacji. Poprzez własne ogłuszające krzyki słyszała śpiew cykad i wycie policyjnych syren.

- Hej, co się tu dzieje? - usłyszała niski męski głos dochodzący z zewnątrz. Dostrzegła w ciemności zbliżającą się ku domowi postać. Za sekundę nadejdzie pomoc. Być może zbyt późno.

- Pomocy! Pomocy! Szybciej...

- Zabij ją! - rozległ się ryk za jej plecami.

Kula przeleciała tak blisko, że poczuła podmuch powietrza we włosach.

Miała jedną jedyną szansę ocalenia. Skorzystała z niej.

Musi się stąd wydostać...

Wykonała skok swojego życia rzucając się głową do przodu przez wybitą szybę. Przytrzymała się klamki i framugi, a po chwili była już na zewnątrz. Przez mgnienie oka Katharine dostrzegła rozgwieżdżone niebo, gałęzie młodego klonu poruszane lekkim wiatrem oraz wlepione w nią błyszczące ślepie kota sąsiadów siedzącego na schludnie przystrzyżonym żywopłocie obok garażu.

Potem uderzyła mocno o beton i nic już nie widziała.

- Katharine. Słyszysz mnie, Katharine?

Zbudził ją męski głęboki głos ze śpiewnym południowym

akcentem. Rozkazujący. Otworzyła oczy. Oślepiło ją jasne światło, więc szybko zamknęła je z powrotem. Zaczerpnęła tchu i skrzywiła się z bólu. Nie mogła oddychać. Nie przez nos.

Boże, co się dzieje? Chwytała powietrze ustami niczym ryba wyrzucona na brzeg. Czuła się ociężała, opuchnięta i kompletnie rozbita. Na domiar złego dokuczał jej monstrialny ból głowy.

- Przepraszam. - Głos zabrzmiał szczerze. - Zgasilem już światło. Możesz otworzyć oczy?

Nie próbowała już oddychać przez nos. Ból w zatokach zlał się w jedno z bólem głowy i przemienił się w tępe pulsowanie w skroniach. Nieprzyjemne uczucie, ale będzie żyła. W głosie, który ją wołał, było coś hipnotyzującego. Był głęboki i łagodny, chciała mu się podporządkować. Ostrożnie uchyliła powieki.

Zobaczyła rozmazany zarys jasnych ścian i sufitu. W pokoju było szaro i ponuro, królowały w nim cienie. Dzięki światłu padającemu z korytarza widziała ogólny zarys przedmiotów. Dostrzegła też jego. Leżała na plecach, na wąskim niewygodnym łóżku, nie własnym. Właściwie znajdowała się w pozycji półleżącej, gdyż górna część łóżka była uniesiona. Zobaczyła przed sobą głowę mężczyzny. Miał szczupłą opaloną twarz, falujące jasne włosy zaczesane do tyłu opadały mu w nieładzie na kark. Poza tym niewiele widziała, ponieważ zasłaniał światło. Pochylił się, patrząc na nią z troską, i zasłonił sobą resztę pokoju, za to Katharine mogła teraz przyjrzeć się lepiej jemu samemu. Patrzył na nią ze zmarszczonym czołem. Miał okulary w wąskich drucianych oprawkach. Wciąż trzymał w ręku, wyłączoną teraz, latarkę.

Choć nie dostrzegła wyraźnie jego rysów z powodu złego oświetlenia i kłopotów ze wzrokiem, natychmiast odniosła wrażenie, że skądś go zna. Poczula coś jeszcze. Jakiś dreszcz, napięcie. Bardzo niepokojące wrażenie.

- Witaj - odezwał się, spoglądając jej w oczy.

Zdecydowanie wyczuwała jakąś więź między nimi, ale im bardziej starała się sobie cokolwiek przypomnieć, tym mniej słuchała jej pamięć. Przez chwilę mężczyzna jakby na coś czekał, po czym

włączył lampkę nocną przy łóżku. Katharine zamrugła, kiedy padło na nią słabe światło, i zdała sobie sprawę, że jest w szpitalu.

Wszystko się zgadzało: ciężkie zasłony, przez które na krawędziach przeświecało szarawe światło, telewizor przymocowany do ściany, aparatura medyczna. W okolicy prawego łokcia dostrzegła cienką plastikową rurkę. Podążyła za nią wzrokiem i dostrzegła plastikowy worek wypełniony do połowy przejrzystą cieczą zawieszony na błyszczącym metalowym pręcie stojącym obok łóżka. Była podłączona pod kroplówkę. Niedobrze. Zanim zdążyła się głębiej zastanowić nad znaczeniem tego faktu, mężczyzna zapyał:

- Pamiętasz mnie?

- Tak - odparła bez sekundy wahania, ponieważ tak właśnie było. Pamiętała go z całą pewnością, bez wątpienia, zdecydowanie tak. Ale na tym jej wiedza się kończyła. Nie potrafiła sobie przypomnieć nic więcej. Prócz niejasnego uczucia... niechęci?

Zamrugła z konsternacją, czekając, aż jej wzrok przywyknie do światła i będzie mogła wyraźniej obejrzeć mężczyznę. Przed wszystkim był przystojny, co zauważyła od razu. Przypatrywał się jej zmrużonymi ciemnoniebieskimi oczami zza cienkich prostokątnych szkieł, które ani nie powiększały, ani nie zmniejszały ich w widoczny sposób. Kurze łapki w kącikach powiek przypisała działaniu słońca, a także uwadze, z jaką się jej przypatrywał. Uznała, że miał miłe, łagodne i inteligentne spojrzenie, może nieco zdystansowane. Oprawę oczu stanowiły krótkie gęste jasne rzęsy i popielate brwi. Miał wysokie kości policzkowe, długi, nieco orli nos, wąskie usta i kwadratowy podbródek z lekkim wgłębieniem. Katharine trudno było ocenić jego wzrost, ale mężczyzna wydawał się wysoki, szczupły, barczysty. Sądziła, że ma trzydzieści kilka lat. Był ubrany w błękitną koszulę z rozpiętym kołnierzykiem i narzucony na nią lekarski fartuch. Właśnie on pobudził do działania jej pamięć.

- Dan... Howard - powiedziała z ulgą. - Doktor Daniel Howard.

Wraz z nazwiskiem powróciła reszta wspomnień. Oczywiście, jej sąsiad, lekarz. Wprowadził się do sąsiedniego domu zeszłego lata. Rzadko go widywała. Nie mogła sobie przypomnieć, w jakich



dokładnie okolicznościach, ale prawdopodobnie przedstawili się sobie nawzajem, a potem po prostu mówili sobie „dzień dobry”. Czy pokłócili się kiedyś? Może jego pojemniki na śmieci zagroziły Katharine drogę do garażu albo jej kot usnął w jego samochodzie? To by wyjaśniało ów cień niechęci w pierwszej chwili, kiedy go zobaczyła. Sprawa raczej nie była poważna, ponieważ niejasny niepokój zniknął już w otchłaniach podświadomości.

- Zgadza się. - Dan skinął głową z zadowoleniem. Odprężyła się, tak jakby zależało jej na jego aprobacie. Nie potrafiła jednak zrozumieć dlaczego. Czyżby dlatego, że wydał jej się atrakcyjnym mężczyzną? Całkiem możliwe. Prawdopodobnie również z tego powodu przypominała sobie jego nazwisko. Osiągnąwszy ów zadowalający stopień samoświadomości, znów się odprężyła.

- Jak się czujesz? - spytał.

- Do-dobrze. - Zawahała się, bo pełna odpowiedź brzmiałaby: dobrze, tyle że boli mnie głowa, mam całkowicie zatkaany nos, odczuwam kłujący ból w klatce piersiowej przy każdym poruszeniu i odnoszę dokuczliwe wrażenie, że coś jest bardzo nie w porządku ze światem. Jej głos brzmiał dziwnie, nisko i nosowo, jakby nie należał do niej. Innymi słowy, zdecydowanie nie czuła się dobrze. Nie zamierzała się jednak do tego przyznać.

- Świetnie. - Znów wydawał się zadowolony.

- Gdzie jestem? - Coś było nie tak z jej twarzą. A dokładnie z nosem. Wydawał się zniekształcony i rozpalony. Opuchnięty. Nie mogła go zmarszczyć, ale tak naprawdę nie bolał. Po prostu wydawał się... dziwny. Jak cała reszta jej ciała.

- W Washington Hospital.

Podniosła rękę do nosa i zobaczyła, że ma nagie ramiona. Zdała sobie sprawę, że pod beżowym kocem i kołdrą w białej poszewce, którymi była przykryta po pachy, miała na sobie wyłącznie niebieską szpitalną koszulę. Wyczuła opatrunek.

- Mój nos. - Delikatnie przesunęła po nim palcami; bandaż zakrywał jej pół twarzy. Chryste, pod tym wszystkim nos sprawiał wrażenie wielkiego i bezkształtnego niczym rozgotowany ziemniak.

Miała nadzieję, że większość z tego to gaza.

- Jest rozbity. - Przyglądał się jej uważnie i ich spojrzenia ponownie się spotkały. - Nie ma się jednak czym martwić. Będzie jak nowy, kiedy tylko zejdzie opuchlizna.

- Czyli kiedy? Wzruszył ramionami.

- Za jakiś tydzień. Bardziej niepokoi mnie uraz głowy.

- Boli - przyznała.

- Nie dziwię się. Ale poza uszkodzonym nosem i guzem na głowie nie masz żadnych poważnych obrażeń. Reszta to siniaki i otarcia. Wszystko będzie w porządku.

- Pracujesz tu?

Wydawało jej się, że powinna znać odpowiedź. Wiedziała, jak się nazywał, że był jej sąsiadem i lekarzem. Jednocześnie miała wrażenie, że wie o nim o wiele więcej. Prawdopodobnie wiedziała. Może wprowadziła jego nazwisko do wyszukiwarki internetowej. Miała co prawda chłopaka, ale w końcu była tylko człowiekiem. A on stanowił nie lada kąsek.

- Czasem. Nie dziś. Jestem tu tylko ze względu na ciebie. Kiedy wróciłem wczoraj do domu, usłyszałem twój przeraźliwy wrzask. Wybiegłem z garażu zobaczyć, co się dzieje, w chwili gdy wyleciałaś przez okno. Mniej więcej w tym samym czasie nadjechała policja i karetka. Przyjechałem tu z tobą, by mieć pewność, że dobrze się tobą zajmą.

- O, dziękuję. - Zastanowiła się nad tym przez chwilę. - Niewykluczone, że uratowałeś mi życie.

- Nie ma sprawy. Od tego są życzliwi sąsiedzi. - Uśmiechnął się. Znała ten uśmiech. Czy powodował szybsze bicie serca? Nie mogła sobie przypomnieć. Z całą pewnością jednak go znała.

- W razie gdybyś się zastanawiała - mówił dalej - niedługo powinni cię wypisać. Może już dziś po południu.

- Dziś? - Ku swemu zaskoczeniu odkryła, że wcale jej na tym nie zależy. Jaki dziś dzień? Nie wiedziała. Zaniepokoiło ją to. Powinna pamiętać datę, a jednak nie miała pojęcia, jaki jest dzień czy miesiąc. Nie wiedziała wielu rzeczy, które zdecydowanie powinna, i



naprawdę zaczynała się niepokoić. - Czyli...?

- Sobota. Dwudziesty dziewiąty lipca. - Zerknął na zegarek. - Szósta czterdzieści pięć rano.

Przypomniała sobie czerwone cyfry na kuchennym zegarze wskazujące pierwszą czternaście i mimowolnie zadrżała. Miała nieprzyjemne uczucie, że zbliża się do odkrycia czegoś, czego wolałaby nie pamiętać. Cokolwiek to było, wyobrażała sobie, że jest ogromne, brzydkie i czai się tuż na obrzeżach świadomości, jak potwór z dziecięcej wyobraźni. Bez zagładania pod łóżko wiadomo, że tam jest.

- Zimno? - Dan wziął ją za nadgarstek, żeby zmierzyć puls. Dopiero kiedy poczuła jego ciepły dotyk na swojej skórze, zdała sobie sprawę, że rzeczywiście jest przemarznięta.

- Trochę - przyznała.

Bez słowa puścił jej rękę i sięgnął po dodatkowy koc złożony w nogach łóżka. Przykrył ją po samą szyję.

- Lepiej? - spytał.

- Tak. - Szorstki koc drapał ją w szyję i ramiona, ale dodatkowa warstwa pomogła. - Dziękuję.

Dan kiwnął głową, przyjmując podziękowanie.

Dłużej nie mogła zwlekać. Zwariuje, jeśli natychmiast się nie dowie, co to za potwór czai się w mroku jej podświadomości.

Wzięła głęboki oddech i popatrzyła Danowi w oczy.

- Więc co się stało wczoraj w nocy? Czemu jestem w szpitalu?

Wyraz jego twarzy zmienił się nieco. Popatrzył na nią z pewną ostrożnością. Niepewność była nieznaczna, ale rozpoznawalna. Świetnie. Już wiedziała, że nie spodoba jej się to, co usłyszy. Jego reakcja ją w tym upewniła. Serce zaczęło szybciej bić w trwożnym oczekiwaniu.

- Nie pamiętasz? - zdziwił się. Pomyślała przez chwilę i potrząsnęła głową.

- Zupełnie nic? Zmarszczyła brwi.

- Nie spiesz się - powiedział, obserwując ją z uwagą. - Spokojnie. Przypomnisz sobie, kiedy będziesz gotowa.

Spróbowała się skupić. Tak jak obiecał, mgła zaczęła powoli ustępować miejsca obrazom. Straszny obrazom. Przerazającym. Choć pozostawały jeszcze niewyraźne, jej serce łomotało w piersi jak szalone ze strachu.

- Do mojego domu włamali się złodzieje. - Zaszło jej w gardle. - Dwóch uzbrojonych zamaskowanych mężczyzn.

- Zgadza się. Co jeszcze pamiętasz? - Nie przestawał się przypatrywać jej twarzy.

Przypomnienie sobie szczegółów wiązało się z dużym wysiłkiem. Ból głowy i trudności z oddychaniem nie ułatwiały koncentracji. Mgła czała się, by ponownie zasnuć jej pamięć.

- Chcieli zabrać... biżuterię, której nie miałam. Spałam, a kiedy się obudziłam, w mojej sypialni zobaczyłam jakiegoś mężczyznę... - Serce podskoczyło jej w piersi, żołądek się ścisnął, źrenice rozszerzyły z przerażenia. - O mój Boże! Lisa!

Popatrzyła na niego z niemym pytaniem. Nie była w stanie zadać go na głos. Jego twarz powiedziała jej wszystko, jeszcze zanim otworzył usta.

- To ta koleżanka, która przyjechała z wizytą? - Grał na zwłokę, była tego pewna. Nie chciał jej tego powiedzieć tak od razu, próbował złagodzić cios.

Skinęła głową. Czuła gęsią skórę na całym ciele.

- Nie żyje, prawda?

Oczy Dana pociemniały, zobaczyła w nich współczucie.

- Tak. Przykro mi.

- Boże.

Mimo że w głębi serca знаła prawdę już wcześniej, to potwierdzenie było jak cios w splot słoneczny. Katharine wciągnęła powietrze, objęła się ramionami i zamknęła oczy. Bała się, że zaraz zemdleje. Lisa nie żyła. Lisa, błyskotliwa, odważna, zawsze uśmiechnięta Lisa, została w bestialski sposób zamordowana na jej oczach.

Wszystko sobie przypomniwała. Wolałaby nie pamiętać.

Czekała w napięciu na nieuniknione uderzenie żalu. Wyobrażała

sobie, jak pędzi w jej stronę, czuła jego ciężar i czerń. Ale zanim do niej dotarł, poczuła coś innego. Dziwnego. Nagle znalazła się gdzieś daleko, świadomość wagi wydarzeń przygasła, oddaliła się. Katharine czuła się emocjonalnie odcięta, jakby słuchała wiadomości, która przejmowała ją smutkiem, jednak nie miała z nią nic wspólnego.

Nie była może w najlepszej formie, myślenie nie przychodziło z taką łatwością jak zazwyczaj, ale zdawała sobie sprawę, że jej uczucia - czy raczej ich brak - nie są zdrowe.

Wręcz nienormalne.

Zmusiła się do otwarcia oczu.

- Czy żyła, kiedy przywieźli ją do szpitala? - wychrypiała. Upiorne obrazy po raz kolejny pojawiły się przed jej oczami: stoją we dwie w pralni, kula przeszywa ciało Lisy, Lisa upada na drzwi... tak, wszystko pamiętała. Jednak nic nie czuła. Nie reagowała właściwie.

Dan zacisnął wargi, jakby nie podobało mu się to, co ma powiedzieć.

- Nie. Stwierdzono zgon na miejscu. Krew tryskająca z piersi Lisy...

- Nie mogę uwierzyć w to, co się stało. - Jej głos zabrzmiał dziwnie spokojnie w kontraście do krwawych obrazów, które miała świeżo w pamięci. Wiedziała, co się zdarzyło i jakie to było przerażające. Zdawała sobie sprawę, że przeżyła ogromny wstrząs i dotkliwą stratę, ale nie potrafiła tego ogarnąć, mając owo wrażenie oderwania od rzeczywistości.

Jesteś w szoku, powiedziała sobie stanowczo. Poczwała ulgę. To tak wiele wyjaśniało. Szok jest normalny w takich sytuacjach. Minie.

- Bo nie powinno było się wydarzyć. - W głosie Dana zabrzmiały ostre tony, rysy jego twarzy stwardniały. Popatrzył w oczy Katharine, jak gdyby czegoś w nich szukał. Cokolwiek dostrzegł, dodał łagodniejszym tonem: - Hej, czy nie płacimy wysokiego czynszu za to, że mieszkamy w bezpiecznej dzielnicy?

- Tak - przyznała mu rację.

Podskoczyła ze strachu i zaskoczenia, kiedy zadzwonił telefon przy łóżku. Zamiast odebrać, zmarszczyła brwi z wahaniem i

odruchowo popatrzyła na Dana. Odebrać? Na szczęście resztki godności powstrzymały ją przed zadaniem na głos tego pytania.

Co się ze mną dzieje?, skarciła się w myślach. Sygnał wciąż rozbrzmiewał. Podniosła słuchawkę. Oczywiście, że odebrać. To twój cholerny telefon. Nie potrzebujesz pozwolenia.

Najwyraźniej piekło, przez które ostatnio przeszła, zamieniło jej mózg w jajecznicę.

- Halo?

- Katharine? To ty? - zabrzmiał głos mężczyzny w jej uchu. Był stanowczy, autorytarny, a coś w sposobie mówienia wskazywało, że dzwoniący zna ją bardzo dobrze, a przynajmniej tak mu się wydaje. Nie czekał na odpowiedź. - Co się, do cholery, stało?

Niestety, nie rozpoznawała tego głosu.

- Było... włamanie. - Zamilkła, wysilając pamięć, i próbowała przypisać głos do osoby. Bez powodzenia. Jedyne, co z tego wynikło, to większy ból głowy. Może ją czymś nafaszerowali? - popatrzyła z nadzieją na kroplówkę. Spyta, kiedy odłoży słuchawkę. To by wyjaśniało luki w pamięci.

- Jakie włamanie? Ukradli coś? Co ukradli? - W głosie mężczyzny zabrzmiał niepokój graniczący z paniką.

Nie wiedziała, z kim rozmawia. Uznała, że powinna to ustalić, zanim odpowie na jakiegokolwiek pytanie. Przecież wczoraj ktoś ją próbował zabić.

Skąd miała wiedzieć, że właśnie nie rozmawia z tą osobą?

- Kto mówi? - spytała ostrożnie, spoglądając na Dana.

Stał odwrócony tyłem do łóżka, udając zainteresowanie jakimś nieużywanym urządzeniem medycznym, beżową skrzynką, która stała na szafce obok łóżka. Uprzejmie starał się sprawiać wrażenie, że nie słucha jej rozmowy.

Po drugiej stronie nastąpiła pauza.

- To ja, Ed - warknął z niecierpliwością mężczyzna. - A myślałaś, że kto, do cholery? Katharine, ukradli coś?

Ed. Jej chłopak. Jej rozwodzący się, wpływowy kochanek. Oczywiście.

**Poczuła się zdezorientowana. Nawet teraz, kiedy już wiedziała, z kim rozmawia, w ogóle nie rozpoznawała jego głosu.**

SR

## Rozdział 4

Ed - mruknęła, próbując sobie przypomnieć, jak wygląda jej życiowy partner. Udało jej się.

Zobaczyła w myślach krótkie, porządnie ostrzyżone czarne włosy, gdzieś tam przeplatane siwizną, brązowe oczy pod ciężkimi powiekami, mięsisty nos, pełne usta, opaloną twarz o wydatnych kościach policzkowych i kwadratowej szczęce. Atrakcyjny, dobrze zbudowany mężczyzna średniego wzrostu. Lubił ćwiczyć i miał pełną szafę kosztownych garniturów. Przez telefon sprawiał wrażenie kogoś, kto przywykł do wydawania poleceń i nie znosił sprzeciwu. Może się po prostu zdenerwował. Przez chwilę musiała się zastanowić, o co pytał. Ach tak.

- Nie wiem, co zabrali - powiedziała z wysiłkiem. - Szukali biżuterii.

- Biżuterii? - spytał, najwyraźniej zbity z tropu.

- Tak mówili. Pewnie widzieli zdjęcie w „Poście”. Wiesz, tamto, na którym jestem w...

- Wiem - przerwał jej.

Zdjęcie przysporzyło niemało kłopotów również jemu. Obejmował na nim ramieniem Katharine, mającą na sobie przepiękny brylantowy komplet należący do jego żony, teraz już prawie byłej, która podjęła zdecydowane kroki natychmiast po otwarciu gazety. Wyprowadziła się z ich wspólnego domu i zażądała horrendalnych alimentów.

- Dlaczego myślisz, że przyszli po biżuterię?

- Ja... ja... tak powiedzieli. - Westchnęła głęboko, z całych sił próbując sobie przypomnieć szczegóły. - Zastrzelili Lisę. Ona nie żyje.

- Słyszałem. To straszne. - Nastąpiła kolejna pauza. Katharine wyczuwała, że Ed z trudem powstrzymuje zniecierpliwienie. Najwyraźniej śmierć Lisy nie zrobiła na nim zbyt wielkiego wrażenia. Nie znał jej. O ile pamięć jej znów nie zawodziła, nigdy się



nie spotkali. - Cieszę się, że tobie nic się nie stało.

- Cóż... - zaczęła. Chciała mu wyjaśnić, że się myli. Przerwał jej.

- Katharine. Kim oni byli? - Wyczuła w jego głosie natarczywość.

Mocniej ścisnęła w dłoni słuchawkę.

- Nie... nie wiem. Włamywaczami. Złodziejami. Oni...

Nie pozwolił jej skończyć.

- Czy ktoś mógł ich nasłać?

- Co? - Nie zrozumiała. Westchnął ze zniecierpliwieniem.

- Sądzisz, że to mogli być szpiedzy?

Katharine nadal nie rozumiała. Aż nagle doznała olśnienia. Miał na myśli ciemne strony ich profesji. W tym świecie toczyły się przeróżne rozgrywki: CIA, FBI, NSA, DOD, NORAD i tuzin innych agencji rządowych miały między sobą najróżniejsze porachunki. Mówiąc „szpiedzy”, Ed miał na myśli tajniaków, krety. Na samą myśl przeszedł ją dreszcz. Przypomniała sobie napad. Dwóch ubranych na czarno facetów, wysokich i muskularnych, rzeczowych i metodycznych nawet przy biciu i zastraszaniu... Nie wiedziała, czemu sama na to nie wpadła.

- Nie wiem. M-możliwe.

- Do diabła, niech to szlag - wycedził przez zęby. - Co mówili? Jak się zachowywali?

Jeszcze raz poczuła tamten strach. Zostawiał kwaśny smak w ustach, przyspieszał bicie serca i zamieniał żołądek w sopel lodu. Zwilżyła suche wargi.

- Zażądali mojej biżuterii. Nie mogłam im nic dać, więc mnie pobili, a potem próbowali zabić. Za-zastrzelili Lisę.

- Opowiedz mi od początku, co się stało.

Wzięła głęboki oddech i przedstawiła mu okrojona wersję wydarzeń. Odkryła, że nie chce o tym mówić. Niektóre sprawy, na przykład szczegóły śmierci Lisy, były jeszcze zbyt świeże. Sama chciała dokładnie pojąć, co się wydarzyło, zanim podzieli się z kimkolwiek swoimi przeżyciami.

- Zabrali coś? Co zabrali?

Wyczuła w jego głosie napięcie niemal równe jej własnemu.

- Nie wiem, nie widziałam. Byli w pokoju. Znaleźli sejf. Nigdy mi nie... - „wspominałeś o ukrytym sejfie”, chciała powiedzieć, ale przerwał jej strumieniem przekleństw.

- Dostali się do niego? Zabrali coś? Co zabrali? - Ostatnie zdanie wręcz wywrzeszczał. Katharine aż podskoczyła.

Agresywny typ. Zaskoczyła ją własna obojętna konstatacja. Zawsze tak wrzeszczał? Najgorsze było to, że nie miała pojęcia. Wiedziała jedynie, że nie lubi, kiedy ktoś na nią wrzeszczy.

- Nie wiem - odrzekła z nagłym chłodem. Ile razy miała powtarzać? Palce bolały ją od kurczowego ściskania słuchawki, przełożyła ją do drugiej ręki. - Co było w tym sejfie? Bizuteria?

Wziął głęboki oddech. Cisza, która teraz nastąpiła, była równie wymowna jak wrzask.

- Tak - powiedział po chwili. - I kilka innych rzeczy. Wartościowych. Gotówka, takie tam. Sama wiesz.

Tak, wiedziała. Wiedziała, że kłamie. Wyraźnie wyczuwała to w jego głosie.

„Nie mów mi, że wiesz”, odezwał się ostrzegawczy głos w jej głowie. Instynkt podpowiadał Katharine, iż w jej najlepszym interesie jest udawanie, że wierzy we wszystko, co słyszy.

- Wracam do domu - odezwał się niespodziewanie, nim zdążyła odpowiedzieć. - Tak szybko, jak będę mógł. Do tego czasu przypilnują cię moi ludzie. Zabiorą cię w bezpieczne miejsce, kiedy tylko wyjdiesz ze szpitala.

W bezpieczne miejsce... Serce podskoczyło jej do gardła, kiedy zdała sobie sprawę ze znaczenia tych słów. O ile się nie myliła, oznaczały, że teraz nie jest bezpieczna.

- Och - odpowiedziała słabo. Na myśl o spotkaniu z nim poczuła motylki w brzuchu. Nie w przyjemnym znaczeniu tego wyrażenia. Niespokojne motylki. Przerażone.

- Kocham cię, maleńka - zakończył Ed, nie pozwalając jej nic powiedzieć.

Katharine wolno opuściła słuchawkę. Z niespokojnym sercem popatrzyła na dłoń, w której ściskała telefon. Aż jej kostki zbieleły.

- Wszystko w porządku?

Zapomniała o Danie. Popatrzyła w stronę, skąd dobiegł jego głos. Wciąż stał obok aparatury medycznej, tyle że teraz otwarcie przyglądał się Katharine. Sprawiał wrażenie zagubionego.

Był lekarzem. Uchwyciła się tej myśli jak tonący brzytwy. Mogła mu opowiedzieć o lukach w pamięci, dziwnym wrażeniu odrealnienia, o tym, jak nieswojo się czuje. O Edzie, że nie rozpoznaje jego głosu i żywi nieprzyjemne przekonanie, iż wszelki sprzeciw wobec tego człowieka może się skończyć... cóż, źle. Dan mógłby jej pomóc, wyjaśnić, sprawić, by wszystko nabrało sensu...

Nie zdążyła jednak podjąć ostatecznej decyzji, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Podskoczyła na łóżku, chwilowo zapominając o swoich nadziejach.

O mój Boże, czyżby to już byli ludzie Eda?, pomyślała w panice. Dan zmarszczył czoło i spojrzał na drzwi. Zanim zdążyli ochłonać na tyle, by powiedzieć „proszę”, ktoś pociągnął za klamkę z drugiej strony.

- Dzień dobry, panno Lawrence. - Młoda, niestosownie radosna czarnoskóra dziewczyna w zielonym fartuchu szpitalnym wtoczyła z hałasem metalowy wózek. - Ja na chwileczkę. Muszę sprawdzić... - Popatrzyła na Dana, który już odwrócił się z powrotem do Katharine z miną wyrażającą współczucie. - Dzień dobry, panie doktorze. - Podprowadziła wózek do łóżka i dokończyła zdanie, jakby go w ogóle nie przerywała: - ...ciśnienie krwi. Proszę mi podać rękę.

Dan zasalutował i wyszeptał bezgłośnie: „Na razie”. Katharine wyjęła rękę spod koca i podała pielęgniarce. Nim ta obwiązała ramię znajomą opaską ciśnieniomierza, Dana już nie było.

- Proszę się odprężyć. To zajmie tylko chwilę - zapewniła ją dziewczyna. Katharine wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w opaskę ciśnieniomierza. Uspokój się, mówiła sobie, ale bezskutecznie. Nie potrafiła się zrelaksować nawet na sekundę. W głowie wirował jej kołowrotek myśli. Serce uderzało szybciej niż zazwyczaj. Czuła się podenerwowana, niespokojna, nieprzyjemnie pobudzona.

Wystraszona.

- Ciśnienie jest odrobinę za wysokie. - Pielęgniarka cmoknęła z dezaprobatą, odkładając ciśnieniomierz z powrotem na wózek. - Proszę odpoczywać. Za jakiś czas zmierzymy ponownie. Niedługo śniadanie.

- Dziękuję - odparła Katharine, odprowadzając wzrokiem dziewczynę do wyjścia.

Mimo zamkniętych drzwi, słyszała stukot wózka. Szpital się budził. Ludzie chodzili po korytarzu. Dobiegały ją dźwięki kroków, głosy, śmiech, pikanie pejdzerów. Światło wpadające przez szpary w drzwiach wydawało się jaśniejsze. Podobnie jak to przeświecające między zasłonami. Wschodziło słońce. Nawet szum klimatyzacji zdawał się przybierać na sile, jakby szykując się do walki z nadchodzącym upałem.

Mam szczęście, że dane mi jest widzieć początek kolejnego dnia, uznała Katharine.

Myśl ta wywołała w niej nową falę strachu. A także nieokreślonego smutku, ze względu na siebie i Lisę. Jedna żywa, druga martwa.

Dlaczego, dlaczego, dlaczego?

Próbowała uporządkować chaos w głowie, jednak galopujące myśli i obrazy znikwały jeden po drugim, nie dając szansy na ogarnięcie całości. Poddała się i sięgnęła po pilota. W telewizji nadawali właśnie wiadomości. Chciała skorzystać z rady pielęgniarki i odpocząć, ale okazało się to niemożliwe. Była tak rozkojarzona, że nie dotarło do niej ani jedno zdanie. Łóżko wydało się nagle niewygodne, koc zbyt szorstki, temperatura w pokoju stanowczo zbyt niska. W ustach zaschło jej zupełnie, głowa pękała z bólu. A w dodatku nie mogła oddychać przez nos. Wciąż czuła się dziwnie. Nie potrafiła tego lepiej określić.

Nie mogła się pozbyć wrażenia, iż coś jest nie w porządku. Chodziło o coś więcej niż to, że Lisa nie żyje, a ona sama wylądowała w szpitalu. Coś... coś... dobry Boże, nie potrafiła określić, co tak naprawdę sprawiało, że cała się trzęsła w środku, próbując dotrzeć

do sedna problemu.

Ed jest w drodze. Ta świadomość powinna dodać otuchy, a reakcja jej ciała świadczyła o czymś przeciwnym: Katharine była sztywna ze strachu.

Nie chcę się z nim spotkać, z zaskoczeniem zdała sobie z tego sprawę. Czyżby się pokłócili? Nic takiego nie pamiętała, ale... Oprócz mnóstwa innych rzeczy nie potrafiła sobie również przypomnieć prawie niczego na temat ich związku. Zbyt wiele luk. Tylko ogólny zarys z wieloma dziurami pomiędzy kilkoma ważnymi faktami. Niezależnie od tego, jak bardzo się starała, poskładanie w całość zamazanych obrazów okazało się za trudne.

Boję się, pomyślała z przerażającą jasnością, która tylko wzmożyła strach.

No już, uspokajała się stanowczo, weź się w garść. Jesteś w szoku. To minie. Oddychaj.

Oczywiście łatwiej powiedzieć, niż wykonać, jeśli się ma zmiądzony nos. Niemniej jednak spróbowała.

Wdech, wydech, wdech, wydech, wde...

Odgłos szybkich kroków dochodzący z korytarza przerwał jej koncentrację. Przez pomyłkę spróbowała wypuścić powietrze zablokowanym nosem. Zabolało. Nawet nie zwróciła na to uwagi. Zamarła, słuchając w napięciu zbliżających się ciężkich kroków. Ktoś minął drzwi do jej sali i poszedł dalej. Westchnęła z ulgą. Znow skupiła się na uspokajającym oddychaniu.

Po kilku minutach musiała przyznać sama przed sobą, że traci czas. Napięcie nie zelżało ani odrobinę. Odgłosy codziennej szpitalnej krzątaczki zamiast działać kojąco, niepokoiły ją. Kim są ci ludzie kręcący się po korytarzach? Czy ktoś z nich czyha na jej życie? Wiedziała, że to zakrawa na paranoję, jednak nie sposób wykluczyć takiej możliwości.

Poruszyła się ze zniecierpliwieniem, próbując przybrać wygodniejszą pozycję, i nagle jej uwagę zwrócił pierścionek z szafirem wielkości orzecha laskowego, który miała na palcu. Zafascynowana zbliżyła błyszczący niebieski kamień otoczony



wianuszkami diamentów do lampy. Wyglądał bajecznie i zupełnie do niej nie pasował, nie pamiętała siebie jako osoby noszącej tego rodzaju kosztowności. Sama dłoń również wyglądała na przesadnie zadbaną. Przypatrywała się długim szczupłym palcom i pięknym świeżo pomalowanym na gustowny odcień różu opiłowanym na półokrągło paznokciom. Nie poznawała tej ręki. Wydawało się niemożliwe, by jej własna była tak gładka i wypielegnowana.

Ostrożnie dotknęła pierścienia. Kamień był twardy i zimny - a także wielki i drogi. Z całą pewnością niezwykle drogi. Sama go sobie kupiła za pieniądze ze spadku. Ta informacja po prostu nagle pojawiła się w jej głowie, nie pozostawiając cienia wątpliwości. Przez moment miała nadzieję, że mgła spowijająca jej umysł zaczyna znikać, ale nic więcej sobie nie przypominała. Ani nazwy sklepu, ani samego momentu zakupu. Nic poza dwoma suchymi faktami. Przeszukiwała zakamarki pamięci w jałowym wysiłku, by znaleźć coś więcej. W zamyśleniu okręcała pierścienek na palcu. Nagle przerwała. Zdała sobie sprawę, że jest na nią o wiele za duży. Wpatrywała się w swoją rękę, gwałtownie wciągając ustami powietrze.

Czyżby ostatnio znacznie straciła na wadze? Nie miała pojęcia i przejmowało ją to lekko. A może miała zamiar zmniejszyć pierścienek? Może kupiła za duży? Czy też wolała, aby był luźny? Każda z tych możliwości wydawała się równie prawdopodobna. Naprawdę nie miała pojęcia. Dotknęła diamentowych kolczyków w uszach. Wielkie, zimne i koszmarnie drogie. Wielkości i o temperaturze mrożonego groszku.

Nie pasowały do niej.

Siedziała na łóżku, bawiąc się kolczykami, a wydarzenia minionej nocy przesuwają się przed oczami wyobraźni niczym sceny z filmu. Upiorny cień skradający się ku niej w sypialni. Mężczyzna przyciskający ją kolaniem podczas związywania jej rąk na plecach. Głos pytający w kółko: „Gdzie to jest?” ... Dwóch muskularnych wysokich zamaskowanych ubranych na czarno mężczyzn...

Szpiedzy. Przypominając sobie, jak wyglądali, dziwiła się sobie, że



od razu o tym nie pomyślała. Włamywacze, którzy zabili Lisę i próbowali zabić również ją, byli zbyt sprawni, za dobrze wyszkoleni i zdyscyplinowani jak na zwykłych złodziei. Musieli być tajniakami. Wcześniej prawdopodobnie strach przeszkodził jej w dodaniu dwóch do dwóch, teraz jednak nie miała wątpliwości.

Wiedziała, że szukali biżuterii, niewyobrażalnie kosztownej biżuterii, w której sfotografował ją reporter „Postu”, uważała to za niepodważalny fakt, a jednak nie przypominała sobie, by tak rzeczywiście powiedzieli.

Skąd więc wiedziała? Dobre pytanie. Szkoda, że nie ma przekonującej odpowiedzi.

Położyła ręce na kocu. Szafir błysnął w świetle lampy. Zapatrzyła się w hipnotyzujący blask kamienia.

Miała potwierdzenie swoich podejrzeń. Wbrew temu, co jej się wydawało, że wie, zdrowy rozsądek podsuwał teraz coś zupełnie innego. Tamci dwaj nie przyszli po biżuterię. Gdyby tak było, nie miałyby już pierścionka i kolczyków. A więc chodziło im o coś innego, co, ich zdaniem, Ed przechowywał w sejfie, o którym nie raczył jej poinformować. Celowo. Sapnęła z przejęciem. Ed wiedział, czego chcieli, wiedział, że nie włamali się z powodu biżuterii. Usłyszała to w jego głosie.

Znów wystraszyły ją kroki pod drzwiami. Czekwała w napięciu, ale nikt nie wszedł. Odetchnęła z ulgą. Myślała, że to ludzie Eda, którzy mieli ją chronić, a potem gdzieś zabrać.

Jej mózg - umęczona galaretowata substancja - nie miał nic przeciwko temu. Jej ciało - owszem. Za każdym razem, kiedy pojawiała się podejrzanie, że nadchodzą, była bliska ataku serca. Hmmm... Czyżby ciało pragnęło coś jej powiedzieć?

Podskoczyła niemal do sufitu, kiedy odezwał się dzwonek telefonu. Usiadła gwałtownie, zapominając o kroplówce. Nagły ostry ból przeszył jej klatkę piersiową, zrobiło jej się słabo, pokój zawirował. Z bijącym sercem, oddychając ciężko, popatrzyła na rozmazany telefon, jakby stanęła oko w oko z grzechotnikiem. Zadzwoił pięć razy, zanim była w stanie wreszcie podnieść

słuchawkę.

- Katharine? - Tym razem bez trudu rozpoznała głos Eda. - Właśnie skończyłem rozmawiać ze Starkeyem. On i Bennett są już w szpitalu. Rozmawiają z gliniarzami, którzy pytali w recepcji o numer twojej sali. To detektywi. Chcą z tobą pogadać o wydarzeniach minionej nocy. - Przerwał i odrobinę ściszył głos. - Jesteś sama?

- T-tak. - Starła się opanować drżenie. Z jakiegoś powodu wiadomość o pojawieniu się jego ludzi ją przeraziła. Wiedziała, że sama dla niego pracuje, więc właściwie jest jedną z tamtych, ale to jej nie uspokajało. Był jej szefem, mentorem, kochankiem... Czemu na myśl o tym czuła chłód?

- Dobrze, słuchaj: nie mów policji o moich podejrzeniach, że to wewnętrzne porachunki. Nie ma potrzeby tego rozgłaszać. Dla opinii publicznej - łącznie z gliniarzami - padłaś ofiarą złodziei, po prostu. Myśleli, że trzymasz w domu biżuterię. Sprawy wymknęły się spod kontroli i zginęła twoja przyjaciółka. Jasne?

O tak, jak słońce. Żądasz, żebym składała fałszywe zeznania. Nie powiedziała tego głośno. Wolą być ostrożna w rozmowach z nim; w głowie pojawiało jej się jakieś ostrzegawcze światełko za każdym razem, kiedy miała z nim do czynienia.

- Jak chcesz - odparła. Rozważała, czy powinna być z siebie dumna, czy też pogardzać sobą za tę uległość.

- Grzeczna dziewczynka - powiedział ze słyszalną ulgą. - Zresztą teraz, kiedy o tym myślę, wydaje mi się całkiem możliwe, że istotnie chcieli ukraść klejnoty. Ten komplet, w którym cię sfotografowano, jest wart fortunę. Powiem Starkeyowi, żeby jakoś spróbował spławić tych gliniarzy, a jeśli mu się nie uda, trzymaj się wersji z biżuterią.

- Dobrze.

- Wylatuję za godzinę. Powinienem być na miejscu późnym wieczorem. Najpóźniej zobaczymy się jutro rano.

- Dobrze.

- Kocham cię, maleńka - zakończył rozmowę dokładnie tak, jak za pierwszym razem, nie dając jej szansy nic powiedzieć.

Katharine wolno odłożyła słuchawkę. Była roztrzęsiona i napięta

do granic wytrzymałości. Serce dosłownie chciało jej wyskoczyć z klatki piersiowej, czuła to. Oddychała szybko i płytko, krew huczała jej w uszach. Ręce drżały.

Musiała prędko coś wymyślić. Niełatwe zadanie, kiedy umysł odmawia posłuszeństwa. Była świadoma akurat na tyle, by zdawać sobie sprawę, że nie do końca może polegać na własnym mózgu.

Wczoraj próbowano ją zabić. Tego jednego była pewna. Kto? Nie wiedziała. Prawdopodobnie szpiegzy. Profesjoniści. Tajniacy. Jak ci, którzy pracują dla Eda. Jej faceta, który chce, żeby kłamała policji. Który doskonale zdaje sobie sprawę, że czegokolwiek szukali włamywacze, z całą pewnością nie była to biżuteria, jak usiłował jej wmówić.

Myśli o Edzie i jego ludziach sprawiły, że poczuła nieodpartą pokusę, by wczołgać się pod łóżko. Mówił o Starkeyu i Bennecie tak, jakby zakładał, że powinna wiedzieć, o kim mowa. A ona nie miała pojęcia. To zagadka na kiedy indziej. Tamci dwaj nadchodzili, tym należało się teraz martwić. Instynkt nakazywał ucieczkę.

## **Rozdział 5**

Musiała zaufać przeczuciom, skoro nie mogła polegać na własnej zdolności racjonalnej oceny sytuacji. Problem w tym, że była przykuta do szpitalnego łóżka, ranna i podłączona do kroplówki. Natomiast jej stan psychiczny nadawał nowy wymiar słowom „odurzona” i „zdezorientowana”.

Starkey i Bennett mogli się pojawić lada chwila. Pod wpływem paniki Katharine podjęła natychmiastową decyzję. Nie ma mowy, żeby im zaufała, zdając się na ich łaskę, póki nie zorientuje się lepiej w swojej sytuacji. Wykluczone. Postanowiła uciec za wszelką cenę. Wstała, starając się nie zwracać uwagi na drzenie całego ciała, przyspieszony puls, ból głowy i ucisk w klatce piersiowej.

- Cholera - wyrwało jej się, kiedy kolana odmówiły posłuszeństwa. Gdyby nie uchwyciła się stojaka od kroplówki, opadłaby na podłogę jak worek kartofli i na tym by się skończyło. Na szczęście metalowy pręt na kółkach okazał się wystarczająco stabilny. W głowie jej pulsowało, bolały ją zębra, nogi miała jak z waty, pokój przesłaniała mgła. Trzymała się na nogach prawie wyłącznie dzięki sile woli, kurczowo ściskając stojak.

Uff. Na razie nieźle. Przynajmniej udało się wstać. Fakt, że była podłączona do tej przeklętej kroplówki, z pewnością nie ułatwi jej ucieczki. Na szczęście urządzeniu miało kółka.

Ostrożnie posuwała się naprzód, popychając przed sobą stojak z kroplówką. Pomagał jej utrzymać się na drżących nogach. Szła tak szybko, jak tylko pozwalały obolałe mięśnie. Na bosych stopach czuła chłód posadzki. Zimny powiew klimatyzacji przeszył ją na wskroś. Myśl o pojawieniu się na korytarzu w szpitalnej koszuli nie sprawiała Katharine przyjemności, jednak druga ewentualność była dużo gorsza. Nie wiedziała, na którym jest piętrze, ale na pewno w szpitalu są windy. Starkey i Bennett równie dobrze mogli już wysiąść z którejś z nich i właśnie szli w stronę jej sali. Jeżeli jeszcze nie teraz, to na pewno wkrótce.

Serce zabiło jej mocniej ze strachu. Krew w żyłach zamieniła się w lód. Zaczęła szybciej oddychać. Nieważny wstyd. Przebiegłaby nago przez stadion piłkarski w trakcie mistrzostw świata, gdyby dzięki temu miała szansę uciec.

Nie zwracając uwagi na zimno oraz skąpy strój, przystanąła pod drzwiami i przez chwilę nasłuchiwała z ręką na klamce i uchem przy framudze. Obawiała się, że każda minuta zwłoki może ją zbyt wiele kosztować. Wstrzymała oddech, niespokojna niczym kot w klatce pełnej psów, i zmusiła się, by odczekać jeszcze kilka sekund i upewnić się, że nikogo nie ma za drzwiami. Gdyby ludzie Eda przyłapali ją na próbie ucieczki, miałyby poważne kłopoty. Wróciłaby raczej do łóżka i spróbowała zostać w szpitalu tak długo jak to możliwe, jeśli nie byłoby innego wyjścia. To jednak oznaczało zgodę na ich opiekę, czyli innymi słowy zdanie się na ich łaskę. Poczowała ucisk w gardle i ból w żołądku. Nie wiedziała, skąd ten strach, ale nie sposób go było pomylić z niczym innym. Spróbowała ponownie wsłuchać się w głos swojej intuicji. Niestety, nie słyszała nic prócz szumu klimatyzacji i przyspieszonego bicia serca. Może nie było nic do usłyszenia.

Z tą pocieszającą myślą uchyliła drzwi i wyjrzała na korytarz. Pusty, jeśli się nie myliła.

No, idź już.

Tak też zrobiła. Wzięła głęboki oddech i popychając przed sobą stojak z kroplówką, wyszła z sali. Rozejrzała się po pomalowanym na beżowo korytarzu i odkryła, że tylko dwoje drzwi dzieli ją od jego końca i wyjścia przeciwpożarowego. Kilka metrów dalej w przeciwnym kierunku znajdowało się stanowisko pielęgniarek, przy którym siedział odwrócony do niej plecami siwowłosa mężczyzna w szpitalnym fartuchu. Rozmawiał z szatynką w stroju laborantki. Rozprawiali z przejęciem nad rozłożoną na biurku kartą. Po przeciwnej stronie korytarza, również odwrócona do niej plecami czarnoskóra pielęgniarka - prawdopodobnie ta sama, która wcześniej mierzyła Katharine ciśnienie - popychała przed sobą hałaśliwy metalowy wózek z lekarstwami.

Windy - cztery - mieściły się dokładnie naprzeciwko stanowiska pielęgniarskiego. Jedna z nich właśnie się otworzyła.

Katharine zobaczyła z przerażeniem, jak z kabiny wysiadł mężczyzna w czarnym garniturze. Starkey albo Bennett. Nie była pewna, który z nich, i nie miało to zresztą większego znaczenia, ponieważ w ślad za pierwszym mężczyzną podążał drugi. Też w czarnym garniturze. Nie potrafiłaby wytłumaczyć, skąd miała tę niezbitą pewność, że to oni. Oczywiście ich strój i ciemne okulary oraz posuwisty krok mogły stanowić wskazówkę.

Czas w drogę. Katharine uniosła do góry stojak z kroplówką, żeby nie zdradził jej dźwięk kółek sunących po linoleum, i znikła za drzwiami prowadzącymi na schody przeciwpożarowe. Pokonała już połowę drogi na półpiętro, nim drzwi się za nią zamknęły. Na schodach było cieplej, prawdopodobnie dlatego, że zamykające się automatycznie drzwi blokowały powiew zimnego powietrza z otworów wentylacyjnych w korytarzu. Ściany na klatce miały kolor seledynowy. Metalowa poręcz schodów była zimna i szeroka. Katharine musiała się o nią bardzo mocno opierać, żeby nie spaść. Betonowe schody nie były pokryte wykładziną ani linoleum. Z miejsca, gdzie weszła, wiodły schody na wyższy poziom. Około dziesięć stopni. I kolejne, jeszcze wyżej, na następne piętro. Ona schodziła na dół, na półpiętro, gdzie nie było żadnych drzwi na zewnątrz; tam schody zmieniały kierunek i prowadziły dalej w dół. Miała nadzieję, że niżej znajdzie jakieś drzwi.

Szybciej, szybciej, szybciej.

Z trudem chwytiała oddech ze zmęczenia, ale udało jej się pokonać pierwszy odcinek schodów. Musiała szalenie uważać, ponieważ zawroty głowy, niestabilne kolana oraz konieczność takiego manewrowania kroplówką, by nie stoczyła się po stopniach pociągając ją za sobą, utrudniały jej schodzenie. Spocona z wysiłku trzymała się z całych sił poręczy i co chwila rzucała rozpaczliwe spojrzenia w kierunku drzwi, które na szczęście pozostawały zamknięte. Usłyszała stłumiony odgłos kroków dochodzący z korytarza, skąd właśnie uciekła.



**Starkey. Bennett.**

Otworzyła szeroko oczy i wstrzymała oddech. Zerknęła z rozpaczą na zamknięte drzwi. Jeżeli to rzeczywiście oni (a przecucie mówiło jej, że tak), za kilka sekund wejdą na salę i odkryją jej nieobecność. Może dopisze jej szczęście i pomyślą, że poszła do łazienki...

No tak, jasne. Wielu rzeczy na swój temat nie pamiętała, prócz tej jednej, którą wiedziała z całą pewnością: nigdy nie miała aż tyle szczęścia. Poza tym drzwi do łazienki stały otworem, przypomniała sobie. Cholera. Trudno funkcjonować bez w pełni sprawnego intelektu. Nie mogła tak na szybko opracować żadnego planu. W głowie miała tylko jedną myśl: uciekać. Pozostawało jej dalej iść na dół. Używając stojaka z kroplówką jak kijka narciarskiego, z drugiej strony przytrzymywała się poręczy i z gorączkowym uporem pokonywała kolejne stopnie.

- Przepraszam, sostro! - rozległ się męski głos nie-znoszący sprzeciwu.

Podskoczyła ze strachu i omal nie spadła. W ostatniej chwili przytrzymała się kroplówki. Miała wrażenie, że ten ktoś wołał z progu jej sali.

Głos bez wątpienia należał do Starkeya albo Bennetta.

Katharine pokonała wreszcie schody i weszła na korytarz.

- Sostro!

Zatrzymała się na chwilę, niepewna co dalej. Czuła się dziwnie bezbronna w jasnym świetle jarzeniówek. Serce jej waliło i musiała dać sobie chwilę na uspokojenie oddechu. Korytarz roił się od ludzi. Młoda para odwiedzających, jak wywnioskowała po strojach (fartuchach i obuwiu ochronnym), wchodziła właśnie do sali nieopodal. Pielęgniarka zapisywała coś w karcie. Inna wyjaśniała coś przez telefon. Na środku holu tuż przy stanowisku pielęgniarek mężczyzna w fartuchu lekarskim rozmawiał z liczną grupą osób, prawdopodobnie krewnymi pacjenta. Za nimi wyczyniała harce dwójka małych dzieci. Na szczęście nikt nawet nie spojrzał w stronę Katharine.

Prędko. Co teraz? Wrócić na schody i wykraść się na zewnątrz jak

**złoczyńca? W szpitalnej koszuli bez pleców, przypięta do kroplówki? Na pewno nikt nie zauważy. W ogóle nie wzbudzi zainteresowania. Lada chwila Starkey i Bennett zaczną jej szukać. Wzdrygnęła się z lękiem.**

**Wpadną na to, że uciekła schodami? Na pewno, jeśli nie są idiotami, doszła do wniosku.**

**Niedługo cały szpital zostanie zaalarmowany. Na pewno mają swoje procedury na wypadek zniknięcia pacjenta. A ona włączy się po korytarzu półnago, opierając się na stojaku z kroplówką dwa razy wyższym od niej. Jakoś nie sądziła, by znalezienie jej nastęczyło komukolwiek trudności. Myśl o trafieniu w ręce Starkeya i Bennetta, nie wspominając już o Edzie, teraz kiedy wiedzą, że chciała uciec, napełniła Katharine przerażeniem. Wielu rzeczy nie była pewna, ale jej intuicja nie pozostawiała wątpliwości: sygnalizowała niebezpieczeństwo.**

**Pielęgniarka skończyła pisanie i zamknęła akta. Katharine podskoczyła. Lada chwila ktoś ją zauważy...**

**Rusz się!, pisnął przestraszony głosik w jej głowie. Tak też zrobiła. Przeszła energicznie przez korytarz, ciągnąc kroplówkę, i znikła za drzwiami najbliższej sali, zamykając je cicho za sobą.**

**Pokój był zaciemniony i chłodny, choć przez zasłonięte zasłony przeświecało nieco słońca. Szumiała aparatura medyczna. Najbliższe łóżko było puste, ale w pomieszczeniu rozlegał się czyjś chrapliwy oddech.**

**- Kto tu jest? - rozległ się pytający kobiecy głos zza zasłony dzielącej pokój na dwie części. Ona została umieszczona w izolatce. To najwyraźniej była sala dwuosobowa. - Jeśli do Dottie, właśnie zabrali ją na prześwietlenie.**

**- Aha, dobrze - zawołała w odpowiedzi, kiedy już była w stanie się odezwać. - Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, skorzystam z toalety, zanim wróci.**

**- Proszę. - Głos brzmiał zdecydowanie staro i marudnie. - Ja i tak nie mogę z niej korzystać. Chociaż chciałabym. Próbowала pani kiedyś załatwić się do basenu?**

Mając nadzieję, że pytanie jest z gatunku retorycznych, Katharine mruknęła coś w odpowiedzi i pospieszyła do łazienki. Zamknęła za sobą drzwi i zapaliła światło, po czym zamieniła się w słup soli.

Wpatrywała się w swoje odbicie w dużym lustrze nad umywalką. Wiedziała, że to musi być jej odbicie, ponieważ - rozejrzała się dla pewności po niewielkiej toalecie wyłożonej szarymi płytkami - była tu sama. Tylko że kobieta wpatrująca się w nią ze srebrzystej tafli - nieznajoma o zaskoczonym wyrazie twarzy z kroplówką przytwierdzoną do ramienia - nie była kimś, kogo by rozpoznawała. Kimkolwiek była, to na pewno nie ona.

SR

## Rozdział 6

Zwariowałam, pomyślała w pierwszej chwili. Patrzyła szeroko otwartymi oczami i z rozdziawionymi ustami na kobietę w lustrze, która musiała być nią, ponieważ nikogo innego w pomieszczeniu nie było. O kurczę, obudziłam się w cudzym ciele. Czy coś.

Ona miała burzę brązowych loków opadających na ramiona, jasną karnację, okrągłe policzki, wydatny podbródek i głęboko osadzone oczy pod gęstymi ciemnobrązowymi brwiami, nadające jej twarzy poważny, budzący szacunek wyraz, który zawsze jej się podobał. Miała również pełniejsze kształty niż ta istota w lustrze.

Opalona na brązowo niewiarygodnie szczupła jasnowłosa piękność miała świetnie wycieniowane, sięgające podbródka włosy, odrobinę krótsze z tyłu. W tej chwili była rozczochrana, każde pasmo sterczało w swoją stronę, jednak Katharine zdawała sobie sprawę, że patrzy na arcydzieło sztuki fryzjerskiej warte co najmniej sto dolarów. Na samą tę myśl zakręciło jej się w głowie. Nie stać jej na coś takiego, uznała. Kobietę w lustrze najwyraźniej było jednak stać. Podobnie jak na szafirowy pierścionek, diamentowe kolczyki, z których każdy miał co najmniej jeden karat, kosztowny manikiur i Bóg wie co jeszcze.

To nie jestem ja!

Wpatrywała się z przerażeniem w kobietę, która, jak należało się spodziewać, odwzajemniała przerażone spojrzenie.

Chwileczkę. Uspokój się. Oddychaj.

W porządku, opatrunek na nosie (nie tak duży ani widoczny, jak się obawiała) nie pozwalał się przyjrzeć temu szczegółowi fizjonomii, lecz wyraźnie przypominała sobie moment, w którym jej twarz zderzyła się z kuchenną podłogą. To by się zgadzało. Jak również guz na czole, powstały prawdopodobnie w wyniku tego samego uderzenia lub później, kiedy wylądowała na chodniku. Z czego wynikało, że z całą pewnością patrzy na kobietę, która przeżyła wczorajszy napad. Innymi słowy, na siebie.

**Weź się w garść. Kim innym miałabyś niby być?**

**Jej gęste ciemne brwi zniknęły zastąpione elegancko wyregulowanymi znacznie jaśniejszymi łukami. Jednak, co ważne, oczy były właściwego koloru: przejrzyste jasnozielone. Bardzo ładne i niespotykane. Zawsze uważała je za swój największy atut. Pamiętała te oczy. Wydała westchnienie ulgi. Przyjrzała się swoim zębom. Zbliżyła twarz do lustra dla pewności. Idealne dwa rzędy porcelanowo białych perełek, błyszczących w sztucznym uśmiechu.**

**Jej puls znów przyspieszył. Katharine była pewna, że jej własnemu uśmiechowi daleko do takiej doskonałości. Świetnie pamiętała szczelinę między jedynkami.**

**Co się tu, u diabła, dzieje?**

**Panika dławiła ją w gardle. Serce trzepotało w piersi. Złapała się kurczowo umywalki, jakby chcąc przytrzymać resztki zdrowego rozsądku. Obraz w lustrze rozmazał jej się przed oczami.**

**To nie jestem ja, pomyślała z całym przekonaniem. Jednakże ktoś inny mógłby to być?**

**Czyżby umarła? Zginęła wczoraj, może o tej samej godzinie co ta kobieta, przegapiła autobus do nieba i wylądowała w jej ciele. Przeszył ją dreszcz od stóp do głów. Brakuje jeszcze tylko mrozącej krew w żyłach muzyczki, jak z horroru. Wciąż nie spuszczała oka z odbicia w lustrze, jej przerażenie wzmagало się z sekundy na sekundę. Oddychała ciężko, aż zaczęło ją boleć gardło i znowu zrobiło jej się słabo. Jeszcze jedna podobna rewelacja, pomyślała ponuro, i zemdleje na skutek hiperwentylacji na podłodze w łazience Dottie i jej marudnej współlokatorce.**

**- Katharine Lawrence proszona jest o zgłoszenie się do najbliższego stanowiska pielęgniarstwa. Katharine Lawrence... - rozległo się z głośników.**

**Pościg ruszył; Katharine omal nie umarła ze strachu.**

**Postanowiła złożyć swój dziwny kryzys tożsamości na karb ataku paniki. Rozwiązanie zagadki zamiany ciał musi poczekać. W tej chwili trzeba pozbyć się kroplówki, zdobyć jakieś ubranie i wydostać się ze szpitala.**

Szybko. Zanim ją znajdą.

Niezależnie od tego, kim jest, wciąż bała się tych ludzi, którzy chcieli ją odszukać.

Na początek postanowiła się pozbyć kroplówki. Spojrzała na swoje ramię, odrywając wzrok od budzącego grozę widoku w lustrze. Było zbyt szczupłe, opalone i kształtne, by mogło należeć do niej. Później przyjdzie czas na wrzaski przerażenia. Na razie musiała się stąd wydostać. Kimkolwiek jest. Plaster przytrzymał plastikową rurkę przytwierdzoną do ręki. Wiedziała, że pod nim znajduje się wbita w żyłę igła.

Boże, nie znosiła igieł.

To wiedziała. To była ona. Nie czas jednak na folgowanie dziecinnym lękom. Starając się nie zwracać uwagi na ściskanie w żołądku oraz pot zraszający czoło, Katharine zacisnęła zęby, po czym delikatnie oderwała plaster i wyjęła igłę. Pojawiła się pojedyncza kropla krwi.

Walcząc z falą mdłości (najwyraźniej krwi również się bała), sięgnęła po kawałek papieru toaletowego i przycisnęła do żyły. Po chwili krwawienie ustało. Wyrzuciła papier do kosza.

Udało jej się uwolnić od zbędnego balastu. Teraz ubranie. Wyszła z łazienki...

- To ty, Dottie?

- Yyy... jeszcze nie wróciła.

Cichutko prześlizgnęła się do szafy i bezszelestnie ją otworzyła...

- A, zapomniałam o tobie. Jesteś jedną z córek Dottie?

- Tak.

...żeby poszukać ubrań. Znalazła bluzkę z krótkim rękawem, ciemną, prawdopodobnie czarną albo granatową w wielkie różowe kwiaty, i ciemne spodnie.

- Którą?

- Ee, najstarszą.

Zrezygnowała ze schludnie złożonej bielizny. Nie ma mowy, żeby włożyła intymne części garderoby należące do innej kobiety. Biustonosz i tak by na nią nie pasował, miseczki były wielkie i



sztywne, sterczały niczym dwa Mount Everesty. Zdjęła szpitalną koszulę.

- Sandy? -Aha.

Wrzuciła ją na najwyższą półkę szafy, tak daleko, jak się dało.

- Świetnie, bo chciałam cię spytać, gdzie kupiłeś to ciasto, które przyniosłeś wczoraj. Było bardzo smaczne.

Pospiesznie wciągnęła na siebie ubrania należące do nieobecnej Dottie. W bluzkę zmieściłyby się trzy takie jak ona, spodnie ledwie się trzymały. Miała wrażenie, że opadną, jeśli tylko weźmie głębszy oddech.

Więc nie będzie oddychać.

Głośniki ożyły po raz wtóry.

- Katharine Lawrence proszona jest o natychmiastowe zgłoszenie się do najbliższego stanowiska pielęgniarek. Pilny telefon. Proszę podejść do najbliższego stanowiska pielęgniarek. Natychmiast.

Była bliska omdlenia. Jezus. Rusz...

- Sandy? Ciasto?

- CVS. - W szafie na samym dole stały czarne pantofle na płaskim obcasie. Wsunęła w nie stopy. Buty okazały się za małe i za szerokie, ale uznała, że da radę w nich chodzić, jeśli podkurczy palce. Ruszyła do wyjścia.

- CVS? To tam sprzedają ciasta? - Starsza pani wydawała się zaskoczona. I nic dziwnego, ponieważ CVS to sieć aptek.

No cóż.

- W niektórych tak. - Katharine nasłuchiwała chwilę pod drzwiami, a gdy nic nie usłyszała, postanowiła zrezygnować z ostrożności. Musiała iść natychmiast, póki wciąż mają nadzieję, że zgłosi się do stanowiska pielęgniarek. - Pójdę zobaczyć, co z mamą. Do zobaczenia.

- Przynies następny razem jeszcze trochę tego ciasta, dobrze?

- Oczywiście. Do widzenia.

Starła się iść spokojnie i beztrąsko, co było niełatwe w jej sytuacji. Serce biło jej jak szalone, obawiała się, że spodnie mogą w każdej chwili opaść i już okropnie bolały ją stopy w za małych

butach. Nogi wydawały się mniej więcej równie solidnym oparciem co gotowany makaron, w głowie jej się kręciło i mogła oddychać jedynie przez usta. Zdecydowała się skorzystać z windy, na schodach byłoby ją zbyt łatwo znaleźć. Chciała się wtopić w tłum.

W korytarzu było jeszcze więcej ludzi niż wcześniej. To dobrze, powiedziała sobie stanowczo. Przyglądała włosy; zapomniała, jakie są rozczochrane, póki nie zobaczyła swojego odbicia w metalowej tabliczce z napisem „Tylko dla personelu”. Mijając stanowisko pielęgniarek, odwróciła twarz w przeciwną stronę, i poszła w stronę wind w ślad za salowym wiozącym mężczyznę na wózku inwalidzkim. Sądziła, że tamci jeszcze nie rozesłali za nią listów gończych, ale wołała być ostrożna. Opatrunek na nosie mógł zwrócić czyjąś uwagę. Jakimś cudem jej dziwny sposób chodzenia pozostał niezauważony. Znaleźć się w centrum czyjejkolwiek uwagi to ostatnie, czego teraz chciała i potrzebowała.

Nikt nawet na nią nie spojrział. Dołączyła do kilkunastoosobowej grupy osób czekających na windę. Wstrzymała oddech i z bijącym sercem, starając się zachowywać całkiem naturalnie, zajęła miejsce za plecami salowego. Kiedy drzwi windy się rozsunęły, zajrzała bojaźliwie do kabiny i westchnęła z ulgą. W środku była jedynie nastolatka z wielkim bukietem kwiatów. Wysiadła, rzucając jedynie przelotne spojrzenie czekającym, i poszła w swoją stronę.

Katharine weszła razem z resztą ludzi. Stłoczyli się z tyłu, żeby zrobić miejsce dla wózka. Była po prostu jedną z wielu ściśniętych jak sardynki osób. Spuściła głowę i uważnie studiowała podłogę, na wypadek gdyby windy były wyposażone w kamery. Bez żadnych przygód udało jej się pokonać pięć pięter. Wysiadła na parterze i tutaj nerwy ją zawiodły. Znalazła się na olbrzymiej otwartej przestrzeni z wielkimi oknami i błyszczącą podłogą. Gdzieś tam poustawiano nowoczesne skórzane czarne kanapy i fotele. Ruchome schody prowadziły na półpiętro, gdzie, sądząc po znakach, znajdował się sklepik z upominkami i McDonald's. Biurko recepcji było dokładnie na wprost wind. Na szczęście wszystkie trzy recepcjonistki siedziały twarzą do wejścia i każda miała swoją kolej-

kę interesantów.

Dwóch umundurowanych strażników lub policjantów (nie była pewna, ponieważ znajdowali się w pewnej odległości, odwróceni do niej plecami) przechadzało się w pobliżu drzwi, rozmawiając. Popijali kawę z papierowych kubków i obserwowali wchodzących oraz wychodzących ludzi.

Zbieg okoliczności. Katharine odniosła wrażenie, iż ich obecność nie miała związku z jej osobą.

A jednak postanowiła nie ryzykować. Cofnęła się w cień obok wind i rozejrzała nerwowo. Wymyśliła plan B. Niezbyt wyrefinowany, ale świadomość, że jej biedny umęczony rozum nie całkiem ją opuścił, dodawała otuchy.

Nie pójdzie za innymi przez hol w stronę podwójnych, rozsuwających się automatycznie drzwi. Wyjdzie bocznym wyjściem, tym obok toalet. W porę dostrzegła strzałki wskazujące drogę.

Niewykluczone, że uległa paranoicznym lękom, ale idąc za strzałkami, myślała z przerażeniem o agentach obstawiających wszystkie wyjścia. Nie było ich jeszcze aż tylu na miejscu, miała nadzieję. W takim wypadku najprawdopodobniej obserwowaliby główne drzwi. Dręczyło ją pytanie, kim właściwie byli? Podwładnymi Eda? Wczorajszymi włamywaczami? A może kimś zupełnie innym? Czy rzeczywiście wciąż groziło jej niebezpieczeństwo? Nie była pewna. Nie wiedziała. Miała jedynie to obywatelskie wrażenie potwornego zagrożenia. Postanowiła sobie zaufać.

Szpital nie składał się z jednego gmachu, ale z całego kompleksu, zauważyła, kiedy znalazła się na zewnątrz. Błyszczące budynki z szarej przemysłowej stali i szkła połączone przeszklonymi korytarzami, wysokie na osiem pięter, a przy nich długie niskie pawilony przypominające hangary na lotniskach. Właśnie wyszła z boku jednego z takich budynków. Znalazła się na chodniku obok małego parkingu wypełnionego samochodami i przystanęła oślepiona słońcem odbijającym się od szyb. Zasłoniła ręką oczy, niepewna, co robić. Po odgłosach ruchu ulicznego zorientowała się, że znajduje się

w pobliżu jakiejś głównej szosy. Na niebie dostrzegła zaledwie kilka chmur. Słońce przeświecało nad drzewami przy końcu parkingu. Upał okrywał jej ciało niczym gruby wilgotny koc. Nie było jeszcze ósmej, a miasto już zaczynało się gotować.

Jej włosy poskręcają się w sprężynki, nim minie dwunasta.

Ach tak, nie miała już swoich włosów. Mogła się za to poszczycić modną krótką fryzurą. Nie wiadomo, jak zareagują na upał jej nowe blond kosmyki.

Poczuła skurcz w żołądku na tę myśl.

Spokojnie, nakazała swoim skołatany nerwom. Bez paniki. To tylko jakaś dziwaczna odmiana amnezji. Niedługo przejdzie.

Jeśli dożyje.

Omam ponownie nie straciła głowy z powodu tej nutki optymizmu.

No dobrze, amnezja amnezją, ale najpierw rzeczy najważniejsze. Nim się rozsypie całkiem, musi znaleźć jakieś bezpieczne miejsce.

Niby gdzie? Pytanie przemknęło przez obolałą głowę, kiedy Katharine oddalała się najszybciej jak mogła od szpitala.

Balansowała na zewnętrznych krawędziach butów oszczędzając palce. Kuśtykała przez parking w stronę wąskiej, otoczonej drzewami alejki. Do domu, odpowiedziała sobie odruchowo, ale po chwili uświadomiła sobie, że nawet nie wie, gdzie jest jej dom.

Pojawił się w jej wyobraźni. Dom. Znała go. Coś jednak było nie tak, jak powinno.

Nic nowego, pomyślała z ironią. Nic dziś nie jest takie jak powinno być.

Tak czy inaczej, nie mogła tam wrócić. Lisa została wczoraj zamordowana, a ona sama niemal zginęła. Wspomnienia zalały ją obezwładniającą falą. Policja pewnie wciąż jest na miejscu, zbiera dowody. Dom został zdemolowany. Ślady krwi...

Prędzej czy później ludzie Eda zaczną jej tam szukać. I nie tylko oni. To pierwsze miejsce, o którym wszyscy pomyślą.

Zastanów się. Musisz gdzieś się schronić.

Ubrania: potrzebowała własnych ubrań, w swoim rozmiarze, takich, w których nie będzie zwracać na siebie niepotrzebnej uwagi.

**Potrzebowała bielizny, torebki z prawem jazdy, kartami kredytowymi i pieniędzmi...**

**Zatrzymała się jak wryta na trawniku dzielącym parking od zacienionej alejki.**

**Nie dostanie się do domu. Nigdzie nie pojedzie. Bo niby jak? Nie może. Nie ma samochodu, pieniędzy ani nikogo, komu mogłaby zaufać i poprosić o pomoc.**

**Stanąła oko w oko ze straszną prawdą. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi, zacisnęła pięści...**

**- Katharine? - usłyszała męski głos.**



## Rozdział 7

Podskoczyła ze strachu. Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła przed sobą czarnego chevroleta blazera. Zatrzymał się tuż przy wyjeździe z parkingu. Szyba od strony kierowcy była opuszczona. Mężczyzna za kierownicą patrzył na Katharine ze zmarszczonymi brwiami. Rozpoznała go i wydała westchnienie ulgi.

- Dan! - Pomachała mu i zaczęła kuśtykać w stronę samochodu. Bóg zesłał odpowiedź na jej modły. Jej sąsiad, lekarz. Mniejsza z nieporozumieniami dotyczącymi kota lub śmieci. Przynajmniej nie próbował jej zabić. Była tego prawie pewna. - Mógłbyś mnie gdzieś podrzucić?

- Pewnie. - Nadal jej się przyglądał, coraz bardziej marszcząc czoło. Jeśli zaczynał mieć wątpliwości, to jego problem, bo ona już zdecydowanie okrążyła samochód. Czegokolwiek dotyczyła sceptyczna mina Dana, nie omieszkał otworzyć jej drzwi od strony pasażera. Usiadła na czarnym skórzanym fotelu nagrzanym od słońca. Wspaniałe uczucie. Zatrzasnęła za sobą drzwi i na wszelki wypadek nacisnęła guzik uniemożliwiający otwarcie ich od zewnątrz.

- Dzięki - uśmiechnęła się do Dana z wdzięcznością. Spojrzała przez ramię. Tymi samymi drzwiami, co ona przed chwilą, wychodziła jakaś kobieta; kilkoro ludzi przemierzało parking, kierując się w swoją stronę. Żadna z tych osób raczej jej nie szukała ani nie była z nią w żaden sposób powiązana. Co najważniejsze, nie było wśród nich Starkeya ani Bennetta.

- Żaden problem. - Dan nie okazywał ciekawości ani zdziwienia. - Zapnij pasy.

Katharine posłusznie spełniła polecenia i ruszyli. Szczupła młoda kobieta z dziecinnym wózkiem szła uliczką zabudowaną dwupiętrowymi domami z czerwonej cegły. Blazera wyprzedziła jakaś półciężarówka. Dwóch chłopców na rowerach jechało prosto na nich. Dan bez komentarza wyminął dzieciaki.



Katharine z cichym westchnieniem oparła głowę o fotel. Wbrew wszystkim przeszkodom jej ucieczka się powiodła.

Ucieczka przed czym? Gryzła się tym pytaniem. Powinna przecież wiedzieć, ale im usilniej próbowała sobie przypomnieć, tym więcej jej umykało. Miała tylko chwilę obecna.

- Dokąd? - spytał Dan po chwili, którą Katharine wykorzystała na uspokojenie myśli. Nie wiedziała i po raz kolejny wpadła w panikę.

Gdy przystanęli na pierwszych światłach, ich oczy się spotkały. Dan uśmiechnął się do niej zachęcająco i zdała sobie sprawę, że jej wybawca jest szalenie atrakcyjnym mężczyzną. Okulary nadawały jego twarzy o regularnych rysach wyraz roztargnionej inteligencji. Cienie pod oczami przypomniały Katharine o tym, że nie spał całą noc z jej powodu. Zdecydowanie to krok w kierunku większego zaufania. Miał naprawdę piękne włosy, oceniła, gęste i kręcone, których pozazdrościłaby mu niejedna kobieta. Lekarski fartuch najwyraźniej został w szpitalu. Krótkie rękawy niebieskiej koszuli odkrywały umięśnione ramiona. Bardzo wysportowany, chociaż szczupły.

Dłonie obejmujące kierownicę były duże, szerokie i wyglądały na silne. Spłowiała koszulę miał wsuniętą w czarne spodnie. Rzut oka na jego stopy ujawnił czarne półbuty, prawdopodobnie rozmiar czterdzieści dwa.

Ubranie domowe, uznała Katharine. W jej głowie pojawiła się jeszcze jedna niespodziewana myśl: Strzeż się. To doktor McSexi.

Doktor McSexi? Przez chwilę nie była pewna, co to znaczy. Ach tak, przypomniawszy sobie. Jej ulubiony serial telewizyjny, „Chirurdzy”. Ucieszyła się, że pamięta. To chyba dobry znak.

- No i? - spytał łagodnie. Zrobiła zakłopotaną minę.

- Ja... - Chciała powiedzieć, że nie wie, lecz nagle uświadomiła sobie swój błąd. Wiedziała. Mimo wszystkich zastrzeżeń istniała tylko jedna odpowiedź: - Do domu.

Nazywanie „domem” budynku, który pojawiał się przed jej oczami, wydawało się niewłaściwe. Jednak jeżeli cokolwiek w jej tonie czy zachowaniu zdziwiło Dana, nie okazał tego. Po prostu

skinął głową. Światło zmieniło się na zielone i musiał skupić uwagę na prowadzeniu samochodu. Skręcił w prawo. Szpital zniknął w oddali.

Katharine nie zdawała sobie sprawy, że trwają w pełnej napięcia ciszy, póki Dan jej nie przerwał. Ona sama robiła w myślach listę potrzebnych rzeczy, które musiała zabrać z domu. Najważniejsze to wejść i wyjść błyskawicznie, zanim ktokolwiek ją znajdzie. W garażu stał jej samochód, przypomniała sobie z uczuciem triumfu. Beżowy lexus kupiony za pieniądze z tego samego spadku, co kolczyki i pierścionek. Wrzuci wszystko do samochodu i ruszy z piskiem opon, by zniknąć daleko, daleko...

Uciec. Tylko przed czym właściwie? Chryste, nie miała pojęcia.

- Ciekawy strój - zauważył Dan, zerkając na nią przed kolejnym skrzyżowaniem. Katharine z zaskoczeniem stwierdziła, że są już prawie na miejscu. - Zmieniłaś styl?

Popatrzyła na niego niepewnie, wytrącona ze swoich rozważań.

- Tak?

- Oczywiście.

Na szczęście nie zauważył zmiany w zachowaniu. Pojawiło się zielone światło, przyspieszył. Zbliżyli się do supermarketu na obrzeżach starej dzielnicy, w której mieszkali. Parking był pełen pomimo wczesnej pory. Dostrzegła szyld Starbucks i jej organizm zaczął się domagać kofeiny niczym głodny szczeniak. Miała ogromną ochotę na kawę.

Uspokój się, dziewczyno. Później.

- A jak się zazwyczaj ubieram? - spytała ostrożnie.

Nie chodziło jedynie o podtrzymanie rozmowy i stworzenie pozorów normalności. Bardziej zależało jej na uzupełnieniu kolejnej luki w pamięci. Naprawdę nie miała pojęcia i chciała się dowiedzieć.

Wzruszył ramionami.

- Czy ja wiem. Chyba w ciuchy od znanych projektantów. I raczej w mniejszym rozmiarze.

Popatrzyła na swój strój. Granatowa bluzka w jaskraworóżowe kwiaty i spodnie z jakiegoś śliskiego syntetycznego materiału.

Wyglądała, jakby włożyła na siebie namiot cyrkowy. Zdecydowanie nie markowa odzież.

- Pożyczone.

- Aha. - Popatrzył na nią z nieskrywaną ciekawością. - Przed czym uciekasz?

Wyprostowała się gwałtownie pod wpływem strachu i zaskoczenia. Natychmiast tego pożałowała, poczuwszy kłujący ból w boku.

- O co ci chodzi? - Przycisnęła dłonie do żeber. Starła się nie okazać wrażeń, jakie zrobiło na niej jego pytanie. Obawiała się jednak, że kiepsko jej to wychodzi.

Dan wzruszył ramionami.

- Wymykasz się bocznymi drzwiami ze szpitala, sama, na własne życzenie, nie więcej niż pół godziny po tym, jak leżałaś pod kroplówką, a pielęgniarka sprawdzała twoje funkcje życiowe. Masz na sobie ubranie, które należy do kogoś innego, i co parę minut rozglądasz się z niepokojem. Dodałem dwa do dwóch i wyszło mi, że uciekałaś ze szpitala. Więc ponawiam pytanie: przed kim albo przed czym?

Niesprawny umysł i głód kofeinowy nie działały na jej korzyść. Powinna teraz przekonująco skłamać, a nic nie przychodziło jej do głowy.

- A jeśli powiem: „Nie twoja sprawa?” - odparła zaczepnie, mrużąc oczy. - Co zrobisz? Zawrócisz i odwieziesz mnie z powrotem? Mogą mnie trzymać w szpitalu wbrew woli?

Potrząsnął głową.

- Nie. Oczywiście, że nie. Masz rację, to nie moja sprawa. Tylko że - przesunął po niej wzrokiem - wygląda na to, że wciąż nie czujesz się najlepiej. Może powinnaś wziąć pod uwagę możliwość powrotu.

Opuściła rękę na kolana i zwinęła dłoń w pięść.

- Nie.

Dan zacisnął usta w wyrazie bezsilności.

- Słuchaj, cokolwiek się teraz dzieje w twoim życiu, będziesz bezpieczniejsza w szpitalu niż włócząc się samotnie po mieście.

Zostałaś ranna, masz za sobą straszne przeżycia. Mogłaś doznać urazów wewnętrznych, których nie wykryto od razu. Zwróciłem uwagę, że chodzenie sprawia ci trudność.

- To głównie przez te buty. Popatrzył na nią, nie rozumiejąc.

- Co?

- Buty. Też pożyczone. Są za małe. Uniósł do góry brwi.

- Naprawdę chcesz mi wmówić, że dlatego zataczałaś się jak zombi z „Nocy żywych trupów”?

- Tak.

Mruknął coś sceptycznie.

Samochód zaczął podskakiwać. Wjechali w jedną z uliczek Starego Miasta wybrukowanych kocimi łbami. Stare Miasto było starsze od reszty stolicy o sto lat. Powstało w siedemnastym wieku jako port rzeczny. Piętnaście kilometrów na południe od dzisiejszego centrum mieścił się czarowny zakątek ze staroświeckimi budynkami i sklepikami, wąskimi uliczkami z drzewami po obu stronach oraz hordami turystów, zwłaszcza w lecie. Na rogach ulic stały oryginalne, odnowione latarnie gazowe. Czarne okiennice i żeliwne skrzynki z kwiatami zdobiły okna osiemnastowiecznych sklepów i domów. Wiele ulic miało w nazwach słowa świadczące o brytyjskiej spuściznie jak: „Duke”, „King” czy „Prince”. Mimo wczesnej pory na Market Square ustawiły się już popularne wśród turystów dorożki czekające na pierwszych klientów. Blazer wjechał w North Union Street biegnącą równolegle do Potomacu. Katharine zauważyła, że jeden ze statków rejsowych do Mount Vernon odpływa z pierwszą wycieczką. Przewodnik ubrany w strój z dawnej epoki tłumaczył coś grupie turystów.

- Możesz mi zaufać - zapewnił ją Dan. - Może będę potrafił ci jakoś pomóc, jeśli masz kłopoty.

Wpatrywała się w jego twarz. Czuła się przy nim bezpiecznie. Teraz, w tym samochodzie. Taka była jej pierwsza, instynktowna reakcja. Do tej pory Katharine polegała wyłącznie na intuicji. Powinna mu powierzyć swoje wątpliwości? Wytłumaczyć, że ma głębokie przekonanie o grożącym jej straszliwym

niebezpieczeństwie, choć nie wie, czego ani kogo się boi? Powiedzieć mu o przeraźliwym poczuciu uwięzienia w ciele obcej kobiety, utracie pamięci i głębszych emocji? Być może jako lekarz będzie znał odpowiedź, wyjaśni jej, co się z nią dzieje.

Może potrafi jej pomóc.

Ogarnęła ją fala emocji. Chciała mu powiedzieć, zaufać mu. Czowała, że powinna. Przyjechał z nią wczoraj do szpitala i był przy niej, póki się nie zbudziła.

- Katharine? Pozwolisz sobie pomóc? - Popatrzył jej w oczy. Cienkie szkła okularów, przez które spoglądał, ani trochę nie umniejszały zaskakującej siły tych łagodnych błękitnych oczu. Jego głos miał w sobie spokój, który ją niesłuchanie pociągał. A może to ten południowy akcent? Albo głęboki tembr. Może... może...

Chwileczkę. Cokolwiek ją ku niemu przyciągało, nie podda się emocjom. Zwierzenie się sąsiadowi lekarzowi mogło być dobrym pomysłem. Albo fatalnym. Problem w tym, że nie znała Dana. Nie znała nawet samej siebie. Okrutna prawda brzmiała, że nie wie, komu ufać i dopóki się tego nie dowie, nie powinna ufać nikomu. Łącznie z doktorem McSexi o hipnotyzującym głósie i spojrzeniu.

- Dziękuję, ale nic mi nie jest - odparła, usiłując się uśmiechnąć.

Zmarszczył czoło. Na skrzyżowaniu Union z Wilkes włączył kierunkowskaz i skręcił w prawo. Niecała przecznica dzieliła ich od ulicy, przy której oboje mieszkali. Wjazd w alejkę wiodącą do garażu Katharine mieścił się przy Wilkes Street, tuż za sklepem ze świecami znajdującym się na przeciwległym rogu.

- Moglibyśmy najpierw przejechać obok domu? - Zaczynała panikować, czuła dreszcze na całym ciele. Wszystko mogło się wydarzyć. Może tam być policja, ludzie Eda... A wspomnienia wczorajszej nocy z całą pewnością czają się w każdym kącie. Rzucił jej przelotne spojrzenie.

- Dobrze. Posłuchaj, jesteś pewna, że nie wolisz wrócić do szpitala? Taka nagła ucieczka nie wydaje się właściwa.

Na drodze panował spory ruch. Samochody, półciężarówki dostawcze, motocykle, ryksze rowerowe. Przed nimi jechał niebieski

minivan. Dan przyspieszył.

- Jestem pewna - odparła z przekonaniem Katharine. - Nie lubię szpitali.

Szeroki deptak biegnący po lewej stronie obok nabrzeża i Founders Park przeszedł w skupisko oryginalnych sklepików, restauracji i galerii sztuki, które pojawiły się w miejscu dawnych magazynów tytoniu, w większości już nieistniejących. Za nimi pasmo idealnie skoszonej soczystozielonej trawy wiodło w dół ku rzece. Po przeciwnej stronie ulicy dominowała nienaruszona osiemnastowieczna architektura; antykwariat, sklep z używaną odzieżą i drugi, z zabawkami, mieściły się w starannie odrestaurowanych budynkach z czasów kolonialnych. Słodkie pastelowe kolory ścian przywodziły na myśl walentynkowe lukrowane serduszka. Obok sklepów mieściły się równie dobrze zachowane domy mieszkalne. Ten należący do Katharine był jednym z czterech połączonych ze sobą wysokich wąskich ceglanych budynków z ozdobnymi drzwiami stojących na samym końcu uliczki. W miarę zbliżania się do niego serce Katharine uderzało coraz szybciej. Bała się nawet spojrzeć na swój dom.

Popatrzyła w końcu, ponieważ musiała wiedzieć.

Z zewnątrz wszystko wyglądało jak zwykle. Żadnej taśmy policyjnej ani śladu jakichkolwiek działań policji. Wszystkie cztery eleganckie żelazne bramy wiodące na cztery maleńkie podjazdy były zamknięte. Wszystkie zasłony w oknach od strony ulicy pozostawały zasłonięte, jak zwykle rano, by nie wpuszczać pierwszych rażących zaspianych promieni słońca. Jej własny trawnik wydawał się nienaganny, każde źdźbło trawy znajdowało się na swoim miejscu, nietknięte stopą intruza. Cztery schodki wiodące ku pomalowanym na czarno drzwiom były czyste. Na wycieraczkę leżała zwinięta gazeta. Wszystko wyglądało jak w każdy zwyczajny sobotni poranek. Tak jakby wczorajszej nocy nic się nie wydarzyło.

Wydarzyło się.

Katharine poczuła silny ból, spojrzała na swoje dłonie i zauważyła, że z całej siły wbiła paznokcie w skórę. Oddychała



spazmatycznie, puls jej walił.

- Wiesz, jakoś nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Nie powinnaś tam teraz wchodzić. Powinnaś być w szpitalu. - Dan wydawał się trochę zniecierpliwiony. - Popatrz tylko na siebie, drzysz cała.

Rzeczywiście tak było i podjęła świadomy wysiłek, żeby przestać. Blazer zwolnił przy znaku „stop”. Katharine przeniosła spojrzenie z domu na Dana. Ich oczy się spotkały. Jego były zmrużone, emanowały siłą i stanowczością. Niezależnie od uszczerbków na umyśle potrafiła bez trudu odgadnąć, co znaczy jego spojrzenie. Zamierzał zawieźć ją wbrew woli z powrotem do szpitala.

Zdała sobie sprawę z jeszcze jednej rzeczy: to on decyduje, dokąd jada, ponieważ prowadzi. Może ją zabrać, gdzie zechce. Chyba że odważyłaby się wyskoczyć z jadącego samochodu. A miała już wystarczająco dużo siniaków i stłuczeń. Postanowiła skorzystać z innej możliwości. Blazer zatrzymał się przy znaku „stop” na skrzyżowaniu. Nadal panował spory ruch. Katharine złapała za klamkę.

- Chyba tu wysiądę - oznajmiła. Przez chwilę przytrzymała się drzwi, aby złapać równowagę. Na szczęście Union była zaledwie dwupasmowa, więc od chodnika dzieliły ją zaledwie dwa kroki. Przynajmniej nic jej nie rozjedzie.

- Hej! Co robisz?

- Dzięki za podwiezienie - powiedziała. Wciąż przytrzymując się klamki, pochyliła głowę, by na niego spojrzeć. Miał szeroko otwarte ze zdziwienia oczy i pochylał się w jej stronę. Dłoń wcześniej trzymająca kierownicę teraz spoczywała na siedzeniu pasażera. Pewnie Dan próbował złapać i przytrzymać Katharine. Instynkt nie zawiódł jej i tym razem. - Do zobaczenia.

- Poczekaj! - zawołał za nią natarczywie. Powiedział coś jeszcze, czego już nie słyszała, ponieważ zamknęła drzwi i oddaliła się szybko. Tuż obok zawył klakson, aż drgnęła przerażona. To niecierpliwili się kierowcy za Danem. Nie miał wyjścia, musiał jechać dalej. Wiedziała, ale mimo to poczuła ulgę, kiedy wreszcie ruszył.

Zacisnęła zęby z wysiłku i przeszła niezdarnie nad studzienką

ściekową na chodnik. Zawróciła w stronę domu. Szła tak szybko, jak tylko mogła, czyli prawdę mówiąc dość powoli. Bolały ją zebra, głowa i stopy. Upał odbierał resztki sił. Poruszała się wyłącznie dzięki adrenalinie. Obejrzała się przez ramię, blazer był daleko na końcu ulicy. Nie wiedziała, czy Dan zawróci i nie miało to dla niej znaczenia. Nie zamierzała nigdzie z nim jechać. W tej chwili najbezpieczniej czuła się sama ze sobą.

Nerwowo rozglądając się na boki, otworzyła bramę i weszła na swoje podwórko, szurając za ciasnymi butami po ścieżce. Spocona z wysiłku starała się nie zwracać uwagi na pulsowanie w głowie ani na mdłości. Wspięła się po schodach, celowo zostawiając gazetę (gdyby ją zabrała, ktoś mógłby się zorientować, że jest w środku) i złapała za gałkę. Przekręciła ją, a kiedy drzwi się nie otworzyły, zdała sobie sprawę, że są oczywiście zamknięte na klucz. Którego ona nie ma. Wpatrywała się z przerażeniem we własny dom. Pod wycieraczką jest zapasowy klucz, pomyślała nagle. Myśl ta wydawała się obca, jakby pochodziła z zewnątrz od kogoś innego. Nadciągnęła kolejna fala zimnego strachu. Katharine przykucnęła jednak i zajrzała pod wycieraczkę. Okazało się, że głos w jej głowie się nie mylił - znalazła klucz. Pasował.

Wzięła głęboki oddech i zdecydowała, że przemyśli jeszcze raz to uczucie obcości we własnej skórze, gdy będzie bezpieczna.

Rozejrzała się, sprawdzając, czy nie jest obserwowana. Na drodze wciąż panował dość duży ruch, lecz ani śladu blazera. Nastolatka w czerwonym podkoszulku z logo Georgetown University i dżinsowej mini prowadziła mopsa na smyczy. Ze słuchawek na szyi dziewczyny dochodziły dźwięki piosenki „What's left of me”, stanowiące zaskakująco pogodny (biorąc pod uwagę temat utworu) kontrast dla odgłosów ruchu ulicznego. Para starszków w identycznych krótkich spodenkach khaki i słomkowych kapeluszach wchodziła do galerii po przeciwnej stronie ulicy. Z lodziarni obok galerii wyszedł mężczyzna w podkoszulce w paski i dżinsach z małą dziewczynką w różowej sukieneczce. Jedli rozpuszczające się już lody, idąc w stronę Founders Park.

**Jeżeli w zasięgu wzroku znajdowało się jakieś niebezpieczeństwo, Katharine nie była go świadoma. Nabrała potężny haust powietrza przygotowując się psychicznie na to, co może zastać w domu. Otworzyła drzwi i weszła do środka.**

SR

## Rozdział 8

Powitał ją chłód silnie kontrastujący z temperaturą na zewnątrz oraz półmrok. Wszystkie zasłony były zaciągnięte, a światła pogaszone. Sprawdziła dwa razy, czy dobrze zamknęła drzwi. Mimo przykrych doświadczeń miała nadzieję, że zamek, który wczoraj nie przeszkodził włamywaczom, powstrzyma ich dziś. Przez chwilę stała nieruchomo i nasłuchiwała. W domu panowała absolutna cisza. Katharine była niemal pewna, że jest sama.

Alarm nie przywitał jej jak zwykle czterdziestopięciosekundowym ostrzeżeniem - aby mogła go wyłączyć, nim wybuchnie kakofonią dźwięków, które sprowadzą policję. Z jakiegoś powodu nie włączył się wczoraj. Czemu miałby działać dziś? Poza tym, żeby zadziałał, ktoś musiałby go nastawić. Czy ktokolwiek poza nią znał kod? Przypomniała sobie dwie straszliwe zamaskowane czarne sylwetki. Oni jakoś wczoraj weszli. Serce zaczęło jej uderzać w szaleńczym tempie.

Weszli i wyszli.

Zdjęła za małe buty, podniosła je z podłogi (nie ma mowy, żeby zostawiła taki niemożliwy do przeoczenia dowód swojej obecności pod samymi drzwiami wejściowymi) i poczłapała boso po nierównej podłodze z ciemnego drewna. Nogawki za dużych spodni ciągnęły się po ziemi z lekkim szelestem, kiedy podchodziła do alarmu. Migające zielone światełko potwierdziło jej podejrzenie, że system nie działał. Na czytniku wyświetlił się napis: „Usterka”.

Świetnie. Alarm się zepsuł. Czy wczoraj też był zepsuty? Wciśnięcie guzika go uruchomiło...

Nieważne. W każdym razie nie teraz. Odetchnęła głęboko i ruszyła przed siebie. Korytarz biegł przez całą długość parteru i prowadził do kuchni. Po prawej stronie znajdował się salon, a po lewej była gruba ściana oddzielająca jej dom od domu Dana. Z wysokiego sufitu zwieszały się dwa małe staroświeckie żyrandole. Mniej więcej w połowie korytarza znajdowały się schody prowadzące na piętro. Na

białej ścianie nad stolikiem z metalu i szkła wisiało nowoczesne malowidło wyglądające na drogie. Przedstawiało horyzontalne smugi kolorów, różne odcienie czerwieni, żółci i fioletu. Na stoliku Katharine dostrzegła stos korespondencji i wazon pełen prześlicznych czerwonych róż. Z pewnością ich zapach wypełniał całe pomieszczenie, jednak ze względu na zatłoczony nos nie mogła nic poczuć.

Nieistotne. Pozwoliła sobie jedynie na przelotne spojrzenie w stronę listów. Nie pamiętała, by je tu kładła, ale nie miała czasu się tym zajmować. Przy różach była kartka i nie mogła się oprzeć przeczytaniu jej. Pamięć tak bardzo ją zawodziła, że teraz nie potrafiła sobie nawet przypomnieć, kiedy dostała ten niewiarygodnie piękny bukiet. Kto go przysłał? Z jakiej okazji? Czy sama kupiła kwiaty na przyjazd Lisy? Albo... kto wie?

Mnożące się pytania bez odpowiedzi doprowadzały ją do szału, a tu miała gotową odpowiedź. Szybko sięgnęła po kartkę i poszła dalej. „Kocham Cię. Ed”, przeczytała i upuściła bilecik, jakby ją oparzył. Ed. Sama myśl o nim przyprawiała ją o mdłości ze strachu.

Mężczyzna, którego kocha... i przeraźliwie się boi.

Nie zatrzymuj się. Posłuchała wewnętrznego głosu, który do tej pory ją chronił. Ruszyła w kierunku schodów. Zamierzała szybko spakować potrzebne rzeczy i wyjść. Zastanowi się nad swoją sytuacją i źle funkcjonującym umysłem już w samochodzie, pędząc jak najdalej od miasta. Nie weszła do salonu, jedynie zajrzała przez otwarte drzwi, przechodząc. Ściany pokoju miały kolor srebrzystoszary. Zobaczyła czarną pluszową wygodną kanapę oraz fotel, a obok lampę z szarym abażurem na czarnej metalowej podstawce. Stała na szklanym stoliku. Ława naprzeciwko kanapy również była wykonana ze szkła i metalu. Leżała na niej książka, nie widziała okładki, ale знаła tytuł: „Ogrody różane Południa”. W kolorowym orientalnym dywaniku dominowała czerwień.

Wystrój był piękny, gustowny i drogi, ale zupełnie nie w jej stylu. Czy skorzystała z usług dekoratora? A może mieszkanie urządził Ed, który jest jego właścicielem? U podnóża schodów zaniepokoiła ją

pewna myśl.

To miejsce wygląda na nienaruszone, jakby nic się nie stało. Ani śladu bałaganu w żadnym pomieszczeniu, do którego zaglądała.

Serce biło jej dziko, kiedy wchodziła po wąskich schodach na górę. Zeszłej nocy słyszała odgłosy demolowania salonu, jadalni i gabinetu. Nie mogła się powstrzymać przed zajrzeniem do kuchni, chociaż sądziła, że lepiej byłoby tego nie robić. Przechyliła się przez lśniąca dębową poręcz, skąd widziała duży fragment pomieszczenia. Wydawało się, że tu też wszystko jest na swoim miejscu. Nawet krzesła, które ostatnio były powywracane, teraz wróciły pod blat.

Nagle poczuła się, jakby miała się za chwilę udusić. Wróciły wspomnienia wczorajszej nocy, utrudniając jej oddychanie.

Nie teraz. Nie może o tym teraz myśleć.

Zamknęła umysł przed przerażającymi wizjami przeszłości i ruszyła dalej po schodach.

Ktoś wszystko posprzątał.

Ale kto? Próbowwała uspokoić oszalałe serce, myśląc racjonalnie. Sprzątaczką? W jej pamięci pojawiło się znienacka imię LouAnn wraz z obrazem szczupłej czterdziestokilkuletniej kobiety o siwiejących brązowych włosach i twarzy poznaczonej siecią zmarszczek. LouAnn przychodziła raz w tygodniu, w poniedziałki, przypominała sobie z zadowoleniem. Było bardzo wczesnie rano, a dom wyglądał nienagannie. Nie przypominała sobie, czy LouAnn przykłada się do pracy, ale wątpiła, by ta kobieta dała się przekonać do przyjscia w sobotę rano, a nawet gdyby - nie zdołałaby uprzątnąć tak wiele w tak krótkim czasie. Kto pozostawał? Ludzie Eda? Pamiętała wystarczająco dużo na ich temat, by wiedzieć, że są przerażająco skuteczni. Mogli wkroczyć zaraz po skończeniu pracy przez policję i zrobić wszędzie porządek.

Może byli, jeszcze zanim nadjechała policja. Jeśli chcieli coś ukryć... Na przykład najniższą choćby wskazówkę, czego szukali włamywacze.

Zdała sobie wyraźnie sprawę, że jest fizycznie chora ze strachu. Ból głowy stał się niemal oślepiający. Zacisnęła i zmrużyła oczy,



chroniąc je przed smugą światła wkradającą się przez opuszczone żaluzje. Pokonała z wysiłkiem ostatnie kilka schodów. Popęłniała błąd, wracając myślami do horroru wczorajszej nocy. Serce szamotało jej się w piersi jak wystraszony królik. Oddychała zbyt szybko.

W porządku, głęboki oddech.

Wytarła spocone dłonie o nieprzyjemny w dotyku materiał spodni, a potem szybko ruszyła ciemnym korytarzem ku głównej sypialni połączonej z pokojem dziennym i łazienką. Pokój gościnny, w którym nocowała Lisa, był mniejszy i mieścił się bliżej schodów. Minęła jego zamknięte drzwi. Niezależnie od tego, jak ją korciło, by zajrzeć do środka, nie mogła, nie chciała się zatrzymać. Nie teraz, kiedy każda chwila była na wagę złota...

Lisa nie żyje. Jej rzeczy - walizka, torebka, ubrania - są tam w środku. Ktoś będzie musiał się nimi zająć.

Poczuła falę mdłości i przełknęła nerwowo ślinę. Zobaczyła rozszerzone oczy Lisy, w chwili gdy trafiła ją kula. Widziała wszystko tak wyraźnie, jakby po raz drugi była świadkiem śmierci przyjaciółki.

Nie myśl o tym. Nie wolno o tym myśleć, jeśli chcesz normalnie funkcjonować.

Stanowczo ucięła wszelkie rozważania, które przeszkadzały jej skupić się na teraźniejszości. Trzęsa się z zimna i z każdym krokiem czuła się coraz bardziej nieswojo we własnym ciele. Znała dobrze ten dom, wiedziała, gdzie iść, jak wyglądają wszystkie pomieszczenia i ile ich jest, a nawet gdzie trzyma bieliznę pościelową. (Właśnie minęła szafę z pościelą i ręcznikami w połowie korytarza). Sam dom, meble, kolory, wszystko wydawało się znajome.

A zarazem dziwnie obce.

Na pewno tu nie mieszkam, pomyślała z przekonaniem. Omal nie zwymiotowała z wrażenia. Nieważne, co się z nią znowu dzieje, to jedna z tych spraw, na które nie ma teraz czasu.

Weszła do przestronnej kosztownie umeblowanej sypialni. Obrzuciła przelotnym spojrzeniem stylowy wystrój: ściany obite

czarno-białą tkaniną, taką samą, z jakiej były uszyte zasłony w oknie i narzuta na ogromnym łóżku...

Zaraz. Ktoś pościelił łóżko. A także posprzątał sypialnię.

Zdradliwa pamięć po raz kolejny zaatakowała ją niechcianymi wspomnieniami. Ostatnio, kiedy tu była, została przemocą wyciągnięta z łóżka...

Oblała się zimnym potem.

Podbiegła do wielkiej garderoby - tak, wiedziała, że musi otworzyć pierwsze drzwi po lewej stronie od wejścia, obok tych wiodących do saloniku - włączyła światło i weszła do środka. Zamarała w pół kroku.

Miała o sobie wyobrażenie jako o osobie idealnie wręcz schludnej. Tymczasem w garderobie panował nieopisany bałagan. Pościągane z wieszaków ubrania kłębiły się w stertach na podłodze. Na nich leżały chaotycznie szuflady z bielizną.

Ktoś przetrząsnął jej rzeczy. Katharine zaczerpnęła głęboko powietrza. Prawdopodobnie zeszłej nocy podczas przeszukiwania domu. Wszystko inne zostało sprzątnięte. Czemu nie ubrania? Nasuwały się tylko dwa możliwe wytłumaczenia: albo nie zauważyli, albo nie skończyli pracy.

Zadrzała na tę myśl. Trzeba natychmiast się stąd wynosić.

Jednak aby ucieczka miała sens, powinna najpierw zabrać to, po co przyszła. Pięć minut, ani chwili dłużej, i zniknie na dobre. Właściwie, czemu uznała, że ekipa sprzątająca stanowi zagrożenie?

Nie potrafiła odpowiedzieć, po prostu nie umiała pozbyć się przekonania, że tak jest.

Uspokój się. Ale ułamek sekundy później powiedziała sobie: „szybciej”, co uczyniło niemożliwym zastosowanie się do pierwszego polecenia.

Zagryzła wargi i próbowała powstrzymać wewnętrzny dygot. Odstawiła buty na podłogę. Nikt nie zwróci na nie uwagi w tym bałaganie. Sięgając po czarną torbę, której pewnie używała, chodząc do siłowni, potknęła się o szufladę. Nie pamiętała siłowni, uświadomiła sobie ponuro.

W stosie ubrań kolorystycznie przeważała czerń. Prawdopodobnie miała wiele uszytych na miarę żakietów i spódnic. Garnitury. Nie potrzebowała ich teraz. Chwyła garść kolorowej jedwabnej bielizny z wierzchu i wrzuciła do torby. Wyglądała obco, jak rzeczy zabierane z półki sklepowej. Ubrania również nie wyglądały znajomo. Przejrzała stertę i zapakowała to, co wydawało jej się teraz odpowiednie: koszulki, parę zwykłych spódniczek, białe szorty, džinsy. Garderoba weekendowa. Reszta sprawiała wrażenie zbyt kosztownej i wyszukanej. Często nosiła rzeczy od znanych projektantów, jak mówił Dan.

Całkiem możliwe, ale teraz nie czuła się jak dziewczyna, która lubi się stroić.

Stojak z butami pozostał nienaruszony. Wpatrywała się w niego z rosnącym zdumieniem. Gdzieś przecież muszą być jakieś adidas, cokolwiek na płaskim obcasie. Nie w zasięgu wzroku. Królowały szpilki. Dziesiątki szpilek. Od piętnastocentymetrowych z wzorkiem w panterkę przez eleganckie czarne czółenka na nieco niższym obcasie, po sandały na pięciocentymetrowym. Zdesperowana wrzuciła do torby parę czarnych czółenek i wsunęła stopy w turkusowe sandały na obcasie. Pasowały. Widzisz?

Wypuściła powietrze ustami. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymuje oddech. Zdjęła buty. Pomysł chodzenia po domu, stukając obcasami, przerażał ją. Schowała sandały do torby, aby je wyjąć tuż przed wyjściem na gorący chodnik przed domem, i przeszła do łazienki.

Była duża, piękna, cała wyłożona czarnymi i białymi płytkami pasującymi do wystroju sypialni, z marmurowym jacuzzi i oddzielną kabiną prysznicową. Katharine podeszła do lśniącej białej porcelanowej umywalki. Patrzenie na przerażająco obce odbicie w lustrze wciąż wywoływało szok, a nie miała czasu na panikę, starała się więc odwracać oczy od lustrzanych drzwiczek szafki. Pospiesznie umyła ręce, zrobiła, co mogła, by przetrzeć twarz, nie mocząc opatrunku na nosie, i wyczyściła zęby. Następnie wygarnęła całą zawartość apteczki. Wyszczotkowała szybko włosy i posmarowała

spierzchnięte usta kremem. Zamykając szafkę, nie mogła się oprzeć pokusie spojrzenia w lustro. Żadnych zmian, jakkolwiek nieprawdopodobne mogło się to wydawać; patrzyła na nią szczupła opalona blondynka z zabandażowanym nosem i włosami prostymi jak druty. Inwazja porywaczy ciał, pomyślała, czując dreszcz na plecach.

Później, upomniała się niewesoło i odwróciła wzrok. Na koszu z brudną bielizną leżał elegancki szlafrok. Spakowała go. Uszyty z grubego jedwabiu, gładki i miękki, wydawał się nie należeć do niej. Był jednak zielony. Jeden z moich ulubionych kolorów, pomyślała, wychodząc z łazienki. Podkreślał jej oczy.

No, dobrze. Jakich jeszcze dowodów potrzebowała?

Zamarła, usłyszawszy melodyjkę i wesoły głos mówiący: „Halo, moto”. Telefon, zdała sobie sprawę po kilku strasznych sekundach. Skrzywiła się. Dźwięk, choć stłumiony, był okropnie głośny, przyciągał uwagę. Nie dzwonił telefon przy łóżku, ten stał niedaleko, a ów dźwięk dochodził z większej odległości. Zlokalizowała go wreszcie. Na podłodze między łóżkiem a szafką znalazła czarną skórzaną torebkę. To z niej wydobywało się „Halo, moto”.

Nie jest moja, poczuła instynktownie, wpatrując się w bez wątpienia drogą torebkę. Telefon nie przestawał dzwonić i po sekundzie wahania Katharine mimo wszystko zajrzała do środka. Oszaleje przez ten sygnał, trzeba go uciszyć.

Oczywiście irytujące dźwięki ustały w chwili, w której otworzyła torebkę i sięgała po aparat. Chciała cofnąć dłoń, ale jej wzrok przykuł portfel znajdujący się w środku razem z telefonem, kluczami i kosmetykami. Miała szansę sprawdzić, czy rzeczywiście do niej nie należą. Rozpoznała logo firmy Gucci wytłoczone w skórze portfela. Otworzywszy go, znalazła marzenie każdej zakupoholiczki: tuzin kart kredytowych w plastikowych przegródkach, w tym czarna American Express, sporo gotówki, no i prawo jazdy. Z jej zdjęciem. Czyli kobiety, którą widziała w lustrze. Jej elegancka opalona blond wersja. Oraz imię, nazwisko, data urodzenia i ten adres.

Dość tego, upomniała się surowo. Schowała portfel, zasunęła

torebkę i skierowała się ku drzwiom. Ty to ty, do cholery.

Buty pasują, szlafrok ma właściwy kolor. Prawo jazdy się zgadza. Nawet fotografia przy łóżku, którą zauważyła wychodząc, przedstawiała ją - nową i ulepszoną - w towarzystwie Eda. Od razu go rozpoznała. Poza tym Ed poznawał ją po głosie, kiedy rozmawiali przez telefon. Dan też ją znał. Potrafiła poruszać się po domu. Znalazła zapasowy klucz. Nie było wątpliwości: nazywa się Katharine Lawrence, a to jej życie.

Czemu wobec tego, zastanawiała się, schodząc na dół, tak dziwnie się czuła?

Kiedy telefon zaczął dzwonić, nie rozpoznała melodyjki i nie zdawała sobie sprawy, że to jej komórka. Potem musiała szukać torebki. Nie wiedziała, gdzie jest i nie rozpoznała jej.

Katharine, nie zważając na ból, zeskoczyła z ostatnich kilku stopni. Zatrzymała się na chwilę z ręką na poręczy. Otworzyła szeroko oczy. W jej głowie kłębiły się zastrzeżenia.

„Halo, moto” to dość popularny sygnał. W zasadzie, była niemal pewna, że ustawiano go fabrycznie w tego rodzaju telefonach. Pewnie dopiero kupiła aparat i jeszcze nie zmieniła melodyjki.

Tak, ale nadal nie przypominała sobie żadnej z tych rzeczy.

Poza tym gdyby złodzieje przeszukujący wczoraj jej dom znaleźli torebkę, zabraliby ją bądź porzucili gdziekolwiek.

Tymczasem najwyraźniej jej nie znaleźli, ponieważ pozostała ładnie schowana z nienaruszoną zawartością.

W takim razie, skoro jest jej, dlaczego nie pamięta, jak ją kładła za szafką?

Istniało wiele możliwych wytłumaczeń, zapewniała się w myślach Katharine, próbując odzyskać równowagę psychiczną. Kierowała się znów ku wyjściu. (Mimo że chciała dostać się do garażu, do którego najkrótsza droga prowadziła przez kuchnię, stanowczo stwierdziła, że jej noga więcej tam nie postanie). Może po prostu należała do zapominalskich? Może kto inny schował torebkę? Może...

Potrafiłaby wymieniać dalej, lecz nagle jej uwagę zwróciło niepokojące skrzypnięcie podłogi. Otworzyła szeroko oczy.

**Wstrzymała oddech i wyteńczyła słuch.**

**Nic poza normalnymi odgłosami domu: szumem klimatyzacji i sprzętów podłączonych do prądu. Obrzuciła bystrym spojrzeniem wszystko w zasięgu wzroku. Nadal nic. Nie dostrzegła żadnych zmian. Jeśli w domu był ktoś jeszcze, nie widziała go ani nie słyszała. Tłumaczyła sobie, że skrzypnięcie było jedynie naturalnym odgłosem w starym zapadającym się domu. Niemniej instynkt nakazywał ucieczkę i nie zamierzała mu się opierać.**

**Oddychała szybko i płytko. Rozglądała się spłoszona na boki, mając każdy zmysł postawiony w stan pogotowia. Ściskając mocno torbę, cichutko podeszła do drzwi.**

**Usłyszała dźwięk szybkich kroków na dywanie i czyjś szybki oddech. Kątem oka zobaczyła wielki ciemny kształt sunący ku niej z salonu.**

**Niech to wszyscy diabli...**

**Odwróciła się twarzą do źródła zagrożenia i jednocześnie odskoczyła, wpadając na stolik. Wrzasnęła, ile sił w płucach, jakby ścigała ją śmierć we własnej osobie. Co zresztą okazało się prawdą; jej umysł potwierdził to, co zarejestrował wzrok.**



## Rozdział 9

Ubrany na czarno zamaskowany mężczyzna. Tajniak... Szpieg. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi, włosy na karku stanęły. Czarna maska wyglądała tak samo jak te, które mieli na sobie wczorajsi napastnicy.

Krzyczała z całych sił. Próbowwała się cofnąć, ale za późno. Torebka zsunęła jej się z ramienia, torba podróżna upadła na podłogę. Uchylając się na boki, Katharine znów uderzyła biodrem w stolik. Potężne ramię chwyciło ją od tyłu brutalnie za szyję, a bandyta przycisnął jej głowę do piersi. Straciła równowagę i upadłaby, gdyby jej nie trzymał. Odruchowo chwyciła się jego ramienia. Listy rozsypały się po podłodze. Wywrócił się wazon z różami. Na szczęście nie upadł na podłogę i nie rozbił się koło jej bosych stóp.

- Mam cię. - W głosie napastnika pobrzmiwała satysfakcja.

Nie rozpoznawała go. Próbowwała odzyskać równowagę, stawiając szerzej stopy na mokrej podłodze. Ogarnął ją lodowaty strach, kiedy napastnik zwiększył ucisk. Był wysoki, silny i prawdopodobnie ważył dwukrotnie więcej niż ona. Rozpaczliwie chwyciła powietrze, wbijając desperacko paznokcie w materiał jego kurtki. Nie ustawała w wysiłkach, by się uwolnić. Szarpała się w jego ramionach i kopała. Strach dodawał jej sił. Napastnik cofnął nieco nogi, toteż kopniak wymierzony w rzepkę trafił go w łydkę i nie przyniósł większego efektu poza tym, że Katharine zabolą stopa.

- Na pomoc! Na pomoc! Pusz... - „Puszczaj mnie” chciała krzyknąć, lecz bandyta zacisnął wściekle ramię na jej gardle, tłumiąc słowa, dusząc ją. Krztusiła się, walcząc o oddech. Nagle dotarło do niej, że tym razem nikt jej nie pomoże; była zdana jedynie na siebie. A wydarzenia wczorajszej nocy nie pozostawiały złudzeń: ten drań zabije ją, jeśli tylko zdoła.

Musiała walczyć albo uciekać, nadciągnęła fala adrenaliny. Wycofanie nie wchodziło w grę, nie kiedy ją trzymał. Ale...

- Nie ruszaj się.

Zauważyła kątem oka błyszczący pistolet, który przystawił jej do skroni. Taki sam, jakie mieli napastnicy wczoraj. Rozpoznawała również zimny przeraźliwy dotyk metalu na skórze. Deja vu, pomyślała. Powróciły mdłości i zawroty głowy.

Puściła rękaw jego kurtki i wyprostowała ramiona. Serce jej oszalało, poczuła lodowaty strach. Zmusiła się do bezruchu.

- Tak. Dobrze - powiedziała do siebie cichym zachrypniętym głosem, z trudem wydobywając słowa z zaciśniętego gardła. Bandyta najwyraźniej usłyszał, bo rozluźnił odrobinę uścisk.

- Fajnie cię spotkać - oświadczył. - Już myślałem, że czekają mnie samotne poszukiwania.

Wciągnęła powietrze.

- Czego? Co chcesz znaleźć?

- Przestań zgrywać idiotkę.

Brutalnie szarpnął ramieniem, unosząc jej podbródek, tak że uderzyła mocno głową o jego grdykę. Po raz kolejny straciła równowagę. Napastnik złapał ją w talii i przytrzymał. Przynajmniej opuścił na chwilę pistolet, by przysunąć usta do jej ucha. Poczuła dotyk bawełnianej kominiarki oraz ciepły oddech mężczyzny na policzku i szyi. Z trudem chwytiała powietrze i próbowała stanąć na nogi. Widziała sufit, ściany, kolorowy obraz po lewej stronie, na prawo dużą część salonu i kawałek pokoju dziennego. Cały parter podobnie jak reszta domu został wysprzątanym. Skrawek pokoju dziennego, który znajdował się w polu widzenia Katharine, obejmował biurko, kominek oraz ścianę nad nim zwykle ozdobioną obrazem przedstawiającym piaszczystą plażę. Obraz zniknął. W jego miejscu była teraz dziura. Zajęło jej to chwilę, ale wreszcie dotarło do niej, że prawie na pewno patrzy na miejsce, gdzie znajdował się sejf. Jeżeli, jak natychmiast wywnioskowała, złodzieje wyjęli go ze ściany i zabrali wczoraj ze sobą, to czego szuka tutaj ten człowiek? Zachowaj spokój. Spróbuj zebrać myśli.

- Gdzie? - Wściekłość w głosie bandyty przyprawiła ją o dreszcz przerażenia.

- C-co... - Przerwała, by złapać oddech, kiedy mężczyzna zacisnął

mocniej rękę na jej gardle. Krew napłynęła jej do głowy. Najbardziej przejmowała ją lęką świadomość, iż naprawdę nie ma pojęcia, o co mu chodzi, natomiast on jest przekonany, że Katharine udaje.

Panika sprawiła, że zawirowało jej w głowie. Czego nie wiedziała?

- Zapytam cię jeszcze raz. - Ucisk na szyi znów zelżał, napastnik chciał umożliwić jej odpowiedź.

Teraz, wrzasnął wewnętrzny głos Katharine. Jej palce odnalazły wreszcie to, czego szukały przez cały czas: pusty wazon, w którym wcześniej stały róże. Zacisnęła dłoń na zimnej wilgotnej krawędzi, zrobiła rozpaczliwy zamach i uderzyła prześladowcę z całej siły w głowę.

- Auu! - Zawył i zatoczył się do tyłu, upuszczając broń. Wazon wyśliznął się z rąk Katharine i z głośnym brzękiem rozbił o podłogę.

Tak. Więcej nie potrzebowała. Skorzystała z szansy ucieczki podsycana panicznym strachem. Przeskoczyła nad różami, rozlaną wodą oraz rozbitym szkłem i pognąła w stronę kuchni, wrzeszcząc, ile sił w płucach. Nie wybrałaby tej drogi, gdyby miała inną możliwość, ale napastnik stał na drodze do drzwi frontowych. Nawet obecnie, lekko zamroczony, stanowił zbyt wielkie zagrożenie, by Katharine próbowała go wyminąć.

- Ty cholerna suko! - Z jego gardła wydobył się wściekły ryk. Obejrzała się przez ramię. Ruszył za nią w pogoń. Nie zauważyła broni. Najwyraźniej nie tracił czasu, żeby podnieść pistolet, tak był skupiony na pościgu.

Boże kochany, nie pozwól, żeby ją złapał.

Przerażenie dodało jej skrzydeł. Wrzeszcząc niczym paw z ogonem w płomieniach, rzuciła się do kuchni i przebiegła przez nią tak szybko, że bosymi stopami ledwie dotykała zimnych płytek. Ściana z cegieł, mikrofalówka, blat - wszystko to obrzuciła ledwie jednym przelotnym dzikim spojrzeniem. Z bijącym sercem, ciężko dysząc ze strachu rozejrzała się rozpaczliwie w poszukiwaniu drogi ucieczki. Tylne drzwi nie wchodziły w rachubę, zdała sobie sprawę, zerkając na wejście do pralni. Wciąż miała świeżo w pamięci wczorajszy koszmar. Czy wciąż są zamknięte? Czy szyba na górze

została wstawiona? Jeśli nie, mogłaby znów wyskoczyć przez otwór. Jeśli tak, znajdzie się w pułapce...

- Zapłacisz mi za to. Zbliżał się.

Jej krzyk odbijał się echem od ścian. Podjęła jedyną decyzję, jaką mogła w tej sytuacji: przebiegnie przez salon i pokój dzienny z powrotem do holu, do głównego wyjścia.

Może nawet uda jej się sięgnąć po drodze po broń, która wciąż powinna leżeć niedaleko róz. Wyceluje w niego pistolet...

Tak, jasne, ja i Brudny Harry, i kto jeszcze?

Ucieczka to wszystko, na co ją stać, o ile zdoła zrobić choć tyle. Zlana zimnym potem gnała w stronę drzwi do salonu. Nagle uświadomiła sobie ku nieopisanemu przerażeniu, że niemal udało mu się ją dogonić. Był tuż za nią. Zaraz ją złapie...

Za kilka sekund, była pewna. Skuliła ramiona w rozpaczliwym oczekiwaniu. Wyciągnął po nią wielkie podobne do parówek palce, obrzydliwie białe niczym u trupa. Wrzasnęła znowu, kiedy ohydna ręka dotknęła jej ramienia, a potem chwyciła brzeg za dużej bluzki powiewającej za nią niczym żagiel.

- Nie! - krzyczała Katharine, próbując się wyrwać, jednak napastnik trzymał mocno, a syntetyczny materiał był wytrzymały. Bandyta pociągnął ją do tyłu. Wylądowała twardo na płytkach. Napastnik wydawał się zaskoczony i omal się o nią nie potknął. Nadal wrzeszczała jak opętana i wreszcie udało jej się wyrwać. Usiłowała uciekać na czworakach, potem próbowała wstać...

Dotykała dłońmi zimnych płytek, wbijała paznokcie w fugi, stopy ślizgały się rozpaczliwie po gładkiej podłodze.

- Dokąd to? - zapytał z uciechą. Wstał pierwszy i przycisnął ją do podłogi. Uderzyła mocno o płytki, po czym natychmiast próbowała się odsunąć, kopiąc i krzycząc na całe gardło. Mężczyzna złapał ją za kostkę. Jego dłoń była ciepła i przerażająco silna, ale zauważyła z dreszczem obrzydzenia także nienaturalnie biała i plastikowa w dotyku, nieludzka. Po chwili zdała sobie sprawę, że jej prześladowca ma na sobie białe chirurgiczne rękawiczki.

- Zostaw mnie w spokoju! Czego chcesz? - Leżąc na plecach,

walczyła z całych sił, podczas gdy napastnik usiłował wzmocnić chwyt. Przez otwory w kominiarce widziała jego oczy, ciemne i błyszczące śmiertelną groźbą. Głos załamywał jej się z rozpacz. - Czego chcesz ode mnie?

- Zamknij pysk, do cholery. - Ścisnął mocno jej kostkę. Jęknęła z bólu i przewróciła się na bok...

- Otwórz drzwi! - Stłumionemu okrzykowi towarzyszyło mocne pukanie.

Dan! rozpoznała go po głosie. Najbardziej upragniony głos, jaki słyszała kiedykolwiek.

- Katharine! Otwórz drzwi!

- Pomocy! Pomóż mi! Na pomoc! - wołała, korzystając z chwilowego zaskoczenia napastnika, by wyswobodzić nogę z jego uścisku.

- Wracaj tu, suko.

Zaklął pod nosem i próbował ją złapać. Katharine poczołgała się w stronę blatu kuchennego, roztrzając po drodze krzesła. Oparła plecy o zimną stal, chwytając się rozpaczliwie metalowych uchwyty szafek. Napastnik przewrócił stołki i schylił głowę, by nie uderzyć w marmurowy blat. Wyciągnął ręce w jej stronę. Katharine wrzeszczała i kopała z całych sił. Wiedziała, że zależy mu, by ją stąd zabrać, nim dotrze pomoc. Jeżeli mu się uda, będzie po niej. Przerazenie zmieszało się z nadzieją, dając jej nadludzką siłę. Chwyła się blatu obiema rękoma i kopnęła ponownie.

- Dan! Pomocy! Pomóż!

Od strony drzwi dobiegł głośny huk, a potem kolejny.

- Katharine! Niech cię diabli!

- Żesz kurwa! - Napastnik wymierzył jej potężnego kopniaka. Na szczęście spostrzegła to w porę i zdążyła się uchylić. Mężczyzna odwrócił się i wybiegł z kuchni. Słyszała odgłos jego kroków w korytarzu. Wyczołgała się spod blatu.

Czyżby miał zamiar wziąć pistolet? Sparaliżowała ją ta myśl. Musiała się ruszyć...

- Katharine!



Dał się słyszeć kolejny łoskot, tym razem towarzyszył mu trzask pękającego drewna i huk uderzających o ścianę wyważonych drzwi. Danowi udało się dostać do środka, pomyślała, zmierzając w stronę pralni. Nogi miała jak z waty. Pralka, suszarka, haczyk, na którym zwykle wisi klucz do tylnego wyjścia, i to miejsce na podłodze (upiornie czyste), gdzie umarła Lisa... Spojrzała na Dana. Wbiegł do środka i stał tuż przed nią. Wyglądał na równie przerażonego i dezorientowanego jak Katharine.

- Jezu Chryste, nic ci nie jest? - Chwycił ją gwałtownie za ramiona. Mocny, ciepły uścisk powstrzymał jej chaotyczną ucieczkę.

- W środku jest jakiś mężczyzna. Ma broń - wydyszała, rzucając przerażone spojrzenie w stronę kuchni i próbując ciągnąć Dana za sobą ku drzwiom.

- Wyjdź na zewnątrz. - Popchnął ją do wyjścia, a sam pobiegł do kuchni.

- Dan, nie! - krzyknęła, patrząc za nim bezradnie. Za późno, już go nie było, a ona nie miała zamiaru tam wracać. Dwukrotnie musiała otrzeć się o śmierć, żeby zdać sobie sprawę, jak bardzo chce żyć. Nie wystawi się na niebezpieczeństwo po raz trzeci, o ile może tego uniknąć. Nawet dla Dana, który ryzykował życie w jej obronie.

Wybiegła z domu.

Zamiast nowej szyby ktoś wstawił w drzwiach pilśniową płytę, zwróciła uwagę po drodze. Drzwi stały otworem, wyważone przez Dana. Wzywały ją promienie słońca i nagrzane świeże powietrze. Wybiegła w przyjazny blask, zbiegła prędko po schodach i rzuciła się w stronę garażu.

Otworzyła drzwi i odkryła, że samochód zniknął, po czym pomyślała, że to i tak bez znaczenia, ponieważ kluczyki zostały w torebce, a torebka na podłodze w korytarzu.

Nigdzie nie pojedzie, może jedynie pójść.

Dobry Boże, co teraz zrobić?

W jaki sposób dotarły z Lisą do domu? Wzięły taksówkę? Nie mogła sobie przypomnieć, nieważne, jak bardzo się starała...

Zaczynała odczuwać skutki stresu i wyczerpania: drżały jej



mięśnie, uginały się nogi, pulsowało w skroniach. Stała bez ruchu, wpatrując się w milczeniu w pusty garaż. Trzęsąc się ze strachu, odwróciła się, by spojrzeć z obawą na dom, w chwili gdy w drzwiach pojawił się Dan. Wyglądał krzepiąco normalnie; ucieszyła się, że jest cały i zdrowy. Dan również od razu ją zauważył i w widoczny sposób się uspokoił. Zamknął uszkodzone drzwi i zszedł po schodkach. Poruszał się spokojnie i zdecydowanie. Z pewnością nie znalazł w domu nikogo, przed kim musiałby uciekać. Napastnik prawdopodobnie wy dostał się głównym wejściem.

Katharine westchnęła z ulgą.

Natychmiast jednak pojawiła się obawa, że prześladowca może okrążyć budynek, żeby ich zaatakować. Nie miała już sił. Mógł też pojawić się kto inny, na przykład ludzie Eda. I wtedy zdała sobie sprawę, że kula może ją dosięgnąć z każdej strony. Zabójca nie musi nawet do niej podchodzić. Rozejrzała się wokół.

Gdzie on jest? Dokąd poszedł?

Z miejsca, w którym stała, widziała jedynie podwójny rząd budynków i niekończący się ciąg małych posesji. Tylko jeden ogródek dzielił ich od skrzyżowania, jednak wysoki żywopłot i ściana biegnąca od domu Dana aż do garażu zapewniały osłonę przed ruchem ulicznym i ciekawskimi spojrzeniami. Nikt nie nadchodził z tamtej strony. Spojrzała w przeciwnym kierunku i zobaczyła przechaczącego się golden retrievera. Mężczyzna w kombinezonie kosił trawę jakieś trzy domy dalej. Póki go nie zobaczyła, warkot kosiarki nie docierał do jej uszu zagłuszany głośnym pulsowaniem w skroniach. Jeszcze kawałek dalej znajdował się następny mur. Oddzielał część mieszkalną ulicy od handlowej. Tamte dy też nikt nie przejdzie. Rząd garaży odgradzał ją i Dana od alejki, a budynki zasłaniały widok każdemu, kto próbowałby coś zobaczyć z Union Street. W efekcie byli z trzech stron zasłonięci ceglanymi murami. Jednak napastnik mógł przejść wąskim pasem trawy dzielącym ich domy od czterech niemal identycznych. Ktoś mógł przekraść się przez ogródki, przeskakując nad płotami, kryjąc się za krzakami i drzewami. Ktoś mógł również strzelić z dachu albo

któregokolwiek okna.

Zabrakło jej tchu ze strachu; jeżeli komukolwiek zależało, aby ją uśmiercić, wcale nie potrzebował się do niej zbliżyć. Mrożąca krew w żyłach świadomość.

Zaczekaj, przykazała sobie ostro, czując kolejny atak paniki. Gdyby mężczyzna, przed którym właśnie uciekła, chciał ją zabić, już by to zrobił. Nie brakowało mu czasu ani okazji. Ale ten napastnik usiłował wydobyć z niej jakieś informacje. Czego szukał? Nie miała pojęcia i nie w tym rzecz. Najważniejsze, że oni nie wiedzą, iż ona nie wie i póki się o tym nie przekonają, prawie na pewno jej nie zabiją.

Cudownie. To pozostawia nadzieję na tortury przed śmiercią, jeśli tamci dostaną ją pierwsi w swoje ręce. Od wszystkich innych - o ile byli inni, a obawiała się, że tak - mogła liczyć na szybki i krwawy koniec.

Powinna biec, uciekać, walczyć o życie. W tej chwili, już teraz. Ale była taka zmęczona. Uznała, że jest względnie bezpieczna. Wstrzyma się z ucieczką, póki nie odpocznie.

Próbowała uspokoić świszczący oddech. Złapała za klamkę, gładką, ciepłą od słońca i bezpiecznie solidną, i oparła się o drzwi. Dan szedł ku niej szybkim krokiem, minął nieduży klon rzucający cień na ścieżkę i część podwórka. Pomyślała, że chodzi jak człowiek wysportowany i sprawny fizycznie. Mrużył oczy od słońca. Kiedy podszedł bliżej, zwróciła uwagę na jego ponurą minę. Nagle poczuła, że jest coś dziwnie znajomego w tej sytuacji. Widziała go już idącego w ten sposób...

Nie wiedziała, kiedy i gdzie, ani nawet jego dokładnie nie pamiętała, czuła jednak niezbitie, że jakaś część jej świadomości, gdzieś głęboko, bezapelacyjnie wie wszystko. Świadomość tyleż pocieszająca, ile niepokojąca. Znała go, bez wątpienia, nie miała jednak dostępu do szczegółowych danych na jego temat. Podobnie jak na własny.

Chyba mam zły dzień, pomyślała, zaskakując samą siebie. Dotarł do niej nedorzeczny komizm tego zdania i prawie - prawie - uśmiechnęła się na przekór wszystkiemu.

- Zwiął - odezwała się, raczej stwierdzając fakt, niż pytając. Dan przyniósł jej torbę i torebkę, które porzuciła w korytarzu. Chciała podejść do niego, ale nie miała nawet energii, żeby zrobić krok. Ledwie trzymała się na nogach.

- Dziękuję, że przyniosłeś moje rzeczy. Miałam właśnie wychodzić, kiedy na mnie wyskoczył.

Skinął głową.

- Jeden, tak? Któryś z tych wczorajszych włamywaczy?

- Nie wydaje mi się. Prawie na pewno nie. Miał inny głos i oczy. Za to był identycznie ubrany i miał taki sam pistolet. Wielki, błyszczący. Przyłożył mi go do głowy. - Zadrżała na to wspomnienie. - Przycisnął mi lufę do skroni.

- Jak ci się udało wyrwać?

- Rozbiłam mu wazon na głowie.

- Z różami? - Twarz mu się rozjaśniła. - Zastanawiałem się, co robią na podłodze. - Zmarszczył brwi. - Myślisz, że to następna próba włamania? Czego chciał? Co powiedział?

Pokręciła głową.

- Nie wiem, czego chciał, chociaż on był przekonany, że powinnam. Wciąż pytał: „Gdzie to jest”.

Dan wydawał się szczerze zaniepokojony.

- Co?

- Już mówiłam: nie wiem.

Najwyraźniej zdał sobie sprawę z powagi sytuacji, ponieważ rozejrzał się uważnie dookoła i powiedział:

- W porządku, chodźmy teraz do mnie. Zadzwonimy na policję.

- Nie - zaprotestowała stanowczo Katharine. - Żadnej policji.

Interwencja policjantów opóźniłaby jej ucieczkę; mogliby zadzwonić do właściciela mieszkania, czyli Eda, a on poprosiłby, żeby ją zatrzymali. Z pewnością nie odmówiliby człowiekowi na jego stanowisku. Podczas gdy ona rozmawiała z policją, mogliby się zjawić Starkey i Bennett. Nie sposób również wykluczyć udziału niektórych członków policji w całej aferze. Nie wiedziała, co się dzieje i komu ufać, a nie zamierzała ryzykować życie, by się

dowiedzieć.

Poza tym policja niewiele zdziałała przeciw grupie tajniaków. Ed i jego ludzie to też nie ich liga.

Dan przyglądał jej się ze zmarszczonym czołem. Prawdopodobnie zareagowała zbyt gwałtownie. Powtórzyła więc łagodniejszym tonem:

- Żadnej policji. Proszę.

Popatrzył na nią z zastanowieniem. Katharine uniosła głowę. Nie zamierzała ustąpić. Dan zacisnął usta. Nie był zachwycony, ale nie nalegał.

Szybko się uczy, pomyślała z uznaniem.

- Krwawisz. - Jego spojrzenie powędrowało w dół, ku jej stopom.

Podążyła oczami za jego wzrokiem i dostrzegła, że rzeczywiście krew jej leci spomiędzy pomalowanych różowym lakierem palców prawej stopy. Zostawiała czerwone ślady na betonie.

- Och! - Podniosła stopę, oparła ją o kolano i przyjrzała się niewielkiemu skaleczeniu. Pewnie stanęła na odłamku szkła z wazonu. Czuła ciepło krwi na chłodnej skórze, ale żadnego bólu. Dlatego wcześniej nie zauważyła ranki. - Głupstwo. Nic się nie stało.

- Nie masz innych skaleczeń? - spytał spokojnie i rzeczowo, jednak coś w jego głosie sprawiło, że zerknęła na niego z zaskoczeniem. Uroczy, życzliwy doktor wydawał się wściekły. Z powodu tego, co ją spotkało. Pomyślała, że to słodkie.

- Nie. Najwyżej kilka siniaków.

Opuściła stopę, wzięła głęboki oddech i odsunęła się od drzwi garażu. Zachwiała się; Dan ją przytrzymał.

- Jesteś zdrowa jak ryba, co? - spytał złośliwie. Czuła jego ciepłą silną dłoń na ręce. Gdyby nie on, z pewnością by upadła. Westchnęła głęboko; świat stopniowo odzyskiwał wyraźne kontury.

- Tak jakby - odparła. Przyglądał się jej w sposób sugerujący, że nie wygląda najlepiej. Oswobodziła ramię z jego uścisku.

- Naprawdę nic mi nie jest - upierała się, stając idealnie prosto, by to udowodnić.

Nic nie powiedział; nie musiał, bo jego twarz wyrażała wszystko.

Nie uwierzył.

Kosiarka ucichła i Katharine usłyszała odgłosy ulicy, które przypomniały jej, iż Starkey i Bennett lub ktokolwiek inny mogli nadjechać w każdej chwili. Trzeba się ruszyć.

Niewykluczone, że od tego zależy jej życie. Ta świadomość dodała jej nieco energii. Popatrzyła na Dana.

- Słuchaj, nie chciałabym cię mieszać w to wszystko jeszcze bardziej, ale nie ma mojego samochodu. Mógłbyś mnie zawieźć na lotnisko? - Zmrużyła oczy. - Tylko powtarzam: na lotnisko. Nigdzie indziej - dodała, ponieważ niepokoiła ją wizja znalezienia się z powrotem w szpitalu.

Opracowała ten plan zaraz po odkryciu braku samochodu: jechać na lotnisko, kupić bilet dokądkolwiek, a potem wsiąść w metro i zniknąć. Odzyskać równowagę na tyle, by przemyśleć dalsze poczynania. Uważała, że to przyzwoity plan jak na osobę, której sprawność umysłowa pozostawiała ostatnio wiele do życzenia.

Dan nie wyglądał na zadowolonego. Obawiała się, że będzie ją przekonywał, by wróciła do szpitala i zadzwoniła na policję, ale jedynie wzruszył ramionami.

- Czemu nie? - powiedział.

Poszedł w kierunku swojego garażu. Obejrzał się przez ramię na Katharine.

- Możesz wrócić przez swój garaż, podjadę po ciebie od frontu. W ten sposób nie będziesz musiała przechodzić przez ogrodzenie - zaproponował, przekładając nogę przez niewysoki płot.

- O, dobry pomysł! - Po czym dodała niepewnie: - Dziękuję, Dan.

Skinął głową w odpowiedzi.

Parę minut później znów siedziała na ciepłym i miękkim siedzeniu pasażera w samochodzie Dana. Korzystając z jego wskazówek, znalazła apteczkę w schowku na rękawiczki i przykleiła plaster na skaleczoną stopę. Torba podróżna leżała na tylnym siedzeniu. Torebkę trzymała pod nogami. Na wszelki wypadek wszystkie drzwi zostały zablokowane od środka. Blazer podskakiwał na nierównej drodze, promienie słoneczne wdzierały się przez

szyby, klimatyzacja działała na cały regulator, na razie przegrywając walkę z upałem.

- Powiesz mi wreszcie, o co w tym naprawdę chodzi? - spytał Dan.

Katharine spojrzała na niego z uwagą. Pokusa zwierzenia się, złożenia swoich lęków na jego barki była niesłychanie silna. Potrzebowała pomocy. Czuła, że może mu zaufać. Tylko...

Nim zdążyła dotrzeć do sedna swoich wątpliwości, ożył telefon komórkowy w jej torebce, radosne „Halo, moto” znów sprawiło, że podskoczyła ze strachu.

- Mogłabyś odebrać - odpowiedział Dan, widząc, jak wpatrywała się bez ruchu w czarny prostokąt.

„Halo, moto”.

Zerknęła na niego z zaskoczeniem.

- A, racja.

Oczywiście, to przecież jej torebka i jej telefon. Znów zapomniała. Ktoś najwyraźniej próbował się z nią skontaktować. Wyjęła aparat, cała spięta. To mógł być każdy. Może przyjaciel, a może...

„Halo, moto” rozbrzmiewało nadal. To był jeden z tych płaskich aparatów, drogich jak wszyscy diabli. Widocznie wszystko, co posiadała, kosztowało majątek.

Spojrzała na numer. Obok niego pojawiło się imię: Ed.

Żołądek jej się ścisnął.

„Halo, moto”.

Ed do niej dzwonił. Oddech stał się szybszy, podobnie jak tętno. Czuła się jak królik, którego zaraz złapie pies.

„Halo, moto”.

Zamarła, wpatrując się w telefon wygrywający wesołą melodyjkę. Wstrzymała oddech, czując gęsią skórę.

Ed dzwoni. Boże, co robić?



## Rozdział 10

Nie masz ochoty rozmawiać? - spytał z przekąsem Dan.

Katharine uświadomiła sobie, że cały czas trzyma telefon w dłoni, wpatrując się w niego jak w granat, który za chwilę wybuchnie. Kątem oka zauważyła, że dojeżdżali do części alejki, gdzie mieściły się parkingi i śmietniki. Nie osłaniały ich już żadne mury i poczuła się nagle okropnie bezbronna, wystawiona na atak. Miała wrażenie, że tamci - ludzie Eda, bandyci, kimkolwiek, u licha, byli - obserwują ich oboje.

- To Ed. - Rzuciła Danowi spłoszone spojrzenie. Powiedziała te słowa, jakby wszystko wyjaśniały. Telefon przestał dzwonić.

Wpatrywała się w aparat bez

przekonania, czekając w napięciu, ale nadal milczał.

- Ed Barnes? Z nim nie chcesz rozmawiać? Sądziłem, że się spotykacie.

Skupiła na nim podejrzliwe spojrzenie.

- Skąd wiesz, z kim się spotykam? Uniósł brwi i wzruszył ramionami.

- Czytam gazety. W zeszłym tygodniu widziałem gdzie wasze zdjęcie. Wymieniono jego nazwisko, a ciebie określono jako „tajemniczą kobietę” w jego życiu. Jesteś bardziej fotogeniczna od niego.

Katharine odprężyła się trochę i oparła wygodnie plecy o fotel. Znów to przekłete zdjęcie! Czy w tym mieście jest ktoś, kto go nie widział? Wyjaśnienie brzmiało prawdopodobnie.

Dan zerknął na nią z ciekawością.

- Rozmawiałaś z nim wcześniej w szpitalu, prawda? Czemu teraz nie chcesz?

Nie miała siły kłamać, a jeszcze nie zdecydowała, czy powiedzieć prawdę. Zmarszczyła czoło.

- Wiesz, jestem wdzięczna za pomoc i w ogóle, ale może byś pilnował własnego nosa?

- W porządku - odrzekł zgodnie. - Chciałem dobrze. Poczula ukłucie winy. Zachowała się niegrzecznie, a ten miły facet dwa razy uratował jej życie i pomagał w ucieczce, mimo że była dla niego wredna. To czyniło z niej niewdzięcznicę. Żmiję. Popatrzył na nią z troską.

- Pomyślałem po prostu, że gdybyś była moją dziewczyną, strasznie bym się niepokoił. Tak po prostu zniknęłaś ze szpitala. Może powinnaś oddzwonić i zawiadomić go, że żyjesz, zanim naśle na nas policję.

Katharine otworzyła szeroko oczy. Z niechęcią musiała przyznać Danowi rację. Możliwości Eda były nieograniczone. Znacznie łatwiej uniknie spotkania z nim, jeśli uda jej się uspić jego czujność.

- Masz rację - uznała.

Skinął głową i popatrzył wyczekująco.

Zacisnęła mocniej dłoń na telefonie i spojrzała na niego, próbując przygotować się do czekającej ją rozmowy. W głowie odezwał się cichy sygnał ostrzegawczy. Zastanawiała się, o co chodzi, co próbuje jej powiedzieć podświadomość. Przez moment wpatrywała się tępo w matową czarną obudowę aparatu. Dzięki Bogu, wreszcie znalazła odpowiedź.

- A nie namierzą mnie po telefonie? Dan zerknął na nią.

- Tylko miejsce, z którego rozmawiałaś. Na przykład, gdybyś zadzwoniła teraz, wiedzieliby jedynie, że jesteś w pobliżu domu. Ale tego i tak się dowiedzą, ponieważ zostałaś zaatakowana.

Kolejny raz musiała się z nim zgodzić. Nie miała jednak do siebie zaufania. Była wyczerpana, myślenie przychodziło jej z trudem. Głowa bolała ją niemiłosiernie, zresztą całe ciało wydawało się równie skatowane. Ze zmęczenia z trudem trzymała się prosto na fotelu, niewiele jej brakowało do osunięcia się na podłogę, obok torebki. Zdała sobie sprawę, że porusza się po omacku, bo jeśli wziąć pod uwagę jeszcze przedziwne objawy stresu pourazowego, nie była w formie, aby podejmować racjonalne decyzje. Zaschło jej w gardle

- Co mam mu powiedzieć? Nie chcę, by wiedział, że przed nim uciekam.

Być może powiedziała więcej niż powinna, ale potrzebowała przyjaciela. A innych kandydatów na razie nie widziała.

- Daj mi chwilę - odparł. - Myślę. Przynajmniej nie był zaskoczony, zauważyła Katharine.

Sprawiał wrażenie, jakby rzeczywiście analizował sytuację. Dotarli do końca alejki i zatrzymali się przy Wilkes Street. Minęła ich ciężarówka dostawcza, a za nią niekończący się sznur samochodów. W przeciwnym kierunku jechało ich jeszcze więcej. Chodniki również były zatłoczone. Wśród przechodniów znajdowała się grupa turystów z przewodniczką przebraną za Martę Waszyngton. Było sobotnie wczesne letnie popołudnie; pootwierane sklepy i turyści w natarciu. Zamiast poczuć się różnie w otoczeniu ludzi, Katharine poczuła się okropnie osaczona.

Niebezpieczeństwo mogło się czaić wszędzie. Dan nie próbował włączyć się do ruchu. Patrzył na nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Powiesz mi, co się stało. Tak?

Zastanowiła się. Nie zdziwiłaby się, gdyby już wiedział.

- Tak. Raczej tak. Tylko... - Urwała.

- Tylko obawiasz się, że mógł mieć coś wspólnego z tym atakiem przed chwilą - domyślił się. - Dlatego przed nim uciekasz. - To było stwierdzenie, nie pytanie.

Katharine zawahała się przez ułamek sekundy, zanim przytaknęła.

- O rany - powiedział Dan. Popatrzyła na niego, mrużąc powieki.

- Nie pomagasz. - Chciała być pewna, że dobrze ją rozumie, więc dodała: - Nie chcę, żeby wiedział, iż go podejrzewam, bo wtedy od razu odgadnie, że chcę uciec.

- Tak. - Zamyślił się. - Zdajesz sobie sprawę, że najbardziej naturalną reakcją po ataku byłoby zadzwonienie do niego i opowiedzenie, co się stało. Tak byś postąpiła, gdybyś go nie podejrzewała.

Zamrugnęła z zaskoczeniem. Przecież to było oczywiste, nie mogła uwierzyć, że ta myśl nie przyszła jej do głowy.

- Dobry jesteś - pochwaliła.

- A więc mogłabyś mu powiedzieć, a potem dodać na przykład, że nie jesteś teraz w stanie z nikim rozmawiać. Jesteś przerażona, zrozpaczona po śmierci przyjaciółki i po prostu potrzebujesz czasu tylko dla siebie, żeby pomyśleć. Zamierzasz spędzić noc w jakimś hotelu.

Katharine zastanawiała się nad tym. Ed zacznie sprawdzać hotele. W okolicy są ich setki. Nawet jemu zajmie to kilka godzin. Mimo środków, którymi dysponował.

A w ciągu tych kilku godzin ona zdąży się gdzieś ukryć.

- Całkiem niezły pomysł. - Ale jej ręka pozostawała zaciśnięta na telefonie. Perspektywa rozmowy z Edem napawała ją lękiem.

- Jeżeli zamierzasz zatelefonować, lepiej zrób to teraz, póki jesteśmy blisko domu.

Katharine pokiwała głową. Właśnie. W ten sposób Ed dowie się jedynie, że w trakcie połączenia znajdowała się na rogu alejki za garażami i Wilkes Street. Nie miała wątpliwości, że to sprawdzi. Wciąż stali w miejscu. Duży srebrny suburban opuścił zatłoczony parking i zatrzymał się za nimi. Czas ruszać w drogę. Dan skręcił w prawo, wjeżdżając w Wilkes. Kierował się na Union. Światło słoneczne odbijało się od pomalowanego na zielono blaszanego dachu galerii sztuki przed nimi. Katharine zmrużyła oczy. Widoczny za budynkiem Potomac wydawał się gładki jak szklana tafla.

- Pokrążymy trochę? - zaproponował Dan. Katharine skinęła głową. Zaciśnęła zęby i podniosła klapkę telefonu. Nagle zdała sobie sprawę, że nie zna numeru Eda. Przez chwilę wpatrywała się zdezorientowana w klawiaturę, zanim wpadła na pomysł, żeby sprawdzić ostatecznie połączenia. Znalazła numer i nacisnęła klawisz „połącz”.

Serce łomotało jej dziko, kiedy czekała, aż odbierze. Zrobił to po pierwszym sygnale. Na szczęście, bo inaczej jej nerwy by nie wytrzymały.

- Katharine?

- Cześć. - Każdy mięsień jej ciała był napięty jak struna. Nagle

poczuła przeraźliwy chłód, który zmroził ją do szpiku kości i przyprawił o gęsią skórkę. Musiała odetchnąć głęboko, nim znów zaczęła mówić. - Ja, ee...

- Gdzie jesteś? - przerwał jej ze złością. Zignorowała pytanie.

- Właśnie zostałam napadnięta. Pojechałam do domu, a on tam już był i mnie zaatakował. Szukał czegoś. Myślał, że wiem, gdzie to jest.

- Co? Czego szukał?

To pytanie również pominęła milczeniem. Postanowiła trzymać się scenariusza.

- Nie mogę tego znieść, rozumiesz? Jestem śmiertelnie przerażona. Bardzo mi przykro, ale nie jestem w stanie rozmawiać teraz z tobą, policją czy kimkolwiek innym. Muszę trochę pobyć sama. Ja... - Głos zaczynał jej drżeć coraz bardziej. Ed uciszył ją brutalnie.

- Straciłaś swój mały rozumek? - wrzasnął tak głośno, że omal nie upuściła telefonu. Kątem oka zauważyła współczującą minę Dana.

Tchórz z ciebie, zganiła się w myślach. W ustach jej zaschło, serce waliło jak młot, ręka trzymająca aparat trzęsła się jak osika, a ona nie mogła nic na to poradzić. Rzeczywiście, tchórz.

- Musisz mi powiedzieć, gdzie jesteś. - Ed zdołał się opanować, ale mówił z wysiłkiem, świadczącym o tym, jak trudno mu przychodzi zachowanie spokoju. - Natychmiast.

- Zatrzymam się na noc w hotelu - ciągnęła z uporem. - Zadzwoń do ciebie jutro.

- Do cholery, Katharine, ty... - Jego głos znów zaczął przechodzić w krzyk.

Katharine rozłączyła się, zanim osiągnął pełnię swoich możliwości. Odetchnęła głęboko i siedziała bez ruchu, wpatrując się w aparat. Palce jej zbielewały, tak mocno go ścisnęła. Jej ładne paznokcie we frywolnym różowym kolorze kontrastowały ze służbową czernią telefonu.

Nie miałam ładnych różowych paznokci, pomyślała z rozpaczą.

- Dobrze ci poszło - odezwał się Dan, uśmiechając się pocieszająco. Nie odwzajemniła uśmiechu, wykraczało to poza jej możliwości w tej chwili. Ale pomagała świadomość, że ktoś jest w stanie się

uśmiechać. Nie czuła się już jak w „Strefie mroku”.

Zatrzymali się na kolejnym skrzyżowaniu. Kiedy znów ruszyli, Dan skupił uwagę na drodze. Przyspieszył. Opuszczali Stare Miasto. Minęli znak zapowiadający zjazd na autostradę międzystanową 395.

„Halo, moto”.

Katharine wciągnęła ze świstem powietrze i prawie upuściła telefon. Nie musiała nawet sprawdzać, kto dzwoni. Ed.

„Halo, moto”.

Wpatrywała się w upiornie obcy telefon, który dzwonił w jej dłoni. Z okropną świadomością, że dzwoni jej upiornie obcy chłopak, który być może próbuje ją zamordować z jakiegoś niezrozumiałego powodu związanego z jej upiornie obcym życiem.

Ed mógł mieć rację - chyba traciła rozum. Określeniu „mały rozumek” stanowczo się sprzeciwiała.

„Halo, moto”.

Dobrze, że Dan był pochłonięty sytuacją na drodze i nie widział zenującego kryzysu, jaki przechodziła.

- Dawaj. - Wyciągnął rękę po telefon, gdy tylko znaleźli się na autostradzie. W jego głosie brzmiała łagodna stanowczość.

Katharine podała mu aparat bez zastanowienia.

„Halo, mo...”.

Przekłeta melodyjka ucichła, kiedy nacisnął guzik z boku.

- Wyłączyłem - wyjaśnił, widząc jej zaskoczoną minę. Uśmiechnął się leciutko, oddając jej telefon. - Rozważałem wyrzucenie go przez okno, ale pomyślałem, że może jeszcze będziesz chciała gdzieś potem zatelefonować.

- Tak. Dziękuję. - Wypuściła powietrze, które wcześniej bezwiednie wstrzymywała.

Tyle, jeśli chodzi o Eda. Jednak naciśnięcie guzika nie usuwało z jej życia ani jego, ani jego wpływów, ani ludzi, którym wydawał polecenia.

Boże, jak okropnie zmarzła. Zaraz zacznie szczełakać zębami.

- Schowaj go do torebki - poradził Dan.

Tak też zrobiła, po czym zamknęła chłodny powiew klimatyzacji.



Z pewnością go nie potrzebowała. Oplotła się ramionami, zamknęła oczy i oparła głowę o fotel. Próbowwała odzyskać równowagę psychiczną. Dan milczał, za co była mu wdzięczna. Odgłosy za oknem i lekkie wibracje jadącego auta działały dziwnie kojąco. Stopniowo Katharine oddychała coraz spokojniej, tętno przestało przypominać szarżę kawalerii, mięśnie się rozluźniły. Gdyby nie dręcząca świadomość rozpaczliwego położenia, w jakim wciąż się znajdowała, poddałaby się zmęczeniu i zasnęła. Tymczasem nie mogła. Niedługo dojadą na lotnisko. Wtedy zostanie sama, zdana wyłącznie na siebie. Musi zachować pełną trzeźwość umysłu, żeby zwiększyć swoje szanse na przetrwanie. Powinna być sprytna, silna i szybko reagować. Wszystko to wydawało się w tej chwili nieosiągalne.

- Jesteśmy prawie na miejscu - odezwał się Dan. - Zakładam, że miałaś na myśli lotnisko National?

Katharine otworzyła oczy. Znow poczuła ucisk na żołądku. Zobaczyła zielony drogowskaz z napisem: „Lotnisko National im. Ronalda Reagana w Waszyngtonie, 2 km”.

- Tak. - Serce biło jej mocno i szybko, w skroniach pulsowało, żebra bolały, kolana miała jak z waty. Czuła nieprzyjemny smak w ustach. Przynajmniej jednak nie była już przemarznięta.

- Dokąd wyruszasz?

Spojrzała na niego z ukosa. Nie ma mowy, żeby mu powiedziała albo komukolwiek innemu. Na wszelki wypadek.

- No tak. Mam pilnować własnego nosa - domyślił się.

- Przepraszam. Popatrzyl na nią.

- Wiesz, jako lekarz doradzałbym, żebyś jeszcze przemyślała decyzję o podróży. Wstrzymała się dzień lub dwa. Poza obrażeniami fizycznymi, które, przyznaję, są raczej powierzchowne, doświadczyłaś poważnego urazu psychicznego. To oczywiste, że nie myślisz racjonalnie. Równie oczywiste jak to, że w twoim życiu dzieje się coś naprawdę niedobrego. Zalecałbym wypoczynek, trochę czasu na dojście do siebie. - Z powrotem przeniósł uwagę na drogę. - Nie żebym się wtrącał czy coś.

Katharine popatrzyła na niego w milczeniu. Obserwowała grę

świateł i cieni na przystojnej twarzy Dana, po raz kolejny zaskoczona, jak znajome wydają się jej jego rysy. Był tylko jednym z sąsiadów i z tego, co wiedziała, łączyły ich wyłącznie sąsiedzkie relacje. Jednak czuła, że jest jej w jakiś sposób bliski i ważny. Wiedziała, że może na nim polegać. Pomyślała o napięciu, które poczuła, kiedy pochylał się nad jej łóżkiem w szpitalu, i nagle zaczęła się zastanawiać, czy może łączyło ich coś więcej niż sąsiedzka zażyłość. Mogła po prostu zapytać, lecz wtedy wyszłoby na jaw, że nie pamięta. Nie chciała wyjawiać zbyt wiele, zanim się dowie, z kim i z czym ma do czynienia. Komuś o złych zamiarach i przeciętnej inteligencji takie informacje mogły posłużyć do manipulowania nią. Tak czy inaczej, nie miała czasu. Zbliżali się do lotniska. Niedługo wysiądzie, a Dan odjedzie.

Zostanie sama.

Nagle poczuła paralizujący strach. Bez niego będzie skazana na przedzieranie się przez tę straszną mgłę niepewności w pojedynkę. Zdała sobie sprawę, że jest zbyt zmęczona, zdezorientowana i wystraszona, żeby stawić temu czoło.

Jeszcze nie teraz.

- Słuchaj, moglibyśmy zatrzymać się gdzieś na kawę? - spytała.

Nie okazał zaskoczenia.

- Pewnie.

Oczywiście w kompleksie budynków obok lotniska nie znaleźli ani jednego Starbucksa. Dan zamówił w okienku McDonalda kawę, sok i kanapki dla nich obojga. Umieścił kubki z napojami w specjalnych podstawkach między siedzeniami i poszukał wolnego miejsca na parkingu, żeby mogli w spokoju zjeść. Katharine od razu zdjęła pokrywkę z kubka, posłodziła kawę i zaczęła łapczywie pić.

Nie czuła zapachu, więc kawa wydawała jej się bez smaku. Postanowiła jednak ją wypić.

- Lepiej? - spytał.

Skinęła głową, obserwując, jak zabierał się z apetytem do swojej kanapki z jajkiem.

- Sądysz, że ktoś mógł nas śledzić? - zaniepokoiła się nagle.

Przerwała rozpakowywanie swojej kanapki z wędliną i rozejrzała się niespokojnie. Kawa i perspektywa posiłku pobudziły jej szare komórki. Nie była już tak zmęczona i zdawała sobie sprawę z czyhających niebezpieczeństw. Otaczająca ich betonowa dżungla składała się ze sklepu meblowego, Jiffy Lube, Big Lots, walącego się centrum handlowego oraz kilku niezbyt reprezentacyjnych apartamentowców. Wszędzie wokół mnóstwo samochodów i ludzi. Złoczyńcy mogą być wszędzie.

Dan pokręcił głową.

- Nie, nie wydaje mi się. Uważałem.

Popatrzyła zdumiona. Dan wrócił do pałaszowania kanapki.

Przełknął kęs, a potem mrugnął i powiedział:

- Hej, oglądam telewizję. Poza tym, skoro ty uciekasz, a ja jestem z tobą, to ja również uciekam.

Katharine poczuła się winna.

- Bardzo przepraszam, że cię w to wszystko wplątałam. Wzruszył ramionami i dokończył jedzenie.

- Nie musiałem cię podwozić. Z własnej woli pojechałem z tobą wczoraj do szpitala. I zabrałem cię dziś z parkingu. Jestem co najmniej równie odpowiedzialny, jak ty.

- Popił kanapkę sokiem pomarańczowym i uniósł brew.

- Jesz czy nie?

Zmarszczyła czoło, słysząc obojętność w jego głosie. Jeszcze raz rozejrzała się niespokojnie po parkingu. Samochody wjeżdżały i wyjeżdżały, ludzie wchodzili do McDonalda i wychodzili. Ulicą jechał sznur samochodów.

Gdyby ich zaatakowano, nie brakowałoby świadków.

- Z tymi ludźmi nie ma żartów - ostrzegła go. - Zamordowali wczoraj moją koleżankę. Jestem pewna, że nie zawahają się przed zabiciem ciebie.

- Pozwól, że sam się będę o siebie martwił, co? Jedz.

Nie miała nic więcej do powiedzenia. Poddała się i zaczęła jeść swoją kanapkę. Żaden rozsądny bandyta nie zaatakuje w obecności tylu świadków. Będą mieli jeszcze mnóstwo okazji, kiedy zostanie

sama na lotnisku. Omal nie zwymiotowała z wrażenia na tę myśl. Połknęła to, co miała w ustach, i schowała resztę kanapki. Więcej nie była w stanie zjeść, niezależnie od tego, jak bardzo potrzebowała energii i protein.

- Tylko tyle masz zamiar zjeść? - spytał z dezaprobatą Dan.

- Tak. - Popatrzyła na niego wyzywająco spod zmrużonych powiek. Nic nie powiedział. Napiła się jeszcze kawy, mając nadzieję, że ją ożywi. Bezpodstawną. - Możemy już jechać?

Nadal nie spieszyło jej się, by zostać samej, ale nie chciała też dłużej stać na parkingu przed McDonaldem, gdzie każdy mógł ich zauważyć. Poza tym, jakie miała wyjście? Żadnego, odpowiedziała sobie. Jest ścigana. Niewielu rzeczy mogła być równie pewna. Musiała uciekać, póki czas.

Jeśli ją złapią...

Serce znowu zaczęło jej łomotać.

- Pewnie.

Poczuła ból w napiętych mięśniach. Wyjechali z parkingu, zatrzymując się tylko na chwilę koło śmietnika. Powrócił ból głowy i tępe pulsowanie w skroniach; była tak zmęczona, że zdawało jej się, iż zamiast kości ma jakąś galaretowatą substancję. Choć była głodna, zjedzony kawałek kanapki tkwił niczym kamień w ściśniętym żołądku. Kawa zostawiła gorzki smak w ustach.

- Mogę coś zaproponować? - odezwał się Dan, zajmując miejsce w kawalkadzie innych aut.

Rozejrzawszy się dokładnie, nie zauważyła niczego podejrzanego. A jednak żołądek ścisnął jej się jakby jeszcze bardziej. Za kilka minut dotrą na lotnisko. Oddychała ciężko, próbując zebrać resztki sił, determinacji oraz jasności umysłu.

- Co? - Popatrzyła na niego nieprzytomnie.

- Nie leć dziś nigdzie. Niedaleko od miasta mam letni domek. Moglibyśmy tam pojechać. Wzięłabyś prysznic, przebrała się, zdrzemnęła. Spróbowałibyśmy wspólnie się zastanowić, o co w tym wszystkim chodzi. Jutro z samego rana zawiozę cię na lotnisko, jeżeli wciąż będziesz chciała wyjechać.

Wpatrywała się w niego bez słowa. Perspektywa prysznic i snu była niezwykle kusząca. A nadzieja na towarzystwo wręcz oszałamiająca.

Poczekaj. Bądź ostrożna.

- Narażasz się na okropne niebezpieczeństwo z mojego powodu - powiedziała wolno, próbując zebrać myśli, zanim podejmie decyzję. Nie spuszczała wzroku z twarzy Dana. - Dlaczego.

Spojrzał jej w oczy.

- Bo jestem miłym facetem? - odparł uśmiechnięty.

Zacisnęła usta. Iskierki w niebieskich oczach, szelmowski uśmiech - znała je. Znała bardzo dobrze. Nie potrafiła sobie tylko przypomnieć, w jakich okolicznościach je widywała.

- Skąd mam wiedzieć, czy ci ufać? - spytała z rezerwą. Odwrócił wzrok i przestał się uśmiechać.

- Znikąd - przyznał. - Ale możesz mi zaufać.

Nie była przekonana, ale podjęła decyzję. Przeczucie podpowiadało jej, że dobrze robi. Miała tylko Dana.

- Więc jak będzie? - Patrzył na drogę. Zbliżali się do zjazdu na lotnisko. - Twoja decyzja.

Jutro, czysta i wyspana, będzie w znacznie lepszej formie, silniejsza fizycznie oraz, miejmy nadzieję, psychicznie. Gdyby dziś postanowiła wprowadzić swój plan w życie, już teraz prawdopodobnie popełniłaby mnóstwo błędów ze zmęczenia. Niewykluczone nawet (poczuła mróz na plecach na tę myśl), że Ed domyślił się prawdy. Wie, że nie zameldowała się w żadnym hotelu. Ktoś mógł pilnować lotniska. Lotnisk. Stacji metra. Dworców kolejowych i autobusowych. Wszystkich środków transportu. Bez samochodu (Ed lub inni ludzie czyhający na jej życie mogli mieć coś wspólnego z jego zniknięciem) mogła się wydostać z miasta jedynie za pomocą środków transportu publicznego i on dobrze o tym wie.

Paranoja? Może. A może rozsądek.

Tak czy inaczej, najbezpieczniejszym sposobem na opuszczenie miasta był prywatny samochód, w którym właśnie siedziała.

- Jedźmy do ciebie. Dzięki.

- Nie ma o czym mówić.

Nie uśmiechnął się, ale w widoczny sposób się odprężył. Katharine również. Westchnęła głęboko i opadła na fotel; ciepłe oparcie było zbawieniem dla napiętej szyi. Zamknęła oczy.

Niestety, jej umysł odmówił współpracy. Galopujące myśli nie dawały spokoju. Usiłowała znaleźć jakiś sens we wszystkim, co jej się przytrafiło. Kiedy to się okazało niemożliwe, próbowała znaleźć sens w czymkolwiek. Nie potrafiła.

Nagle pojawiło się niechciane, niepokojące podejrzenie. Wśliznęło się do zmęczonego umysłu niczym wstrętny robak. Czy dobry sąsiad Dan nie jest odrobinę zbyt dobry, by był prawdziwy?

Otworzyła gwałtownie oczy i zwróciła głowę w jego stronę, nie unosząc jej z oparcia fotela. Znaleźli się z powrotem na autostradzie, jechali na zachód drogą I-66 wśród innych samochodów, ponieważ jak zwykle był korek. Minęła ich ciężarówka, wprawiając blazera w wibracje. Katharine spojrzała w błękitne niebo przecinane białą wstęgą spalin z lecącego samolotu. Po lewej stronie mijali cmentarz Arlington National, od razu rozpoznała rzędy pomników w obramowaniu drzew i zielonej trawy, nawet nie czytając tablicy informacyjnej. Dziwne, że pamiętała takie rzeczy, wiedziała, gdzie jest cmentarz Arlington albo stacja metra w pobliżu lotniska, wiedziała, że korek to normalka w sobotę na tej autostradzie, a właściwie nic poza tym. Ani o sobie, ani o nim.

Powiedział, że można mu ufać. Oczywiście, dawno temu Ted Bundy prawdopodobnie to samo wmawiał swoim ofiarom. Jednak właściwie to ufała Danowi. W pewnym sensie. Do pewnego stopnia. Tak jej się zdawało. Może.

- No dobrze. - Pochwycił jej spojrzenie i zmarszczył czoło. Do tej pory Katharine nie zdawała sobie sprawy, że się na niego gapi, najwyraźniej jak żaba w muchę. - Zechcesz mi wytłumaczyć, czemu się we mnie wpatrujesz w ten sposób? Jakby mi nagle wyrosła druga głowa?



## Rozdział 11

Nie masz okularów na nosie.

Właśnie zdała sobie z tego sprawę. Zobaczyła je w jego kieszeni. Bez nich wyglądał mniej oficjalnie. Mniej jak intelektualista, a bardziej jak ktoś, komu nieobce są zajęcia fizyczne. W jej sytuacji powinna się z tego cieszyć, choć poczuła również lekki niepokój.

- No tak. - Zakłopotany poklepał się po kieszeni koszuli. - Tu są. Zdjąłem je, kiedy ścigałem włamywacza. Nie przejmuj się, nie potrzebuję ich do prowadzenia auta. Są głównie do czytania. - Rzucił jej przelotne spojrzenie, po czym wyjął okulary z kieszeni i włożył je do schowka na drzwiach. - To dlatego mi się przyglądałaś?

- Właściwie nie - odparła falsetem. - Robiłam to nieświadomie. Myślałam o naszym pierwszym spotkaniu.

Dan uniósł brwi. Kiedy znów na nią spojrzał, jego twarz była bez wyrazu.

- Tak?

Czekała, ale skupił się z powrotem na drodze i nic więcej nie powiedział. Katharine zmarszczyła czoło.

- Próbowałam sobie przypomnieć, kiedy to było - próbowała jeszcze raz. Pogratulowała sobie obojętnego tonu.

Wzruszył ramionami.

Cudownie. Nagle zamienił się w milczka.

- Kiedy to było? - Nie dawała za wygraną.

- Jakiś czas temu.

- Przypomnij mi. - W jej głosie zabrzmiały ostrzejsze nuty. Nic nie mogła na to poradzić. Była zmęczona, obolała i wylękniona, delikatność wymagała zbyt wiele wysiłku. Poza tym przynosiła mizerne efekty.

W jego wzroku malowała się teraz ostrożność.

- Co? Nasze pierwsze spotkanie? Czemu? Bo muszę wiedzieć, do diabła.

- Znasz zabawę w głuchy telefon? Jedna osoba mówi coś do ucha

sąsiadowi, a zanim dojdzie do ostatniej, zazwyczaj wychodzi coś zupełnie innego? - Niezłe. Sama prawie uwierzyła. - Chcę się przekonać, czy zapamiętaliśmy te same rzeczy.

- Żartujesz?

- Nie, nie żartuję - odparła ponuro. Rozchmurz się, dziewczyno, upomniała się.

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Starła się nie okazać złości.

- Nie pamiętasz?

Sprawił wrażenie skruszonego.

- Hej, ostatnio wiele się dzieje. O co chodzi? Powiedziałem wtedy lub zrobiłem coś nie tak? W takim razie przepraszam.

- Nieważne - skwitowała naburmuszona i znów zapadła cisza.

Jej próba poszukania odpowiedzi spaliła na panewce.

Najwyraźniej każde wyzwanie było dla niej dziś zbyt skomplikowane.

- Wiesz - odezwał się po chwili. - Tak sobie pomyślałem... Jesteś pewna, że ten dzisiejszy napastnik to nie był zwykły złodziejaszek, który postanowił wykorzystać okazję? Może usłyszał gdzieś o wczorajszym zajściu i wiedział, że dom będzie pusty.

- Jestem pewna - odpowiedziała nieprzyjaźnie.

- Jak możesz być pewna?

- Po prostu jestem. - Westchnęła. - Po pierwsze, miał na sobie garnitur. Drogi. Czarny albo granatowy - w każdym razie ciemny, trudno mi określić dokładnie kolor, w domu panował półmrok - z białą koszulą i ciemnym krawatem. Nie jest to strój typowego włamywacza.

Dan wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Może ubrał się tak, żeby nie wzbudzać podejrzeń, pojawiając się w dobrej dzielnicy. Musisz mieć jeszcze jakieś inne powody, by uważać, że nie padłaś ofiarą pospolitego złodziejaska. Sam ładny garnitur o niczym nie świadczy. Co jeszcze?

- Miał taki sam pistolet jak ci faceci wczoraj. Wiedział, kim jestem. Szukał czegoś konkretnego. Uwierz mi, to nie włamywacz. - W porządku, była wkurzona. Niech ją poda do sądu.

- Dobrze, nie wlamywacz. - Dan zdawał się przychylić do jej zdania. - Potrafiłabyś go zidentyfikować? Znaki szczególne, blizny?

Pokręciła przecząco głową.

- Nie widziałam.

- A jego oczy?

- Ciemne. Prawie czarne. Małe.

- Kolor skóry?

- Chyba biały. Chociaż raczej oliwkowa karnacja. Może Latynos.

Nie czarny.

- Włosy?

- Nie widziałam. Były schowane pod kominiarką.

- Wzrost?

- Chyba z metr osiemdziesiąt. Muskularny. Niezła kondycja. Jak ci faceci, którzy pracują dla Eda.

- Podejrzewasz, że był z CIA, co? Bardzo krzepiąca myśl - skomentował oschle Dan. - Dobrze wiedzieć, że mamy na karku federalnych.

Nie czuła się bezpieczniej, kiedy mówił „my”, aczkolwiek świadomość, że nie jest sama, była dziwnie pocieszająca.

Przynajmniej, jeśli ich złapią, nie będzie umierała sama.

- Czekał. - Nagle to do niej dotarło. - Skąd wiesz, że Ed jest w CIA?

- Zdjęcie w gazecie. Pamiętasz? Było podpisane.

- No tak. - Zamilkła na moment.

- Widziałaś coś jeszcze? - pytał Dan. - Może jego ręce? Wzdrygnęła się na wspomnienie grubych, białych, martwych palców.

- Nosił chirurgiczne rękawice. Słuchaj, jakie to ma znaczenie? Po wszystkim. Już go nie odnajdziemy. Z tego, co wiem, tajniacy nie mają kartotek.

- Tajniacy?

Westchnęła ze zniecierpliwieniem.

- Tajni agenci.

- Myślisz, że był jednym z nich? - Przerwał, jakby miał trudności z wypowiedzeniem następnych słów. - Tajny agent?

Znów rozboleła ją głowa.

- Powtórzę jeszcze raz: jakie to ma teraz znaczenie?

- Może mieć. To ruchliwa autostrada. Nie wiadomo, kto siedzi w każdym z samochodów. Byłoby łatwiej, gdybym mógł wykluczyć z grona podejrzanych na przykład tego gościa w półciężarówce.

Katharine uniosła głowę, by przyjrzeć się kierowcy jadącego obok dodge'a caravana, łysemu otyłemu mężczyźnie, który właśnie krzyczał na czwórkę dzieci w fotelikach z tyłu.

- Jego możesz spokojnie wykluczyć. - Jej głowa opadła z powrotem na oparcie.

- To tylko przykład. Rozumiesz, o co mi chodzi. Choć z niechęcią, musiała przyznać, że tak.

- Podejrzewasz, że ktoś za nami jedzie? Dan pokręcił przecząco głową.

- Nie sądzę. Ale nie jestem nieomylny.

- Wspaniale.

- Co jeszcze zapamiętałaś z wyglądu tego faceta? Jego stopy? Jakie buty?

Przypomniała sobie, jak próbował ją kopnąć.

- Czarne półbuty.

W wyobraźni znów była pod kuchennym blatem i walczyła o życie. Stopa napastnika przecięła powietrze kilka milimetrów od jej twarzy. Wspomnienie było tak wyraziste, że Katharine niemal poczuła powiew na twarzy. Wtedy nie koncentrowała się na obuwiu bandyty. Zerknęła jedynie, ale...

Zmarszczyła czoło.

- Było coś na podeszwie. Jakby znak firmowy. Okrągły i... - Oczy jej się rozszerzyły. - O mój Boże. Podłoga. Podłoga nie była taka, jak trzeba.

- Co? - Dan popatrzył na nią z zaskoczeniem. Prawie nie zwróciła uwagi. Wróciła myślami do tamtej chwili, kiedy leżała na boku, przywierając do kuchennych szafek i patrzyła na płytki.

- Płytki były za małe - stwierdziła z przerażeniem. - Co?

Nawet nie słyszała, że o coś zapytał. Skupiła się na wspomnieniach z dramatycznych wydarzeń dzisiejszego i wczorajszego

dnia. Wczoraj w nocy leżała z nosem na podłodze, która niestety dawno nie widziała mopa. Pod warstwą brudu i tłuszczu terakotowe płytki były gładkie, zimne i twarde jak gład. Pamiętała dobrze szare fugi oddzielające równe trzydziestocentymetrowe kwadraty. Dziś upadła na tę samą podłogę i szła po niej na czworakach. Dotykała rękoma tych samych płytek. Były zdecydowanie mniejsze. Dziś cała kuchenna posadzka składała się z czystych, zimnych, twardych jak gład terakotowych płytek o wymiarach piętnaście na piętnaście centymetrów. Katharine otworzyła usta z zaskoczenia i przerażenia.

- Co? - powtarzał Dan obserwując ją. - Co?

- Podłoga jest inna - powiedziała słabym głosem. Wnętrze samochodu zdawało się zaciskać wokół niej niczym wielka czarna pięść. Czuła się jak w potrzasku, jakby miała się za chwilę udusić. - Płytki się zmieniły. Jak płytki mogły się zmienić?

- Co? Mówisz bez sensu.

- Coś jest nie tak. - Chciała krzyknąć, tymczasem jej głos był ledwie słyszalny. Oczy zaszyły mgłą; puls przyspieszył. W skroniach jej łomotało, jakby głowa miała za chwilę wybuchnąć. - O Boże, coś jest bardzo, bardzo nie tak.

Nadciągnęła fala słabości. Płytki nie mogły się zmienić.

- Muszę ci powiedzieć, że zaczynasz mnie przerażać. Jesteś biała jak ściana. Albo powiesz mi natychmiast, o co chodzi, albo jedziemy do najbliższej izby przyjęć.

Katharine odniosła wrażenie, że przyspieszyli. Świat za szybą zamienił się zniemacka w kalejdoskop rozmazanych barw i dźwięków. Znowu groził jej szpitalem. Wciąż nie mogła przestać myśleć o tych mniejszych płytkach. Były inne...

Wciągnęła powietrze.

Weź się w garść.

- Niepotrzebny mi szpital. - Zacerpnęła kolejny głęboki oddech. - Tylko... O Boże, Dan, myślę, że zwariowałam.

- Cóż, to rzeczywiście zupełnie co innego - odparł z przekąsem.

Katharine nie powiedziała nic więcej. Próbowwała przekonać samą siebie, że coś jej się pomieszało z tymi płytkami. Za oknem widziała

już tylko zieleń. Zbliżali się do zjazdu z autostrady.

- Żadnych szpitali. - Jej głos zabrzmiał mocniej. Starła się skupić na tym, co się działo tu i teraz. Umysł splątał jej figła, podłoga nie mogła być przecież inna. Zdawała sobie z tego sprawę.

Trzydziestocentymetrowe płytki. Piętnastocentymetrowe płytki. W tej samej kuchni, w odstępnie zaledwie kilku godzin. Stłumiła jęk, bojąc się, że zdenerwuje Dana.

Zjechali z autostrady międzystanowej na nieco mniej zatłoczoną czteropasmówkę. Katharine zauważyła kilka barów szybkiej obsługi, tanich moteli i stacji benzynowych.

- Co robisz? - spytała, kiedy Dan zatrzymał się przed sklepem, który wyglądał jak pudełko wykonane z równej wielkości betonowych bloków i szkła. Na zewnątrz znajdowały się dwie pompy z paliwem. Pod jedną stał stary niebieski ford pikap, pod drugą nowszy biały infiniti. Forda tankował czerwonolicy farmer w ogrodniczkach. Bak infiniti napełniała na oko pięćdziesięcioletnia elegancka blondynka. Oboje wyglądali niegroźnie. Przed sklepem parkowało kilka samochodów. Właściciele prawdopodobnie robili zakupy.

- Postoimy tu kilka minut i popatrzymy, kto zjechał za nami. W tym czasie powiesz mi, co cię tak strasznie niepokoi w jakiejś podłodze.

Zaparkowali niedaleko toalet usytuowanych z boku budynku, za pompami z paliwem. Po drugiej stronie chodnika, za trzema śmietnikami, na skrawku trawy między parkingiem a restauracją Taco Bell sąsiadującą ze sklepem stały dwa puste stoły piknikowe. Ocieniał je stary wiąz.

Dan wyłączył silnik, wysiadł i zatrzasnął drzwi. Obszedł samochód i otworzył drzwi przed Katharine. Wszechobecny szum pojazdów zaatakował jej uszy.

- No dalej - ponaglił. - Wysiadaj.

Okazało się, że to nie takie proste. Mimo najlepszych chęci nie potrafiła zmusić mięśni do wysiłku. Popatrzyła na niego bezradnie. Dan westchnął ze zniecierpliwieniem i rozpiął przytrzymujący ją pas



bezpieczeństwa. Jego ramię otarło się o pierś Katharine, co zarejestrowała z zadziwiającą jasnością, jak również jego wspaniale wyrzeźbione mięśnie. Zmarszczyła brwi. Tego uczucia nie sposób pomylić z niczym innym. A najbardziej zadziwiający wydawał się fakt, że było jakby znajome. Dan znalazł się bardzo blisko, tak blisko, że widziała każdy por opalonej skóry i każdy pojedynczy ciemny włos na policzku, a także maleńką bliznę w kąciku lewego oka. Poczuł na sobie jej spojrzenie i odwzajemnił je. Uspokajający łagodny błękit jego oczu stał się mniej uspokajający i mniej łagodny. Pociemniał i nabrał dziwnego blasku.

- No chodź. - Wyprostował się i podał jej rękę. Jeżeli poczuł tę samą falę sprzecznych emocji co ona, skrzętnie to ukrył. - Chcę usiąść gdzieś, skąd można widzieć drogę. Przy tamtych stolikach będziemy mogli wszystko obserwować, sami nie będąc widziani. Jeśli ktoś nie wie, gdzie patrzeć, nie zauważy nas.

Wzięła głęboki oddech. Najgorszy szok zdawał się mijać, jeśli nie myślała o tych przeklętych płytkach. Nawet najmniejsze wspomnienie podłogi kuchennej sprawiało, że jej świat trząsał się w posadach. Choćby nie wiadomo jak bardzo próbowała znaleźć racjonalne wytłumaczenie, nic nie usprawiedliwiało różnicy w wielkości płytek.

Przestań. Nie myśl o tym. Doprowadzisz się do szaleństwa, powtarzała sobie.

Możliwe, że jej obawy były spóźnione. Podejrzewała, iż już jest szalona.

- Skąd to wiesz? - Katharine odruchowo podała mu rękę. Opór wydawał jej się zbyt męczący. Dan ujął mocno jej dłoń i pomógł wysiąść z samochodu. Dopiero po wyjściu na ciepłe powietrze zdała sobie sprawę, jak bardzo przemarzła. Ramiona pokryły się gęsią skórka. Zacisnęła zęby, żeby powstrzymać ich szczekanie. Nie czuła się pewnie na nogach. Oparła się o samochód. Asfalt pod jej bosymi stopami z minuty na minutę stawał się gorętszy. Przystępując z nogi na nogę, doceniła za długie nogawki spodni Dottie. Gdyby nie one, odstawiłaby własną wersję indiańskiego tańca wojennego.

- Zatrzymałem się tu już. Po drodze do domku.

Puścił jej rękę, po czym zamknął drzwiczki samochodu. Katharine nadal nie mogła przestać myśleć o podłodze. Musi istnieć jakieś wytłumaczenie...

- Katharine.

Zaskoczył ją jego rozkazujący ton. Dan stał naprzeciwko z rękoma złożonymi na piersiach, patrząc na nią w taki sposób, że domyśliła się, iż powtarza jej imię któryś raz z rzędu. Musiała podnieść głowę, żeby spojrzeć mu w oczy, co jej uświadomiło, jak jest wysoki. Sięgała mu czubkiem głowy ledwie do podbródka. Miał zmrużone oczy od słońca i usta zaciśnięte w surową kreskę. I znowu miała niepokojące wrażenie deja vu. Czy kiedyś już tak stali naprzeciw siebie?

Gdzie? Kiedy?

- Hmm - mruknęła z roztargnieniem, badając wzrokiem jego twarz.

Każdy jej rys był znajomy, ale nie mogła sobie przypomnieć żadnych szczegółów ich znajomości wcześniejszych niż obecna sytuacja. Znała go, a jednocześnie nic o nim nie wiedziała.

Dziwne. Bardzo dziwne.

- Dasz radę? - zapytał zniecierpliwiony Dan. Chodziło mu o to, czy dojdzie o własnych siłach do stolika. Katharine mrugnęła kilka razy, starając się zebrać myśli, po czym skinęła głową, ponieważ zgadzanie się na wszystko wydawało się najłatwiejsze. Odchodząc od samochodu, zdała sobie nagle sprawę, jak bardzo źle się czuje. Kręciło jej się w głowie, nogi miała jak z waty i wszystko ją bolało. Głowa jej pękała, żołądek zdawał się kurczyć coraz bardziej i trzęsła się z zimna pomimo upału. Ale najgorsze ze wszystkiego było to, że niewątpliwie całkowicie straciła rozum. Nie było innego wytłumaczenia. Katharine Lawrence, szczupła blondynka, to ona. A płytki nie mogły być inne.

- Ostrożnie - ostrzegł. Katharine stąpała niezdarnie po nagrzanym betonie w kierunku trawy i omal nie przewróciła się o zbyt długie nogawki spodni, próbując uchronić stopy przed poparzeniem.

Nie odpowiedziała. Zadanie, które miała przed sobą, wymagało

koncentracji, jeśli nie chciała usmażyć sobie skóry.

- Jezu Chryste! -jęknął z rezygnacją Dan, podchodząc od tyłu i biorąc ją na rękę, zanim zdążyła się zorientować, co zamierza. - Nie masz żadnych butów?

- Hej - zaprotestowała, chwytając go za ramiona. - Są w torbie podróżnej.

- Mam pomysł: może byś je włożyła?

- Następnym razem, o ile wreszcie będę miała kilka minut, kiedy nikt nie spróbuje mnie zabić - odparła cierpko.

Uśmiechnął się, zerkając na nią. W kącikach oczu i ust pojawiły mu się drobne zmarszczki.

- Zrozumiałem aluzję.

Obejmując Dana za szyję, obserwowała z bliska jego profil. Nie był klasyczny, ale przystojny i męski, a krzywy uśmiešek poruszył jakąś strunę w jej pamięci. Była niemal pewna, że gdzieś już widziała tego mężczyznę, ale znów nie mogła sobie przypomnieć nic, co by potwierdzało jej przekonanie. Promienie słoneczne rozświetlały jego jasne niesforne włosy, uwydatniając jednocześnie bruzdy zmęczenia wokół oczu i ust. Wyglądał na spiętego. Z nagłym zaskoczeniem zdała sobie sprawę, że jest równie wystraszony i niespokojny jak ona. Z pewnością nie co dzień pomagał uciec kobiecie walczącej o życie z bandą nieznanych bandziorów. Mało tego: prawdopodobnie został wplątany w morderczą sieć tajemnic rządowych, a z całą pewnością nie miał doświadczenia w podobnych sytuacjach. Nie myślała o tym wcześniej w ten sposób, ale teraz w pełni zdała sobie sprawę z jego dzielności. Nawet więcej: bohaterstwa.

A ponieważ była niewdzięczną paranoiczką, natychmiast wydało jej się to podejrzane.

- Więc - odezwała się przeciągle, zaciskając mocniej rękę na jego szyi, gdy minęli kosze na śmieci i szli przez trawę ku stolikom. - Czemu jesteś dla mnie taki miły?

Zerknął na nią z ukosa.

- Jestem miłym facetem, zapomniałaś?

Oczy błyszczały mu szelmowsko. Katharine zmarszczyła czoło.

- Ach tak - stwierdziła z powątpiewaniem. Roześmiała się.

Jego żarty nie rozwiały jej podejrzeń, ale odprężyła się nieco. Przypomniała sobie stare przysłowie o niezaglądaniu darowanemu koniowi w zęby. Przysłowia są mądrością narodów. Najważniejsze, że czuła się przy nim bezpiecznie. Nie było jej całkiem dobrze w jego ramionach, ale też nie całkiem nieprzyjemnie.

- Możesz mnie już postawić. Jesteśmy na trawie - zwróciła mu uwagę.

- Za późno. I tak mam już nadwerężony kręgosłup. Uznała to za dowcip niegodny komentarza. Dan niósł ją z łatwością, jakby była lekka niczym piórko i niemal zachwycił się jego męską siłą, nim zdała sobie sprawę, że teraz, kiedy jest chudą blondynką obwieszoną diamentami, z różowymi paznokciami i niesprawnym mózgiem, pewnie rzeczywiście waży tyle co nic. Myśl o niesprawnym umyśle zdenerwowała ją bardzo już po raz kolejny. Katharine nie zwracała na nic uwagi, póki nie usadził jej niezgrabnie na plastikowej ławeczce. Okazała się zaskakująco wygodna. Upał nadal wydawał się nieznośny, powietrze ciężkie i wilgotne jak w saunie, jednak gałęzie wiązu osłaniały polankę przed bezpośrednim działaniem promieni słonecznych.

Przemarzniętej do szpiku kości Katharine upał wydawał się zbawieniem.

- Dobrze, wobec tego teraz wyjaśnij mi, czemu ci się wydaje, że tracisz rozum z powodu podłogi - powiedział, sadwiąc się blisko niej, tak że jego długie nogi dotykały jej nóg. Oparł wygodnie ramiona na stole. Rzucił na nią jedynie przelotne spojrzenie. Obserwował autostradę, z której właśnie zjechali, i wjazd na parking. Panował na niej spory ruch, stwierdziła Katharine, podążając za jego spojrzeniem. Jednak żaden z pojazdów nie przyciągnął jej uwagi, nikt z kierowców nie sprawiał wrażenia, jakby kogoś szukał. Poza tym, w takim tłoku byli przysłowiową igłą w stogu siana. Poczuła się odrobinę lepiej. A w każdym razie bezpieczniej.

Jego słowa przywołały gwałtownie dwa kontrastujące obrazy kuchennej podłogi: z wczoraj i dziś. Nie miała wątpliwości: różniły

się. Pozostawało pytanie, jak wiele powinna wyjawiać Danowi. Zachować spostrzeżenie o płytkach dla siebie? Wspomniała mu o swoim odkryciu pod wpływem zaskoczenia. Nie mogła się zorientować, o co w tym wszystkim chodzi. Jeszcze chwila, a jej mózg eksploduje. Historia z płytkami nie ma sensu. Katharine ukryła twarz w dłoniach i zamknęła oczy.

- Pomyślisz, że zwariowałam.

- Czyli zakładasz, że jeszcze tak nie uważam. - Spojrzała na niego, mrużąc oczy. Mruknął coś ze zniecierpliwieniem. - Daj spokój, wykrztuś to wreszcie.

Żołądek podszedł jej do gardła. Zaciśnęła palce stóp na miękkiej trawie. Zaciśnęła dłonie.

- Wczoraj - zaczęła ostrożnie - Lisa i ja leżałyśmy związane na podłodze w mojej kuchni. Ja na brzuchu, twarzą dotykając płytek. Dokładnie im się przyjrzałam. Płytki miały boki długości około trzydziestu centymetrów. - Przerwała i zwilżyła usta. - Dziś, kiedy uciekałam przed tym facetem, upadłam na podłogę w kuchni. Moja ręka wylądowała na jednej z płytek. Nie tylko zobaczyłam, ale i poczułam jej wielkość. Ta płytka, i wszystkie inne, miały nie więcej niż piętnaście centymetrów. Ta sama kuchnia, ten sam kolor i wzór terakoty. Tylko wielkość inna.

Dan wbił oczy w jej twarz niczym dwa promienie lasera.

- To niemożliwe - oświadczył.

## Rozdział 12

To samo sobie powtarzam. Ale uwierz mi, taka jest prawda.

- Musiałaś się pomylić.

- Nie pomyliłam się.

- W takim razie padłaś ofiarą halucynacji. Lub... -urwał.

Popatrzyła na niego ostrzegawczo.

- Lub szaleństwa? - dokończyła podejrzenie słodkim tonem.

- Tak. Coś w tym rodzaju.

- Dzięki - powiedziała z goryczą. - Bardzo mi pomagasz.

- Jakie leki podali ci w szpitalu? Dobre pytanie.

- Też się nad tym zastanawiałam.

- Nie wiesz?

- Skąd niby? Straciłam przecież przytomność. Byłam pacjentką, ty jesteś lekarzem. Czemu ty nie wiesz?

Zmierzyła go gniewnym spojrzeniem. Zmarszczył czoło.

- Nie byłem tam jako twój lekarz. Nie przepisywałem ci leków, nie podawałem ich i nie wiem, co brałaś. Mógłbym się dowiedzieć, ale to nam teraz w niczym nie pomoże.

Znów powiedział „my”. Za to skłonna mu była wybaczyć pewną dozę niewrażliwości.

- Może podali mi coś, co wywołuje halucynacje?

- Może. - Zamilkł i zastanowił się przez chwilę. - Ale skąd halucynacje akurat na temat wielkości płytek kuchennych?

Pomyślała o całej reszcie dziwnych rzeczy, jakie działy się w jej głowie, i poczuła przejmujący ból w skroniach. Nie radziła sobie, musiała szukać pomocy. Dan był w tej chwili jej jedyną nadzieją.

- To jeszcze nie wszystko. - Matko, w głowie jej okropnie pulsowało. Przycisnęła ręce do skroni. -Ja... - zawahała się, szukając właściwych słów. - Nie znam siebie.

Wpatrywał się w nią, nie rozumiejąc.

- Chciałem tylko zaznaczyć, że nie jestem psychiatrą. Czy jest jakiś konkretny powód tego stanu?



Trudno było w pełni dopuścić do siebie ból w obliczu tak jawnej ignorancji, uznała. Ręce opadły jej na stół, zesztyniała i popatrzyła na niego bez sympatii.

- Nie mówię o braku wewnętrznego zrozumienia własnej psychiki, lecz o nierozpoznawaniu się w lustrze - wyjaśniła z nutką złości w głosie. - Osoba, którą widzę, to nie ja. Fizycznie. Nie taką siebie pamiętam.

- Co? - Patrzył na nią jak na Marsjankę.

- Nie jestem blondynką, rozumiesz? Nie jestem taka chuda. Nie mam idealnych zębów, ślicznych, wypielęgnowanych dłoni, pierścionków z wielgachnymi szafirami ani diamentowych kolczyków. - Popatrzyła na duży, iskrzący się kamień. Zaczęła obracać pierścionek na palcu. - Widzisz? Nawet nie pasuje. Jest za duży.

Zerknął na pierścionek i z powrotem na nią.

- Katharine...

- W tym problem. - Jej głos zadrżał. Złożyła razem dłonie. - Chyba nie jestem Katharine. Nie czuję się jak Katharine. Czuję się, jakbym trafiła do cudzego życia.

Oddychała szybko, była roztrzęsiona. Dan wpatrywał się z niepokojem w jej twarz. Przez kilka chwil po prostu na siebie patrzyli.

- Mocno dostałaś w głowę - powiedział wreszcie.

- Wiem - przyznała. - Mam nadzieję, że dlatego tak się czuję albo też z powodu leków, które podano mi w szpitalu. - Inna rzecz - wciągnęła gwałtownie powietrze - że brakuje mi wielu wspomnień. Na przykład, rozpoznałam cię od razu, ale nie pamiętam, jak się poznaliśmy.

- Aha. - W jego oczach zagościło zrozumienie. Przypomniał sobie, jak wcześniej próbowała coś z niego wyciągnąć na ten temat.

- To samo z Edem. Wiem, kim jest: moim szefem i... partnerem życiowym. Wiem, jak wygląda, ale nie poznałam go po głosie, kiedy dzwonił. Jedyne, co czuję, gdy o nim myślę, to nieufność. A właściwie strach.

Dan ściągnął brwi; sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, ale Katharine nie dopuściła go do głosu.

- Ktoś czegoś szuka i myśli, że wiem, gdzie to jest, a ja nie wiem. Ktoś usiłował mnie zabić, a ja nie mam pojęcia, kto i dlaczego. - Przełknęła ślinę. - Niczego nie czuję. Mam na myśli emocje. Na przykład Lisa. Była jedną z moich najbliższych przyjaciółek, zginęła na moich oczach. Wiem o tym, ale tego nie czuję. Nie czuję żalu, który powinnam odczuwać po jej stracie. I... i ten piękny, luksusowy dom. Zupełnie nie w moim stylu. Nie ja go urządzałam. To nie mój gust, nie moje rzeczy. Nie mieszkam tam. A teraz te płytki. Zdaję sobie sprawę, jak głupio to brzmi, ale ta podłoga to ostatnia kropla, która przepełniła czarę.

- Chyba rozumiem - oświadczył. Czuła jego wzrok na twarzy. - Spróbuj o tym zbyt wiele nie myśleć - dodał.

- Cokolwiek ci się przytrafiło, rozwiążemy wszystkie zagadki.

Użycie przez niego liczby mnogiej podziało na nią kojąco jak nic innego. Otworzyła oczy i wynagrodziła go niepewnym drżącym uśmiechem. Dan powędrował wzrokiem ku jej ustom, po czym znów popatrzył w oczy. Miał nieodgadniony wyraz twarzy.

- Jedyne wytłumaczenie to jakaś dziwna odmiana amnezji - powiedziała. - Ale...

Głos jej się załamał, oczy zaszły łzami, usta zadrżały. Nigdy nie płakała. Przynajmniej kiedyś, ale teraz była zupełnie kim innym i miała naprawdę straszny dzień.

Dan przyglądał się jej surowo. Zacisnął wargi. Nagle stał się nieprzystępny i chłodny.

- Cóż, weź się w garść - powiedział prawie nieprzyjemnym tonem. Wstał i popatrzył na nią z góry, marszcząc brwi. - Chodź, pora na nas. Gdyby ktoś nas śledził, już byśmy go zauważyli.

Tak ją pochłoneły te zwierzenia, że kompletnie zapomniała: przecież mieli się rozglądać za ogonem. Otworzyła szeroko oczy i rozejrzała się. Wokół było mnóstwo samochodów. Gdyby ona miała trzymać rękę na pulsie i obserwować każdy z nich, poniosłaby sromotną klęskę. Na szczęście Dan zrobił to sam.

- O, racja.

Jego nagła zmiana nastawienia zbiła Katharine z tropu. Choć nie chciała się do tego przyznać nawet przed sobą, zranił jej uczucia. Najwyraźniej nie radził sobie z kobiecymi łzami. Po zastanowieniu uznała, że to dobrze, gdyż nie miała najmniejszego zamiaru płakać. Zapchany nos to w jej sytuacji gorzej niż źle. Już i tak nie mogła przez niego oddychać. Zapanowała nad łzami. Aczkolwiek nadal była urażona reakcją swojego towarzysza. Wstała. Natychmiast poczuła zawroty głowy i ugięły się pod nią kolana. Nie zamierzała jednak okazać słabości. Wyprostowała ramiona, uniosła podbródek i dumnym krokiem ruszyła do samochodu. Dan bez słowa poszedł za nią. Nawet nie mrugnęła okiem, postawiwszy bosą stopę na rozgrzanym asfalcie. Uparcie stawiała jeden bolesny krok za drugim.

- Och, na litość boską - westchnął Dan, biorąc ją bezceremonialnie na rękę. Złapała go za szyję i popatrzyła nań wrogo.

- Nikt cię nie prosił, żebyś mnie zaniósł.

- Wkładaj buty, to nie będę musiał.

- Dla twojej informacji: nie miałam zamiaru się rozpłakać.

- Czy ja mówię, że tak?

- Jasne. Uciąłeś rozmowę i zrobiłeś się niemiły bez powodu. -

Obejmowała go ramionami za szyję tylko dlatego, że musiała się przytrzymać. Czuła jego ciepłe, silne ciało przy swoim i gdyby nie była zirytowana, nawet by jej się to podobało. Ale była zirytowana. Sam zachęcił ją do zwierzeń. Po chwili włączyło się nieproszone wewnętrzne poczucie sprawiedliwości. - Posłuchaj, wiem, że nie musisz tego wszystkiego robić i jestem ci szczerze wdzięczna. Jeśli wolisz, możesz mnie zawieźć na lotnisko. Ja tylko...

Popatrzył na nią z wyrazem bezsilnej rozpacz i przerwał potok jej wymowy:

- Daj spokój, anielskooka, błagam. Wiesz doskonale, że cię nie zostawię.

Zastygła nieruchomo w jego ramionach. Poczwała, jak mięśnie Dana również się napinają. Starał się wyrównać oddech. Wymienili spojrzenia.

- Jak mnie nazwałeś?

Wydawał się zmieszany, jakby nie zamierzał tego powiedzieć, i z niepokojem czekał na jej reakcję. Przybrał nieodgadniony wyraz twarzy.

- Nie wiem. Jak?

Czemu nie była zaskoczona, że udaje głupka?

- Anielskooka? - powtórzyła. Coś w tym określeniu poruszało do głębi jakąś część jej podświadomości. Anielskooka...

- A to. Tak mi się powiedziało. Nie rób afery.

- Nazywałeś mnie tak już wcześniej? Odwrócił wzrok.

- Być może, nie wiem. Myślisz, że przywiązuję wagę do takich rzeczy?

Westchnął i rzucił jej łobuzerskie spojrzenie. Twarz mu złagodniała, odprężył się.

- Dobra, przyznaję się. Przyłapałaś mnie. Czasem zwracam się w ten sposób do kobiet. Nie bierz tego do siebie.

Popatrzyła na niego sceptycznie i badawczo. Ponownie odwrócił wzrok. Pomyślała, że takie notoryczne unikanie czyjegoś spojrzenia wiele ujawnia. Nagle upuścił ją bez ostrzeżenia na ziemię i Katharine odruchowo przytrzymała go mocniej za szyję. Dopiero kiedy usłyszała sygnał wyłączanego alarmu, uświadomiła sobie, że doszli do blazera. No dobrze, więc może po prostu patrzył na samochód.

- Jeśli chciałabyś skorzystać z toalety... - Przerwał dyskretnie i zerknął w kierunku łazienek. Jednocześnie zdołał otworzyć drzwi bez wypuszczania jej z objęć, co wymagało nieco zręczności z jego strony.

- Nie potrzebuję. - Nie przestawała badać wzrokiem twarz Dana.

Kiwnął głową, nie patrząc na Katharine. Rzucił ją na siedzenie pasażera, jej zdaniem, niczym worek ziemniaków i zamknął za nią drzwi, z ulgą, jak sądziła. Okrążył samochód, by wsiąść z drugiej strony.

Miała wrażenie, że nie chciał rozmawiać o tym, jak ją przed chwilą nazwał.

Anielskooka...

Była niemal przekonana, że wiąże się z tym jakieś wspomnienie. Im bardziej jednak starała się je przywołać, tym bardziej się rozwiewało. Doprowadziło ją to do szału. Usłyszawszy odgłos otwieranych drzwi od strony kierowcy, zerknęła jedynie z roztargnieniem, a przekonawszy się, że to Dan, a nie jakiś bandyta z morderczymi zamiarami, oparła głowę o fotel i gorączkowo przeszukiwała umysł w poszukiwaniu klucza do utraconej przeszłości... Bezskutecznie.

Jednakże instynkt (ten sam, który podpowiedział jej ucieczkę przed Starkeyem i Bennettem oraz udawaną uległość wobec Eda; ten sam, dzięki któremu była krok do przodu, cokolwiek się działo) znów nie dawał jej spokoju.

Zwrócił się do niej „anielskooka” i to poruszyło jakąś strunę. Była niemal pewna, że ktoś, kiedyś już ją tak nazywał. Jeżeli rzeczywiście, logika podpowiadała, iż tym kimś musiał być Dan. W odróżnieniu od „kochanie”, „skarbie” czy chociażby „maleńka” - „anielskooka” nie należało do popularnych pieścizotliwych określeń. Idealnie natomiast pasowało do osoby, której największym atutem były przejrzyste zielone oczy. Hm.

Zaufała Danowi na podstawie przeczucia i mglistych wspomnień o nim jako o sąsiedzie. Być może popełniła błąd.

Dan usadowił się obok niej. Obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem, jednak jej uwagę odwróciła para sandałów, które zabrała z domu. Wylądowały właśnie na jej kolanach. Popatrzyła na nie zdumiona.

- Mogłabyś je włożyć - powiedział oziębło. - Muszę zrobić zakupy i nie chcę cię zostawiać samej w samochodzie. Wolałbym, żebyś poszła ze mną, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Zerknęła na niego i znowu na buty. Kiedy podjechali pod sklep, włożyła je bez słowa. Nie uśmiechało jej się czekanie w samochodzie, za bardzo się bała zamachu na swoje życie. Jak już wcześniej zauważyła, sandały pasowały. Były to w zasadzie pojedyncze paski skóry na obcasach. Niepowtarzalne, eleganckie pantofelki z szafirowymi koralikami. Nic poza rozmiarem jej w nich nie pasowało.

Śliczne, kobiece, zalotne sandałki. Nie należały do niej.

Czy ja jestem Kopciuszkiem, żeby właściwy rozmiar buta przesądzał sprawę?, pomyślała, wchodząc do sklepu. Klimatyzowane zimne powietrze zmroziło ją do szpiku kości. Dan wrzucił do koszyka chleb, mleko, chipsy i inne potrzebne produkty. Katharine objęła się rękami i szcękając zębami, obserwowała pozostałych klientów. Przysadzisty facet w podkoszulce i okropnych krótkich spodenkach, znękana matka z dwójką dzieci domagających się słodyczy, para nastoletnich chłopców biorących sobie napoje z lodówki; jeśli ktokolwiek z nich pracował w tajnych służbach, rząd ma poważne kłopoty. Jediną osobą, która nadawałaby się na agenta, był Dan.

Myśl ta pojawiła się w jej głowie, kiedy Katharine, zapłaciwszy w kasie gotówką za tabletki przeciwbólowe, jej jedyny wkład w zakupy, odsunęła się od lady, by na niego zaczekać. Stała kilka metrów za nim, kiedy płacił za jedzenie, i przyglądała się, jak wyciągał portfel z tylnej kieszeni spodni i podał banknoty trzydziestoparoletniej pulchnej kasjerce z kiepską trwałą na włosach w kolorze platynowy blond. Katharine nagle spostrzegła, że jak na kogoś tak szczupłego Dan jest wyjątkowo dobrze zbudowany. Miał zaskakująco szerokie ramiona. Nie zwróciła na to wcześniej uwagi, skupiając się głównie na jego twarzy. Teraz widziała go od tyłu i miała doskonały widok na potężne barki, wąskie biodra oraz długie, umięśnione nogi. Poza tym, podobnie jak domniemani szpiedzy w jej domu, Dan nosił czarne półbuty.

Innymi słowy doktor McSexi stanowił idealny materiał na tajnego agenta.

Odróżniały go jedynie włosy. Tajniacy preferowali fryzury na języka, a nie niesforne loki. Katharine zmarszczyła brwi.

- Wróć do nas, złociutki - powiedziała kasjerka, wręczając mu resztę.

- Na pewno - obiecał serdecznie Dan. Schował resztę do portfela, który włożył z powrotem do tylnej kieszeni spodni. Zabrał zakupy, zerknął, czy Katharine idzie za nim, i skierował się ku drzwiom.



**Katharine zauważyła gorące spojrzenie, jakim kasjerka obdarzyła wychodzącego mężczyznę.**

**Otworzył jej drzwi i położył torby z jedzeniem na tylnym siedzeniu. Katharine opadła bez słowa na fotel. Zapinając pasy, patrzyła niewidzącym wzrokiem przez szybę, ślepa na wszystko, co się za nią znajdowało: wielką, srebrną maszynę do lodów mniej niż metr przed jej nosem, jaskrawe plakaty z reklamami mleka i ciastek przyklejone do dużych sklepowych okien, wchodzących i wychodzących klientów, którzy mijali samochód. Pochłaniało ją jedno jedyne pytanie: czemu jest taką idiotką?**

**Dan miał sylwetkę tajniaka, był na miejscu, kiedy się obudziła tego piekielnego dnia w szpitalu, i nazwał ją aniel-skooką.**

**Znała go, ale co właściwie o nim wiedziała?**

**Wróciła do świata, wyrwana z zamyślenia warkotem silnika i hukem z rury wydechowej. Dan siedział obok; zdążył już uruchomić samochód. Serce zaczęło jej walić ze strachu. Jeżeli istniały jakieś wątpliwości co do jego intencji, należało to natychmiast wyjaśnić. Tu, wśród ludzi, miała jakieś pole manewru. Niewielkie, ale zawsze jakieś. Mogła wezwać taksówkę albo pojechać autostopem. Lub wymyślić coś innego. Natomiast kiedy znów ruszą, jej szanse wyraźnie zmaleją. Zostanie wyłącznie Dan. A jak sam powiedział, zabiera ją do chatki na odludziu... Czyżby wpadła z deszczu pod rynnę? Z rąk bezlitosnych morderców pod skrzydła podstępного porywacza?**

**- Poczekaj. Zatrzymaj się - zażądała.**

**Popatrzył na nią pytająco z ręką na drążku zmiany biegów.**

**- Chcę zobaczyć twój dowód tożsamości - oświadczyła stanowczo.**

## Rozdział 13

Co takiego? - Popatrzył na nią oczyma szeroko otwartymi ze zdumienia.

- Słyszałeś. Pokaż dowód.

Znowu popatrzył na nią tak, jakby wyrosła jej druga głowa.

- Chcesz zobaczyć mój dowód? - upewnił się z niedowierzaniem. - Prawo jazdy? To niedorzeczne. Znasz mnie.

Pokręciła głową.

- Wyjaśniłam ci przecież. Sama siebie nie znam, a cóż dopiero ciebie. Nie mam pewności. Czuję się, jakby mnie ktoś zamknął w gabinecie luster w wesołym miasteczku. Wszystko mi się miesza, nie wiem już, co jest prawdą, a co złudzeniem. Tak więc moje nowe motto brzmi: ufaj i sprawdzaj. Dlatego chcę sprawdzić, co jest napisane w twoim dowodzie tożsamości.

- Żartujesz.

- Bynajmniej.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Katharine wyprostowała się i podniosła wysoko głowę. Gotowa była w ciągu sekundy chwycić za klamkę i uciec, gdyby nagle ruszył.

- W porządku. - Cofnął rękę z drążka zmiany biegów, a Katharine wydała cichutkie westchnienie ulgi. Odpiął pasy i sięgnął do tylnej kieszeni spodni. Podał jej sfatygowany skórzany portfel. - Proszę bardzo, sprawdź sama.

Zazwyczaj prawdopodobnie niechętnie przeglądała cudze portfele. Prawdopodobnie było tu kluczowym słowem, ponieważ, oczywiście, nie pamiętała. Teraz jednak chodziło o jej życie lub śmierć. Otworzyła portfel bez cienia zakłopotania i znalazła prawo jazdy. Uważnie przyjrzała się małemu zdjęciu.

Nie musiała nawet spoglądać na siedzącego obok mężczyznę, by wiedzieć, że to ten sam człowiek. Przeczytała dane: Daniel Webster (Webster?) Howard; urodzony 16 listopada 1967 (przeliczyła szybko w myślach, że ma trzydzieści osiem lat); wzrost metr

dziewięćdziesiąt; adres - 1215 Union Street, Alexandria, Wirginia.

No dobrze, zgadza się. Zerknęła na niego i przeczytała jeszcze nazwiska na kartach kredytowych: Daniel Howard, Daniel W. Howard, Dan Howard. Znalazła nawet kartę ubezpieczeniową z jego nazwiskiem oraz jeszcze jedną, ze związku lekarzy.

- Zadowolona? - spytał ironicznie i schował portfel.

- Tak. Przepraszam.

Miała na tyle przyzwoitości, by się nieco zawstydzić. Wszystko wskazywało na to, że jej wybawca w istocie jest po prostu dobrym sąsiadem, mimo wpadki z anielskooką. Może tylko jej się zdawało, że ktoś już się tak do niej zwracał. Wyobraźnia spletała jej figła. Albo śni, a za chwilę się obudzi, zaskoczona, jak realny wydawał się jej sen. Może... może...

Do diabła z tym wszystkim. Nagle poczuła się zbyt zmęczona, by dłużej się zastanawiać nad czymkolwiek.

- Wobec tego jedziemy do mojej chatki czy nie? - dopytywał się Dan, zapinając z powrotem pasy.

- Jedziemy. - W jej głosie słyhać było wyczerpanie. W tych okolicznościach naprawdę nie pozostawało jej nic innego. Chatka to najlepszy wybór. - I dziękuję za pomoc. Za wszystko.

- Proszę. - Jeżeli powiedział to z przekąsem, to naprawdę z niewielkim. Nie był zachwycony jej podejrzliwością, ale wydawał się rozumieć.

- Naprawdę jesteś miłym facetem.

- Przecież mówiłem.

- Cóż, muszę przywyknąć do tej myśli.

- Może wobec tego powinnaś zmienić towarzystwo. Kolejna słuszna uwaga.

- Może.

Wyjechali z parkingu i włączyli się w strumień samochodów zmierzających na zachód. Jakies pół kilometra dalej skończyły się sklepy, motele i stacje benzynowe. Ruch był mniejszy. Jeszcze parę kilometrów i blazer został jedynym pojazdem na drodze poza zielonym traktorem, który właśnie mijali.

- Kupiłeś wodę? Cokolwiek, czym mogłabym popić proszek przeciwbólowy?

- Nie ma wody. Sok pomarańczowy. Mleko. Napoje gazowane. Jak twoja głowa?

- Będę żyć.

Wyjął z reklamówki na tylnym siedzeniu pomarańczową fantę. Katharine znalazła w torebce tylenol i połknęła dwie tabletki. Gazowana pomarańczowa fanta była słodka i zimna; uświadomiła sobie, że to jej ulubiony napój. Prawie się zachłysnęła. Czy on o tym wiedział? Skąd wiedział? A może to kolejny niezrozumiały zbieg okoliczności?

- Co znowu? - spytał zrezygnowanym tonem. Odwrócił się w jej stronę, ich spojrzenia się spotkały i Katharine dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że wpatruje się w niego od jakiegoś czasu.

- Lubię pomarańczową fantę - oznajmiła. Przeniósł spojrzenie na drogę.

- To świetnie. Ja też. Niewzruszenie wlepiła w niego wzrok.

- Ty lubisz pomarańczową fantę?

- Przecież mówię. - Zaciśnął gniewnie usta. Popatrzył na nią dziwnie. - Czy to ma jakieś szczególne znaczenie, które mi umyka?

Nie była już taka pewna. Ostatecznie prawdopodobnie miliony ludzi gustuje w napojach o smaku pomarańczowym. Podobny zakup nie jest niczym wyjątkowym. Czy jest?

Jeżu, popada w totalną paranoję. Musi się zdecydować, czy mu ufa, czy nie. Nie może ciągle zmieniać zdania.

Instykt podpowiadał, żeby mu zaufać. Mózg... kto wie, co on ma do powiedzenia? Trudno zyskać pewność, skoro jest uszkodzony. Lepiej posłuchać instyktu.

- Nie - powiedziała. Zdała sobie sprawę, że jest zbyt wyczerpana, by nawet rozważać labirynt możliwości, jaki stwarzał brak zaufania wobec Dana. - Tak się tylko zastanawiałam.

Mruknął coś w odpowiedzi i więcej o tym nie rozmawiali.

Dziesięć minut później ból prawie minął. Katharine, z głową opartą o zagłówek i powiekami przymkniętymi ze zmęczenia,

patrzyła przez okno na wysokie zielone łąny kukurydzy, pola sojowe oraz pasące się na łąkach stada owiec i krów. Teraz, kiedy byli sami na drodze, zyskali pocieszającą pewność, iż nie są śledzeni. Przestała się co chwila rozglądać gorączkowo na boki, a Dan coraz rzadziej zerkał w lusterko wsteczne. Przez jakiś czas jechali obok kanału C&O, zauważyła statek rejsowy z przebraną załogą i turystami. Potem kanał skręcił na północ i znikł w lasach, straciła więc z oczu wycieczkę.

- Wiesz, zastanawiam się nad tym, co mówiłaś - odezwał się Dan. Mijali właśnie miejscowość o nazwie Witt, składającą się zaledwie z kilku domostw rozrzuconych wzdłuż drogi. - I doszedłem do wniosku, że doświadczasz skutków szoku pourazowego.

- Co? - Skrzywiła się. - Myślałam, że to mają tylko weterani wojenni.

Dan pokręcił głową.

- Każde traumatyczne wydarzenie może go wywołać. To, co przeżyłaś wczorajszej nocy, z pewnością spełnia kryteria. Do objawów należą zaburzenia pamięci i blokowanie emocji. Jak również, z pewnością, problemy z zaufaniem. Sprawdzę dla pewności, ale sądzę, że masz wszelkie objawy.

Katharine zastanowiła się przez moment. Wszystko, przez co przechodziła: uczucie bycia kim innym, nieidentyfikowanie się z własnym wyglądem i niepoznanie rzeczy osobistych było kwestią percepcji, postrzegania rzeczywistości, uświadomiła sobie. Istniała możliwość - całkiem spora, ponieważ jak inaczej można to wyjaśnić - że problem ma źródło w jej umyśle. Także powracająca nieufność wobec Eda i Dana mogła być wynikiem zaburzeń postrzegania. Żadne fakty nie potwierdzały jej obaw. Wszystko opierała na własnej percepcji i instynkcie. Z wyjątkiem jednego.

- No a podłoga? - spytała. Znow zaczęła ją boleć głowa, kiedy pojawił się w niej obraz płytek różnej wielkości.

- Czułam ją pod palcami. Nie wyobraziłam sobie tego. - Nagle jej pewność się rozviała. Dodała niemal szeptem:

- Prawda?

- Nie wiem. Nie jestem ekspertem w takich sprawach. W tej chwili stres pourazowy to najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie.

Miał słuszość. Mimo nieścistości (na przykład w kwestii płytek) teoria pasowała do faktów. Katharine bardzo chciała wierzyć w proste logiczne przyczyny przerażającego wrażenia, że z lustra patrzy na nią obca osoba. Stres pourazowy była w stanie zaakceptować i sobie z nim poradzić.

- Jak to się leczy?

- Zazwyczaj chyba pomaga terapia. I wsparcie farmakologiczne.

- Super - odparła tonem graniczącym z rozpaczą. Przekonywała samą siebie, że to i tak lepsze niż myśl, która wcześniej przyszła jej do głowy: że nastąpiła pomyłka w zaświatach i ona przypadkiem wylądowała w ciele innej kobiety. Na to nie było kuracji farmakologicznej.

- Czasem nawet sam mija - dodał pogodnie Dan. - Kto wie, może jutro obudzisz się zupełnie zdrowa.

- Obyś miał rację - uśmiechnęła się ze znużeniem Katharine. Wciąż bardzo bolała ją głowa, proszki przeciwbólne nie zadziałały.

Okolica za szybą była coraz bardziej sielska. Mijali farmy, od czasu do czasu przejeżdżał jakiś ciągnik. Szmaragdowozielone łąny trawy ciągnące się jak okiem sięgnąć były gdzieś poprzecinane czarnymi płotami, tu i ówdzie stała jakaś stodoła. W oddali rysowały się zamglone błękitne szczyty Appalachów. Wyglądały jak wbijające się w niebo zęby. Słońce prażyło niemiłosiernie, dając się we znaki zarówno roślinom, zwierzętom jak i ludziom. Katharine, chociaż zamknięta w klimatyzowanym samochodzie, również odczuwała nieprzyjemne skutki upału. Zmagała się z sennością i wewnętrznym rozedrganiem, które nie pozwalało jej zmrużyć oka. Co jakiś czas odwracała się, by wyrzeć przez tylną szybę. W przeciwieństwie do nieufności, odgradzenia się od emocji oraz tajemniczego wrażenia znajdowania się w cudzej skórze, fakt, że różni ludzie nastawiali na jej życie, nie był wyłącznie wytworem zmaconego umysłu.

Jeśli ktokolwiek za nimi podążał, nie mógł być większy od kruka, ponieważ inaczej już by go zauważyła.



Skręcili w żwirową leśną ścieżkę. Las złożony głównie ze starych klonów, dębów i wiązów był tak gęsty, że gałęzie prawie nie przepuszczały promieni słonecznych. Chatka Dana mieściła się na jeszcze większym odludziu, niż Katharine przypuszczała. Wokół nic prócz drzew. Była zbyt zmęczona, by ją to zaniepokoiło, z trudem utrzymywała otwarte powieki. Milczeli od dłuższego czasu. Dan również wydawał się zmęczony i prowadził auto pogrążony w myślach.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił wreszcie.

Katharine stłumiła ziewnięcie, usiadła prosto, przeciągnęła się i rozejrzała wokół. Zobaczyła mały parterowy budynek z pokrytym rdzą blaszanym dachem podpartym czterema drewnianymi balami. Do chaty wchodziło się przez niski ganek. Był to jedyny dom w zasięgu wzroku, nie licząc niewielkiej przybudówki z tyłu, która prawdopodobnie służyła za garaż. Chatka została zbudowana na niewielkiej polance, jej połowa tonęła teraz w cieniu, a drugą zalewało słońce. Nieopodal drzwi rósł górski wawrzyn ciężki od fioletowych pąków. Ogródek, zarośnięty chwastami i słonecznikami, podobnie jak domek, sprawiał wrażenie ogólnego zaniedbania. Na pierwszy rzut oka nasuwał się oczywisty wniosek, iż nieczęsto ktoś tu przyjeżdżał. Katharine miała niepokojące skojarzenia z filmem „Wybawienie”, niemal czekała na dźwięki melodii „Duelling Banjos”.

W co ona się wpackowała?

Żwir zachrząścił pod oponami, kiedy Dan wjechał na podjazd i zaparkował pod domem. Wyłączył silnik i wysiadł. Ona przez chwilę nie ruszała się z miejsca, przyglądając się podejrzliwie chatce i okolicy.

Albo mu ufasz, albo nie.

Otworzył jej drzwi i wyszła z samochodu.

- Gdzie łowisz? - zainteresowała się, wchodząc na ganek zbudowany z szerokich desek wyglądających na starsze niż sama ziemia. Dan stąpał tuż za nią, obciążony jej torbą podróżną oraz reklamówkami z jedzeniem. Powoli docierała do niej świadomość, że w okolicy nie ma innych zabudowań. Nie widziała żadnego

domostwa, odkąd zjechali z głównej drogi. Chatka była kompletnie odizolowana, co oznaczało, że są tu zupełnie sami. Nie, żeby się tym martwiła.

- Jakieś pół kilometra stąd przepływa rzeka Shenandoah. -  
Wskazał głową w lewo.

Popatrzyła w tamtym kierunku, ale jedyne, co ujrzała, to drzewa. Nasłuchiwała przez chwilę, ale domniemany szum wody tonął w powodzi innych odgłosów przyrody. Poza ich własnymi krokami i szelestem toreb słyszała jedynie śpiew ptaków i brzęczenie owadów.

- Trzymam w garażu łódkę na przyczepie. Kiedy wybieram się na ryby, mocuję ją do samochodu i ruszam.

Dan minął ją i otworzył drzwi wykonane, podobnie jak cała reszta domku, z grubych desek. Rozwarły się z głośnym skrzypnięciem.

Katharine niepewnie przestąpiła próg i znalazła się w miłym i funkcjonalnym, choć nieco zakurzonym salonie. Odetchnęła z ulgą. Podłogę pokrywał parkiet przykryty owalnym dywanikiem w odcieniach brązu. Ściany pomalowano na biało. Kanapa obita pomarańczowym sztruksem stała obok brązowego fotela. Oba meble widziały lepsze dni. Między fotel a kanapę wsunięto drewnianą ławę z lampą na środku. Drewniany stolik do kawy naprzeciwko kanapy i stary odbiornik telewizyjny (z anteną na górze) zajmujący miejsce na metalowej podstawie dopełniały wystroju. Nigdzie żadnego zdjęcia, rzeczy osobistych. Ani jednego bibelotu.

- Często tu przyjeżdżasz? - zainteresowała się, patrząc na pajęczynę w kącie.

- Nie tak często, jakbym chciał. - Dan zamknął drzwi i otoczył ich półmrok. Białe zasłony na oknie za kanapą były zasunięte. - Kiedy mam czas.

Minął ją, kierując się do kuchni oddzielonej od salonu przepierzeniem. Z miejsca, w którym stała, mogła zobaczyć górny rząd kuchennych szafek.

- Rozgość się - rzucił przez ramię Dan.

Poszła za nim. Czaszkę rozsadał jej potworny ból, nogi się pod nią uginały, była niemal zbyt wyczerpana, by myśleć, jednak chciała

„zapoznać się z terenem”. Kuchnia była mała, brzydka i ciemna. Zielone laminowane blaty i musztardowożółte szafki, złota lodówka i archaiczna kuchenka, podłoga wyłożona linoleum z wzorem imitującym drewno. Dan postawił torbę, a zakupy położył na niewielkim drewnianym prostokątnym stole, który razem z dwoma krzesłami zajmował prawie całą przestrzeń na środku pomieszczenia. Rozsunął cienkie białe zasłony w oknie nad zlewem. Najwyraźniej kuchnia nie była po słonecznej stronie domku, bo nie wypełniła się blaskiem, tylko zrobiło się w niej wystarczająco jasno, by Katharine widziała unoszące się w powietrzu drobinki kurzu.

- Wiesz, może przyjazd tutaj nie był najlepszym pomysłem - odezwała się zmieszana.

Niezależnie od tego, czy powinna ufać Danowi, nagle dotarło do niej, jak bardzo byliby tu bezbronni, gdyby ktoś za nimi przyjechał. Dom nie sprawiał wrażenia solidnego. Łatwo dałoby się wyważyć drzwi. Gdyby zostali napadnięci, w pobliżu nie znajdzie się żywa dusza, by im pomóc. Nikt nie usłyszy ich krzyków.

Dan wstawiał do lodówki mleko i puszki. Zauważyła, że wcześniej w środku znajdowały się jedynie ogórki i butelka keczapu.

Zerknął na nią i pokręcił głową z dezaprobatą.

- Znów ten twój brak zaufania. Jesteś bezpieczna, przysięgam.

- To nie ma nic wspólnego z zaufaniem. Co będzie, jak nas tu znajdą?

- Nie znajdą. - Wypakował cały prowiant i zamknął lodówkę. - Nikt za nami nie jechał, sprawdzałem. Dlatego wybrałem najbardziej określoną i pustą drogę, zauważyłbym, gdyby ktoś nas śledził. Poza tym mam tu system przeciw-włamaniowy, zazwyczaj wyłączony, bo uruchamia się podczas burzy, i mam straszny kłopot, żeby go wyłączyć. Jest połączony z biurem szeryfa. Znajduje się bliżej, niż ci się wydaje, zazwyczaj policja zjawia się już kilka minut po tym, jak zadziała alarm. No i mam broń.

Otworzyła szeroko oczy. Serce zaczęło jej szybciej bić ze strachu, kiedy w jej głowie pojawił się obraz błyszczącego pistoletu, z którym miała okazję zapoznać się bliżej, niż by chciała w ciągu ostatnich

dwudziestu czterech godzin.

- Masz broń? -No.

Otworzył szufladę obok kuchenki i wyciągnął mały rozklekotany czarny rewolwer. Na pewno nie była to własność żadnej agencji rządowej. Dan spoglądał na broń z dumą, z jaką żaden szanujący się tajny agent nie popatrzyłby na coś takiego. Nie wiedzieć czemu Katharine poczuła się lepiej. Jej podejrzania co do prawdziwej tożsamości Dana powoli się rozwiewały.

- Dobrze wiedzieć. - Powstrzymała się od komentarza, jak niewiele pożytku przyjdzie im z tego złomu, jeśli zostaną rzeczywiście zmuszeni do stawienia czoła ludziom, którzy dwa razy włamali się do jej domu. W istocie, będą zgubieni. Mogła się tylko modlić, by tamci ich nie odszukali, ponieważ słaniała się na nogach i miała poważne trudności z myśleniem.

- Głodna? - Położył rewolwer na blacie kuchennym z bez troską, która bardzo by ją zaniepokoiła, gdyby nie miała większych zmartwień. - Będę robił kanapki.

Katharine potrząsnęła głową.

- Tylko zmęczona.

Wręcz wyczerpana i w przedziwny sposób zadowolona z tego stanu, ponieważ nie miała siły się bać.

- Wyglądasz na zmęczoną. Może powinnaś się zdrzemnąć.

- Chyba masz rację - zgodziła się.

- Łazienka jest na końcu korytarza po prawej stronie. Za nią sypialnia. Tylko jedna, ale jest twoja. Chodź, pokażę ci.

Zabrał torbę i oprowadził ją po domku. Nie było to naprawdę konieczne, ponieważ oprócz kuchni oraz salonu znajdowały się w nim jeszcze tylko łazienka, sypialnia i składzik. Dan wskazał jej szafkę z ręcznikami, papierem toaletowym i kilkoma kostkami mydła, po czym skierował się z powrotem do kuchni.

- Krzyknij, gdybyś czegoś potrzebowała - rzucił przez ramię.

Katharine skinęła głową, po czym weszła do sypialni, zamknęła za sobą drzwi i rozejrzała się. Prawie całe pomieszczenie zajmowało podwójne łóżko, składające się z materaca i drewnianej ramy. Było

przesunięte do ściany, prawdopodobnie po to, żeby zwolnić nieco miejsca przy drzwiach. Obok łóżka stała tania sosnowa szafka nocna, a na niej niebieska lampka. Podniszczona dębowa komoda przy ścianie obok szafy dopełniała umeblowania. Podobnie jak salon, sypialnia była pomalowana na biało. Długie wąskie okno zasłaniały tania białe firanki. Nikt nie zadał sobie zbyt wiele trudu, by urządzić ten pokój. Łóżko wraz z pościelą było przykryte niebieską kapą. Dan powiedział, że zmieniał pościel przed wyjazdem. Była zbyt zmęczona, żeby się przejmować podobnymi drobiazgami. Jednak zanim się położy, musi wziąć prysznic. Ledwie trzymała się na nogach. Nie mogła się pozbyć okropnego podejrzenia, że wciąż może mieć na sobie zaschnięte plamy z krwi po wczorajszych zajściach. Żołądek podszedł jej do gardła na tę myśl.

Zabrała do łazienki wszystkie potrzebne rzeczy. Odgłosy dochodzące z kuchni podpowiedziały jej, gdzie jest Dan, zanim zamknęła za sobą drzwi. Prawdopodobnie jadł kanapki, które wcześniej proponował Katharine. Z ulgą zrzuciła z siebie ubrania Dottie, weszła do wanny, zasunęła plastikową zasłonkę i stanęła pod strumieniem rozkosznie gorącej wody. Umycie włosów tak, by nie zmoczyć opatrunku na nosie, okazało się nie lada wyzwaniem. Zrobiła co mogła, zamknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu przy spłukiwaniu. Para z prysznica oczyściła nieco jej nos, tak że Katharine mogła poczuć zapach mydła Irish Spring, kiedy myła nim każdy centymetr skóry.

Dokonała dwóch straszliwych odkryć. Po pierwsze, miała całkowicie wydepilowane okolice bikini, po drugie, po lewej stronie na biodrze dostrzegła wytatuowane małe czerwone serduszko przebite strzałą.

A niech to!

Każda z tych rzeczy z osobna przyprawiłaby ją o histerię. Obie naraz sprawiły, że ugięły się pod nią kolana i zaszumiało w głowie. Usiadła na brzegu wanny. Gorąca woda spływała jej po nogach. Wizja jej samej tak rażąco seksownej wykraczała poza zdolność pojmowania Katharine. Z tego co wiedziała, nigdy w życiu nie



zrobiłaby sobie czegoś podobnego. A to serduszko! Była przekonana, że nigdy dobrowolnie nie zdecydowałaby się na tatuaż. Panicznie bała się igieł.

Hiperwentylacja niczego nie rozwiąże, skarciła się w myślach, przyłapawszy się na niekontrolowanym dyszeniu. Rzeczywistość przedstawiała się następująco: jest chudą blondynką z wywoskowanym kroczem i tatuażem w kształcie serca. Sytuacja dla niej nowa, niemniej jak najbardziej realna. Czy da się to wytłumaczyć stresem pourazowym?

Nie sądzę, uznała.

Poddawanie się panice, jak się przekonała, nic nie zmieni. Póki nie zdoła pojąć tych nowych okoliczności, lepiej o nich nie myśleć. Ani o niczym innym. Po prostu musi robić swoje.

Wstała z wysiłkiem, spłukała resztki mydła, wyszła z wanny, wytarła się do sucha i wysuszyła włosy suszarką, którą znalazła w szafce. Włożyła seksowny komplet: śliczne, kobiece koronkowe figi i uroczą białą koszulkę z różowym sercem na piersiach. Były w odpowiednim rozmiarze, ale nie w jej stylu. Owinęła się szlafrokiem i pokuśtykała do sypialni, gdzie natychmiast padła na łóżko i zagrzebała się w pościeli. Zamknęła oczy, starając się o niczym nie myśleć. Kiedy to nie poskutkowało, spróbowała liczyć. Nim dojrnęła do dwudziestu siedmiu spała jak dziecko. Po jakimś czasie zaczęła śnić. Ponure, straszne sny, w których uciekała przed śmiercią...

Nagle znalazła się w jakimś obskurnym pomieszczeniu, chyba biurze. Szczegóły pozostawały niewyraźne, wiedziała jednak, że jest noc. Pokój, na który patrzyła, był ciemny, z wyjątkiem niewielkiej smugi światła wpadającej przez uchylone drzwi po lewej stronie. Wiedziała o tym, choć nie mogła ich widzieć. Jej wzrok się wyostrizył i zdała sobie sprawę, że obserwuje scenę, w której sama uczestniczy. Znajdowała się w drugim pokoju, siedziała przywiązana do drewnianego krzesła, zakneblowana, twarzą do drzwi.

Była nieprzytomna z przerażenia. Serce jej waliło jak młot. Pociła się i trzęsła. Wiedziała, że za chwilę wydarzy się coś strasznego.

Rozejrzała się w poszukiwaniu źródła zagrożenia. Zobaczyła



metalowe szafki na akta oraz metalowe biurko wraz z krzesłem przy ścianie. Za biurkiem znajdowała się szafa. Otwarta, z lustrem w środku. Katharine zobaczyła własne odbicie.

Miała burzę kasztanowych loków opadających na ramiona, bladą skórę i była okrągła. Wyglądała jak duch w tym świetle.

Poczuła grozę.

W sąsiednim pokoju był teraz jakiś mężczyzna. Nie, dwóch mężczyzn, widziała tylko ich ciemne sylwetki przez otwarte drzwi. Jeden zmusił drugiego, żeby uklęknął. Ten, który stał, trzymał broń. Przyciskał ją do karku ofiary. Krzyczał coś, nie zrozumiała słów. Klęczący człowiek zaczął płakać.

Zdała sobie sprawę, że krzyczy, ale nikt jej nie słyszał. Krzyczała w środku, ponieważ kochała tego mężczyznę, który, jak wiedziała, za chwilę miał zginąć. Zaczęła szarpać więzy, zwracając na siebie uwagę mężczyzny z bronią. Uśmiechnął się do niej, widziała to dokładnie. Wiedziała, że jest zły, że za sekundę naciśnie spust i zamorduje osobę, którą kochała, a ona nic nie może zrobić.

Nagle głowa prześladowcy zamieniła się w różową masę, a to, co z niej zostało, opadło na podłogę. W tej samej chwili przewrócił się również klęczący mężczyzna. On też upadł twarzą na podłogę, bezwładnie, w kałużę krwi.

Wydawała ciche okrzyki grozy. W drzwiach łączących pokoje pojawił się kolejny człowiek. Stał twarzą do niej, z rękoma zaciśniętymi na błyszczącym pistolecie. Był wysoki, dobrze zbudowany i celował prosto w nią...

Smuga światła padła na jego twarz.

Katharine gwałtownie się przebudziła, otworzyła oczy i spojrzała prosto w twarz człowieka, który we śnie celował do niej z pistoletu. Wrzasnęła rozdzierająco.

## **Rozdział 14**

Co ci jest? Co się stało? - wypytywał.

Jego ciepłe silne ręce obejmowały ją za ramiona, Katharine czuła ich dotyk.

Jej przerażone oczy napotkały surowe spojrzenie jego błękitnych tęczówek. Usiadła gwałtownie, zrzucając pościel, i wydała z siebie jeszcze jeden mrożący krew w żyłach wrzask.

- Jezu Chryste - skrzywił się, zaciskając mocniej palce na jej ramionach.

- Zabierz ręce. Puść mnie.

- W porządku.

- Nie. - Zaczęła się wrywać w panice. Bez skutku. Znalazła się w pułapce. Uwięził ją, była bezsilna, bezbronna i całkowicie zdana na jego łaskę, a wiedziała już aż nazbyt dobrze, iż ten człowiek nie zna litości.

- Do cholery. - Potrząsnął nią lekko. Znalazł się stanowczo za blisko, pochylał się nad nią tak, że widziała jego twarz zaledwie parę centymetrów od swojej. Nic nie mogła na to poradzić. Miał nad nią władzę.

Tym razem krzyknęła z rozpacz. Ciszej i bardziej żałośnie. Nie wyrwie się, chyba że on jej pozwoli.

- Przecież to cię nie boli. - Zapewne uznał, że krzyczała z bólu, ponieważ rozluźnił chwyt.

- Puść mnie.

Udało jej się wreszcie wyswobodzić. Przeczłoła się do tyłu na łóżku i ukucnęła patrząc na Dana, oparta plecami o zimną ścianę.

- Trzymaj się ode mnie z daleka - ostrzegła go. Zaklął pod nosem i wyprostował się. Czuła na sobie jego spojrzenie, choć nie widziała dokładnie ukrytej w mroku twarzy, jedynie sylwetkę na tle szarego światła wpadającego przez szary prostokąt otwartych drzwi, Wyglądał imponująco, kiedy tak stał, wysoki i silny, blokując drzwi i zasłaniając światło. Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi ze

strachu oczami.

- Miałaś koszmary.

Starał się nadać głosowi uspokajające brzmienie, uświadomiła sobie. Nie poczuła się ani trochę spokojniejsza. Wręcz przeciwnie, żołądek ścisnął jej się ze strachu i wściekłości, ten ton przywołał jakieś mgliste skojarzenia, jakieś utracone wspomnienie.

- Kim jesteś? - Wyrwało jej się z głębi serca. Znała odpowiedź, wiedziała o nim wszystko, ale... ale...

Po chwili cała ta wiedza po prostu zniknęła niczym smuga dymu rozwiana przez wiatr.

- Katharine, to przecież ja, Dan.

Oślepiło ją jaskrawe światło. Mrugnęła i zwróciła głowę w kierunku jego źródła. Dan zapalił lampkę przy łóżku. Dan. Przypomniała sobie jego imię. Przyjrzała mu się, gdy tylko jej oczy przywykły do światła. Stał teraz tuż obok. Włosy miał rozczochrane, oczy zaspane, zmarszczki w kącikach powiek i ust głębsze niż zapamiętała, ciemniejszy zarost. Ubrany był jedynie w luźne czarne spodnie, bez paska, które teraz opadały, ukazując górę bokserów w niebieskie prążki. Przyszedł boso i bez koszuli. Wyglądało na to, że spał, podobnie jak ona.

- Już dobrze. Nic ci nie grozi.

Znów ten ton. Boże, znała go dobrze, jednak nie potrafiła sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach wcześniej go słyszała. Wciągnęła ze świstem powietrze i przesunęła wokół badawczym spojrzeniem, próbując zorientować się w sytuacji i zebrać myśli. Była noc. Przez niedokładnie zasunięte zasłony widziała pasek granatowego nieba. Słyszała odgłos kropel uderzających miarowo o dach. Padało.

Nagle przypomniała sobie, gdzie się znajduje: w sypialni letniego domku Dana, skulona na jego łóżku, wbita w kąt niczym zaszczute zwierzątko. Wpatrywała się w niego ze zgrozą. Serce jej waliło, dyszała ciężko.

- Miałaś zły sen - powtórzył.

Zły sen. Zamrugnęła powiekami, usiłując sobie go przypomnieć i

ponownie zobaczyła tamte przerażające sceny. Widziała go we śnie prawie tak samo dokładnie jak teraz. Tylko że we śnie nie była chudą blondynką. Była sobą, taką, jaką знаła w głębi serca i umysłu. A on mierzył do niej z wielkiego błyszczącego pistoletu.

Miły sąsiad. Rzeczywiście. Nieufność przepelniła całą jej duszę. Nie miała pojęcia, co się dzieje, ale nie mogła się oprzeć przekonaniu, iż musi stąd uciec, uciec przed nim. Dopóki nie odkryje prawdy, może polegać wyłącznie na sobie. Ale Dan, który był od niej większy, silniejszy i bardziej bezwzględny, stał w drzwiach, zagradzając jej drogę. Ucieczka będzie wymagała sprytu.

- Zły sen - powtórzyła, udając, iż powoli zaczyna przyswajać i akceptować jego słowa.

Pokiwał głową.

- Musiał być wręcz okropny.

Patrzył na nią z zimną kalkulacją, z jaką drapieżnik przygląda się ofierze. Katharine starała się sprawiać wrażenie zmartwionej i zdezorientowanej, nic więcej.

- Ja... nie pamiętam. - Poczowała powiew chłodnego klimatyzowanego powietrza na gołych nogach i uświadomiła sobie, że ma na sobie jedynie wycięte majteczki i krótką podkoszulkę. Siedziała skulona, z kolanami pod brodą, więc niewiele pokazywała, lecz i tak za dużo. - Naprawdę krzyczałam? Nie mogę w to uwierzyć. Przepraszam, obudziłam cię.

- Nie szkodzi. - Nie spuszczał z niej oka, - Byłbym zaskoczony, gdybyś nie miała koszmarnych snów.

- Szok pourazowy - powiedziała, kiwając domyślnie głową.

- Otóż to. - Wydawał się zadowolony z jej reakcji. - Przynieść ci szklankę wody lub coś innego?

- Wiesz co, skoro pytasz, zjadłabym kanapkę. Ubiorę się i zaraz przyjdę do kuchni.

- Lubisz majonez? Przytaknęła.

- A zupę pomidorową?

Znów przytaknęła. Rzeczywiście brzmiało nieźle. Nie jadła kolacji. Ani obiadu. Burczało jej w brzuchu.

- Już się robi - oznajmił ochoczo. Posłała mu wdzięczny drżący uśmiech.

Rzucił jej ostatnie badawcze spojrzenie, po czym wyszedł z pokoju. Przez chwilę Katharine przyglądała się jego umięśnionym nagim ramionom i wąskim biodrom. Zmarszczyła czoło. Wcześniej była zbyt zdenerwowana, by zwrócić szczególną uwagę na jego klatkę piersiową, jednak pozostał jej w pamięci obraz silnie zarysowanych mięśni.

W istocie jego szczupła budowa była zwodnicza, miał wręcz atletyczną sylwetkę. Katharine została jeszcze chwilę na łóżku, próbując zebrać myśli i zaplanować kolejne poczynania.

Widziała Dana we śnie. Włączył się zniecka w ten wir strachu i śmierci, po czym wycelował do niej z pistoletu. A ona była dziewczyną o brązowych włosach i pełnych kształtach, taką jaką siebie знаła.

Zbieg okoliczności? Możliwe. Wynik uszkodzenia mózgu lub szoku pourazowego? Możliwe. Jednak coś podpowiadało jej, że nie.

Wygramoliła się z łóżka, przewyciężając protest obolałych mięśni. Zamknęła drzwi (nie miały zamka) i wyjęła z torby stanik i dzinsy. Ubrała się szybko - spodnie były odrobinę za długie i zbyt obcisłe, ale dało się w nich chodzić, kiedy podwinęła nogawki. Bawełniany biustonosz o miseczce B dokładnie przylegał do jej piersi. Zmieniła koszulkę na czarną (trudniej zauważalną w ciemności), spojrzała krzywo na sandałki - nie nadawały się do biegania - i postanowiła z nich zrezygnować. Poza tym chodzenie po domu boso wydawało się jej bardziej naturalne w tych okolicznościach. Przełożyła prawo jazdy, karty kredytowe i gotówkę z torebki do kieszeni dzinsów. Uczesła się, posmarowała suche usta pomadką nawilżającą i schowała ją do kieszeni. To wszystko, co mogła ze sobą zabrać. Resztę będzie musiała zostawić. A plan? Uciec od Dana. Jeszcze nie wiedziała, w jaki sposób. Zaczekać, aż zaśnie? Uciec, kiedy pójdzie pod prysznic? Uderzyć go czymś ciężkim w głowę? W każdym razie - uciec. Im dłużej o tym myślała, tym bardziej jej się spieszyło. Obiecał zawieźć ją jutro rano na lotnisko,

skąd - jak zakładał - złapie samolot. Doszła jednak do wniosku, że nie zamierzał spełnić obietnicy. Albo miał nadzieję, że zdoła odwieźć ją od zamiaru opuszczenia miasta, albo znajdzie jakiś inny sposób, by zablokować jej plany. Być może najpierw spróbuje perswazji, potem użyje siły. Tak czy inaczej, jeżeli miała się wydostać spod jego kurateli, musiała to zrobić dziś. Im szybciej, tym lepiej.

Wzięła głęboki oddech i wyszła z sypialni. Korytarz był mroczny i pełen cieni, z kuchni dochodziło słabe światło. Prócz uderzania deszczu o dach i szyby usłyszała jakieś inne odgłosy, które przyprawiły ją o dreszcz przerażenia, nim uświadomiła sobie, że dochodzą z włączonego telewizora. Zauważyła go, kiedy mijając drzwi do salonu. Lampa z kuchni oświetlała również salon.

Drzwi prowadzące do kuchni były kilka metrów dalej, po lewej stronie. Widziała przez nie część pomieszczenia, w tym kuchenny stół z dwiema kanapkami na papierowych talerzykach i paczką czipsów na środku. Słyszała niezidentyfikowany brzęk, którego sprawcą musiał być Dan znajdujący się poza zasięgiem jej wzroku. Smakowity pomidorowy zapach powiedział jej trzy rzeczy. Po pierwsze - odzyskała zmysł powonienia. Po drugie, Dan robił zupę pomidorową. Po trzecie, umierała z głodu.

Ponownie zajrzała do salonu, niezdecydowana, co robić dalej. Celem była ucieczka. Aby się powiodła, Katharine musiała przekonać swojego poczciwego sąsiada, że nadal mu ufa. Mimo że całkowicie mijało się to z prawdą. Zbyt wiele się nie zgadzało. Kim był i jakie miał zamiary, nie wiedziała. Jednak...

Kluczyki do samochodu leżały obok telefonu komórkowego - prawdopodobnie jego telefonu - na stoliku do kawy. W chwili gdy spoczął na nich jej wzrok, oczy jej się rozszerzyły, tętno nabrało szaleńczej prędkości, wstrzymała oddech. Nie miała wątpliwości, że to kluczyki do blazera, zbyt wiele razy widziała, jak Dan wkładał je do stacyjki. Musiała tylko je zabrać, wyjść, wsiąść do samochodu i odjechać. Prostota tego rozwiązania oszołomiła ją na moment. Bez samochodu nawet nie będzie mógł jej ścigać.

Podskoczyła, słysząc brzęk metalu uderzającego o metal.



Popatrzyła w kierunku dźwięku i zobaczyła Dana. Stał nad kuchenką, mieszając coś blaszaną łyżką w aluminiowym garnku. Kuchenny zegar wskazywał dziesiątą trzydzieści pięć. Dan nie włożył jeszcze koszuli, a jego silna postać jeszcze raz utwierdziła Katharine w przekonaniu, że nie jest tym, za kogo się podaje.

Wcześniej nie wykazała się bystrością umysłu, ale ludzie się zmieniają. Nie widział jej, nie wiedział, że jest obserwowany.

Chwytaj okazję, przykazała sobie z bijącym sercem. Nadeszła jej szansa. Rzuciła jeszcze jedno ukradkowe spojrzenie na Dana i postanowiła z niej skorzystać. Zaczęła się skradać w kierunku stolika, bosa stopy stąpały bezgłośnie po wykładzinie. Rozdygotana ze strachu, że spojrzy przez ramię i ją zobaczy, wstrzymując oddech, podniosła ostrożnie kluczyki, powoli, żeby nie zdradził jej ich brzęk. Ściskając zdobycz mocno w garści, odsunęła się, cały czas zerkając z niepokojem na Dana, który niczego nieświadomy mieszał zupę.

Od drzwi dzieliło ją zaledwie kilka kroków. Dotarła do nich i obejrzała się ostrożnie. Dan dolewał mleka z kartonika do zupy. Katharine wzięła głęboki oddech i przekręciła cichutko klamkę. Otwierała drzwi powoli, centymetr po centymetrze, modląc się, aby nie skrzypnęły. Kiedy szpara była wystarczająco szeroka, wysliznęła się w chłodny mrok.

Serce waliło jej tak mocno, że spodziewała się, iż lada chwila wyskoczy z piersi. Szum deszczu wydawał się tak głośny jak ryk silnika ciężarówki. Czy on to słyszy? Jak mógł nie słyszeć, nie czuć zapachu mokrej ziemi wpadającego przez uchylone drzwi? Obejrzała się nerwowo. Wyrównała oddech i cicho zamknęła za sobą drzwi. Przekonywała się, że nie ma powodów do paniki. Dan nie zacznie jej szukać, póki zupa nie będzie gotowa. Wtedy ją zawoła, następnie zajrzy do sypialni, potem przeszuka domek...

Blazer stał niedaleko. Przebiegła na palcach po drewnianym ganku, po czym rzuciła się w ciemność, która byłaby całkowita, gdyby nie smuga światła przeświecającego przez niedokładnie zaciągnięte zasłony w salonie. Gnała niczym przerażony królik. Jej bosa stopy ślizgały się na mokrej trawie. Prawie natychmiast

przemokła do suchej nitki. Strużki wody spływały jej po twarzy, wpadały do ust i oczu. Musiała mrugać, by cokolwiek zobaczyć. Wyciągnęła dłoń z kluczykami w kierunku samochodu. Nacisnęła guzik, usłyszała ciche piknięcie i szcęk odblokowanych drzwi. Nagle za jej plecami rozpętało się piekło.

Dźwięk był tak głośny, przerażający i zupełnie nieoczekiwany, że Katharine podskoczyła do góry i byłaby krzyknęła, gdyby nie powstrzymała się w ostatniej chwili. Gwałtownie odwróciła głowę. Wpatrywała się szeroko otwartymi oczami w chatkę, która praktycznie trzęsa się w posadach pod wpływem hałasu. Z przerażeniem uświadomiła sobie, iż zapomniała o systemie alarmowym, który teraz wył za jej plecami.

Prawdopodobnie, myślała, otwierając drzwi od strony kierowcy, alarm włącza się dopiero po jakimś czasie. Jeśli w ciągu tych kilkudziesięciu sekund wstuka się kod, nic się nie dzieje. Jeśli nie, rezultat podniesie z grobu umarłego. Nie ma mowy, by Dan nie odkrył jej ucieczki.

Poczuła przyływ adrenaliny, usiadła za kierownicą, co sekundę spoglądając na drzwi chaty, zamknęła głośno samochód - teraz już nie musiała być cicho - i nacisnęła guzik uniemożliwiający otwarcie auta od zewnątrz. Nie mogła trafić kluczykiem do stacyjki.

Może to nie ten?

Spróbowała jeszcze raz. Ręce jej się trzęsły. Tym razem się udało. Podskoczyła z radości i nacisnęła pedał gazu - niezbyt mocno nie chcąc ryzykować zalania silnika - i przekręciła kluczyk. Silnik zawarczał. Reflektory włączyły się automatycznie, rozświetlając mrpki ujawniając jej lokalizację przed światem. Rozjaśniały krople deszczu, drzewa i pół tuzina par małych oczek wpatrzonych w nią od strony lasu...

Okropny ogłuszający alarm ucichł. Niedobrze. Nadchodzi... Wstrzymała oddech. Żołądek ścisnął jej się ze strachu. Włączyła wsteczny bieg i dodała gazu. Opony ślizgały się w błocie.

O mój Boże, ugrzęzła!

Drzwi domku otworzyły się i stanął w nich Dan. Widziała tylko

zarys jego sylwetki na tle oświetlonych drzwi. Słyszała jedynie bicie własnego serca i odgłos buksujących opon. Nie musiała jednak widzieć jego twarzy i słyszeć przekleństw, by wiedzieć, że po nią idzie.

Prawie natychmiast rzucił się w jej kierunku, machając rękami i krzycząc coś, czego nie słyszała. Wreszcie udało jej się wydostać z kałuży błota i samochód ruszył.

SR

## **Rozdział 15**

Nacisnęła gwałtownie pedał gazu i ruszyła, jakby ścigał ją sam szatan.

Cofnęła gwałtownie, omal nie wypadając z drogi, i mocno skręciła kierownicą w lewo, by uniknąć zderzenia z drzewami z drugiej strony. Patrzyła nerwowo przez ramię, ale nigdzie nie widziała Dana. Udało jej się wprowadzić samochód na drogę, ale wciąż rozglądała się w popłochu szukając Dana. Nie było go.

Serce jej łomotało, dyszała jakby przebiegła kilka kilometrów, wypatrywała jakiegoś ruchu w ciemnościach. Poza słabo oświetloną sylwetką domku oddalonego teraz o jakieś pół długości boiska do piłki nożnej, ściany srebrzystych kropeł, błyszczącego mokrego żwiru oraz brązowych pni i zielonych koron drzew, które rozjaśniały reflektory, całe otoczenie tonęło w czerni. Ze strachem pomyślała, że Dan może być wszędzie. Za chwilę zacznie się dobijać do okien blazera. Albo - zabrakło jej tchu z trwogi - może do niej celować z pistoletu, jak we śnie. Albo...

Nie miała zamiaru czekać, aby się przekonać, co robi Dan.

Wyłączyła światła w gorącej, choć prawdopodobnie bezpodstawnej nadziei, że dzięki temu samochód stanie się mniej widoczny. Przycisnęła pedał gazu do oporu, usiłując przedostać się przez błoto. Katharine trzymała kurczowo kierownicę i pochyliła się, jakby próbowała wymóc na blazerze, by posuwał się naprzód. Zagryzła wargi i oddychała głęboko, powtarzając sobie, że nie ma powodów do paniki, wszystko to razem sprawiło, że zbyt późno puściła pedał gazu i tył samochodu uderzył w drzewo. Ostry dźwięk tłuczonego szkła i zgniatanego metalu zaskoczył ją. Gwałtownie poleciała w bok, na drzwi. Nic jej się nie stało i nadal kurczowo ścisnęła w dłoniach kierownicę. Spojrzała do tyłu, aby ocenić straty. Przekonała się, że samochód wciąż nadaje się do jazdy po uderzeniu w wielki dąb.

Jedź, jedź, jedź.

Rozdygotana niczym nastolatka z fałszywym dowodem w barze pełnym policjantów usiłowała patrzeć przez wszystkie szyby jednocześnie. Gdzie on jest? Instykt wrzeszczał, żeby dodała gazu, lecz to tylko pogorszyłoby sytuację. Klnąc pod nosem, bardzo powoli zdejmowała nogę ze sprzęgła.

Proszę, błagam...

Blazer ruszył naprzód, przez moment trzymał się twardo drogi, po czym ponownie zatoczył się na drzewo ze szczękiem gniecionej karoserii. O, nie. Katharine wstrzymała oddech i wyszeptała kilka błagalnych słów, po czym delikatnie nacisnęła jeszcze raz pedał gazu. Usłyszała okropny dźwięk ślizgających się kół, gdy samochód ugrzązał w błocie.

Żołądek jej się ścisnął, kiedy dotarła do niej okrutna prawda: nigdzie nie pojedzie. Samochód utknął. Mogłaby spróbować go popchnąć, ale na to nie ma siły. Poza tym Dan mógł ją w każdej chwili dogonić. Nie miała wyboru, jeśli nie chciała dać się złapać zamknięta w aucie niczym mysz w pułapce. Musiała uciekać.

Ale dokąd?

Wyłączyła silnik i uznała, że zastanowi się nad tym później. Wyjęła kluczyki ze stacyjki i wyszła z blazera. Mokry żwir pod stopami był ciepły i lepiący. Przestawało padać, tak to bywa z przelotnymi letnimi deszczami, pomyślała gorzko, że teraz to na nic już jej się nie zda. Kilka dużych kropel spadło na jej twarz; srebrny księżyc w nowiu wyjrzał zza szarych chmur, niespodziewanie oświetlając wszystko wokół - łącznie z Katharine i samochodem. Oczywiście. Zamknęła cicho drzwiczki - na wypadek gdyby Dan był głuchy, ślepy i na tyle głupi, by nie wiedzieć, gdzie jest jego samochód. Nacisnęła guzik alarmu przy kluczykach, aby zamknąć auto. Jej inteligencja została nagrodzona sygnałem dźwiękowym i błyskiem wszystkich świateł.

Niech to diabli.

Rzuciła się biegiem w stronę lasu. Jeśli pominąć piknięcie i błysk reflektorów, zamknięcie samochodu to dobry pomysł, przekonywała sama siebie. Na pewno straci trochę czasu, próbując otworzyć drzwi,

by sprawdzić, czy nie ukryła się w środku. W każdym razie, kiedy oddali się od blazera, odszukanie jej stanie się niemożliwe w tym mrocznym gąszczu pełnym potencjalnych kryjówek.

Wiedząc o tym, z determinacją przemierzała mokrą ściółkę, nie zwracając uwagi na miękkie kolana i zawroty głowy uniemożliwiające myślenie. Tutaj, pod drzewami, spadło na nią ledwie kilka kropel. A i one, jak sądziła, kapały z drzew. Podnosiła się mgła, delikatna niczym szyfonowy welon, przeświecały przez nią promienie księżyca, które zdołały pokonać barierę listowia. Powietrze było gęste i wilgotne, przesycone zapachem mokrej roślinności, który docierał do Katharine, chociaż miała zatkaany nos. W tle słychać było chór żab i brzęczenie owadów. Z koron drzew patrzyły na nią małe paciorkowate oczka błyszczące w świetle księżyca. Odruchowo skuliła ramiona, na wypadek nagłego ataku z powietrza. Wszystko w porządku, póki stworzenia leśne zostaną na górze.

- Katharine? - Głos Dana przeciął noc niczym nóż, ostry ton tylko trochę złagodziła odległość. Dochodził od strony blazera. Wyobraziła sobie, jak Dan szarpał klamkę, próbując zajrzeć do wnętrza samochodu.

- Gdzie jesteś, u licha? - wykrzyczał w ciemność.

Serce podskoczyło jej do gardła. Odwróciła się mimowolnie i omal nie walnęła głową w nisko zwisającą gałąź. Dan stał koło samochodu z ręką na masce i patrzył w jej kierunku (była tego pewna, choć nie widziała w ciemnościach nic poza jego sylwetką rozjaśnioną księżycową poświatą). Uchyliła się przed konarem, straciła równowagę i uderzyła kolanem w kamień. Krzyknęła z bólu. Niezbyt głośno, prawie całkowicie zagłuszały ją odgłosy lasu oraz szum deszczu i wiatru w koronach drzew, jednak na tyle ostro i piskliwie, że sama się skrzywiła. Podniosła się z trudem, by kontynuować wędrówkę.

Proszę, Boże, oby nie słyszał.

Obejrzała się za siebie i nie zobaczyła go już. Wiedziała, że patrzy w dobre miejsce, ponieważ wyraźnie dostrzegła kształt samochodu,



jednak Dan nie stał teraz obok niego. Była tam tylko ciemność i jaśniejszy pasek oświetlonej promieniami księżycy drogi.

Odkrycie wprawiło ją w popłoch. Znajdował się zbyt blisko. Strach dodał jej sił. Przedzierała się przez gąszcz drzew, dysząc i sapiąc, nie zważając na ból. Biegła teraz z górki, liście były mokre i śliskie. Wokół panował mrok niczym w jaskini, jeśli nie liczyć pojedynczych promieni księżycy przeświecających tu i ówdzie przez gęste listowie. Kluczyła między gęsto rosnącymi drzewami. Ich grube pnie były odrobinę ciemniejsze na tle wszechobecnego mroku, dzięki czemu była w stanie je omijać.

Dwa wydarzenia nastąpiły jednocześnie: wybiegła na zalaną światłem księżycy polankę i jakaś ręka chwyciła ją za ramię.

Serce podskoczyło jej do gardła. Puls oszalał. Wrzasnęła. Nic nie mogła na to poradzić. Przeżyła szok, nie słyszała, jak nadchodził, nie słyszała nic poza własnym ciężkim oddechem, pospiesznymi krokami na mokrych liściach i oczywiście odgłosami lasu. Ale pojawił się znów jakby znikąd, wychynął z ciemności i złapał ją za ramię.

Z piskiem odwróciła się twarzą do niego i pośliznęła się na mokrej trawie.

- Co, u licha...? - zaczął. Złapał ją za drugie ramię, by nie upadła, lecz przewrócił się razem z nią, kiedy instynktownie chwyciła go, szukając oparcia. - Cholera.

Wylądowali razem na miękkich liściach, na boku, twarzą do siebie. Katharine była szybsza. Podczas gdy Dan leżał, głośno kląc na czym świat stoi, ona na tyle zachowała przytomność umysłu, by się odczołgać i spróbować wstać.

Liście pod jej bosymi stopami były śliskie jak lód, co bardzo utrudniało zadanie.

- O, nie, nic z tego. - Rzucił się do przodu, chwycił palcami za pasek jej dzinsów i pociągnął ją w tył. Upadła na brzuch i natychmiast instynktownie przeturlała się jak najdalej od niego. Przybliżył się i przycisnął ją do ziemi całym swoim ciężarem, z delikatnością tony mokrego cementu. Wypuściła gwałtownie powietrze. - Nigdzie nie

pójdiesz.

Nie mogła się ruszyć. Był zbyt wielki i ciężki. Jej szanse na ucieczkę zmalały do zera. Jednak wciąż walczyła z całych sił.

- Złaż ze mnie - zawołała, odpychając jego ręce. Czuła pod palcami jego ciepłą wilgotną gładką skórę. Jego szerokie ramiona całkowicie zasłaniały jej widok nocnego nieba; mięśnie wydawały się twarde jak kamienie. Miotła się niczym ryba złapana na haczyk. Uderzała w niego pięściami i celowała kolanem między jego nogi.

- Przestań, do cholery. - Odsunął jej pięści i spróbował schwycić ją za nadgarstki. Nie udało mu się, za to skutecznie unieruchomił jej nogi swoimi.

- Zejdź ze mnie, do diabła. - Sapnęła z nienawiścią. - Nie.

Ta brutalnie krótka odpowiedź wprawiła ją w złość. Zaczęła kopać i wymierzać ciosy na oślep, dysząc ciężko z wściekłości i wysiłku, podczas gdy Dan przeklinał, uchylał się przed ciosami i robił, co mógł, by ją przytrzymać. Złapał Katharine za nadgarstki i przycisnął jej ręce do ziemi.

- Nie - wołała z pełną świadomością, że to strata czasu. Mogła walczyć do końca świata i o jeden dzień dłużej, a i tak nigdzie już nie ucieknie.

Znieruchomiła wyczerpana. Oddychała ciężko, podobnie jak on. Ciepło jego ciała przenikało jej mokre ubrania; jego ciężar wgniatał ją w mokre liście. Dan uniósł głowę. Ich twarze dzieliły od siebie centymetry, światło księżyca oświetlało rysy. Spojrzenia obojga się spotkały. Jego oczy były ciemne, zmrużone, nieodgadnione. Zaciśnięte szczęki świadczyły o nie najlepszym nastroju.

Bardzo dobrze, pomyślała. Ona również nie promieniała radością. Przymusowe leżenie na mokrym leśnym poszyciu pod dziesięcioma tonami przerośniętych mięśni irytowało ją bardziej niż trochę.

- Tchórz - syknęła, trzęsąc się ze złości, i jeszcze raz spróbowała oswobodzić ręce, choć nie spodziewała się, że osiągnie cel. Jego długie palce bez trudu obejmowały jej ręce i były wystarczająco silne, by połamać nadgarstki jak gałązki. Jego ciało przygniatało ją jak wywrócone drzewo. Była rozwścieczona własną bezsilnością.

Zdawała sobie sprawę, że znalazła się na jego łasce. Bała się, co teraz, co on z nią zrobi, jak się to wszystko skończy. Jednak nie czuła, że znalazła się w prawdziwym niebezpieczeństwie. - Puść mnie.

- Co się z tobą dzieje? - Jego głos przepełniała furia, oczy rzucały gniewne błyski. - Dlaczego uciekaś?

- Czyżbym była więźniem? Chciałam odejść, więc odeszłam.

- Ukradłaś mój samochód. Rozbiłaś go! - Chyba naprawdę się tym przejął. - Czemu przede mną uciekaś?

- Och, sama nie wiem - wycedziła przez zaciśnięte zęby. - Może dlatego, że nie lubię być oszukiwana.

- Co takiego?

Patrzył na nią z niedowierzaniem. Zaczynało ją to męczyć. Może i jest niebezpieczny, pomyślała, ale mnie nic nie grozi z jego strony. Do tej pory jej nie skrzywdził i była pewna, że tego nie zrobi. Zdecydowała się wyjawic swoje podejrzenia, by sprawdzić, jak zareaguje.

- Nie jesteś lekarzem. Ty to wiesz, ja to wiem, więc równie dobrze możesz się przyznać.

Nie takiej odpowiedzi się spodziewała. Żadnego poczucia winy, gniewu, zaskoczenia. Nie zirytował się, nie odwrócił wzroku. Po prostu przez chwilę się jej przyglądał, po czym przewrócił oczami.

- Jezu, a ty znowu swoje? Znasz mnie, zapomniałaś? Jesteś moją sąsiadką przez ścianę. Pokazałem ci nawet swoje wszystkie dokumenty!

Popatrzyła na niego spod zmrużonych powiek.

- Tak, i wiesz, co teraz myślę, po zastanowieniu? Sądzę, że są sfałszowane. Wszystko, co mi o sobie opowiedziałeś, to kłamstwo.

Zmarszczył brwi.

- Katharine...

- Nie jestem Katharine - wycedziła i dodała powoli, nie spuszczając go z oka: - I myślę, że ty o tym wiesz. Wiesz, prawda? Prawda?

- Co? - W jego głosie zabrzmiało autentyczne zaskoczenie. Patrzył na nią jak na wariatkę. Gdyby miała swobodne ręce, przyłożyłaby

mu. Ponieważ nie była wariatką. Naprawdę.

Miała prawie całkowitą pewność, że nie.

Jego reakcja nie potwierdzała jej podejrzeń. Może był świetnym aktorem. Albo rzeczywiście nic nie wiedział.

Lub kompletnie się myliła i wkrótce przyjadą po nią ludzie w białych fartuchach. Ta ewentualność podobała jej się najmniej.

- Czemu mi nie wyjaśnisz, co się naprawdę dzieje? - Usiłowała zapanować nad nadciągającą histerią. - Dla kogo pracujesz? Jesteś z CIA? - Serce jej zamarło, gdy to pomyślała. - Pracujesz dla Eda? - Gwałtownie wciągnęła powietrze.

Było to podejrzenie budzące grozę. Dan pospiesznie pokręcił przecząco głową.

- Nie. Do diabła, nie! Nie pracuję dla twojego chłopaka ani dla CIA - odparł ponuro. - Chcę wiedzieć, dlaczego uciekłaś.

- Może po prostu miałam cię dość.

- To ma coś wspólnego z twoim snem, prawda? Do tamtej pory wszystko było w porządku.

Odwróciła wzrok i zaczęła się wyrywać. Na wspomnienie snu jej żołądek zamienił się w twardy kamień.

- Pozwól mi wstać.

- Najpierw odpowiedz.

Zaprzesła bezsensownej walki i spojrzała mu w oczy.

- Opowiedzieć ci swój sen? - spytała potulnie.

- Tak.

Zawahała się. Na samo wspomnienie tamtego koszmaru zaczynała szcekać zębami. Emocje były w nim tak realne i intensywne, wydarzenia tak potworne... Poczucie straty, gniew, fala przerażenia...

Zwilżyła usta i rozejrzała się wokół, by utwierdzić się w pogrzipającym przekonaniu, że ta parna wilgotna noc i seksowny podejrzany osobnik przygniatający ją do ziemi stanowią rzeczywistość, podczas gdy tamte zamazane obrazy to jedynie zły sen.

Leżeli na skraju polany ze wszystkich stron otoczeni przez czerń nocy. Błady rogalik księżycy bawił się w chowanego z

przesuwającymi się burzowymi chmurami; co jakiś czas rzucał srebrzysty promień, by po chwili zniknąć, pogrążając świat w egipskich ciemnościach. Wyciągające się niczym kościste palce gałęzie dawały osłonę przed wciąż padającym deszczem. Ziemia była miękka i gąbczasta, pokrywała ją warstwa mokrych śliskich liści, na których leżała Katharine.

Była przemoczona do suchej nitki i zmarzłaby, gdyby nie ciepłe ciało Dana. Popatrzyli na siebie.

- Możesz mi zaufać - odezwał się szeptem.
- Powiedział pająk do muchy.
- Opowiedz mi wreszcie ten sen.

Może będzie potrafił go wyjaśnić. Poczwała nagłą nieodpartą potrzebę podzielenia się z nim swoim niepokojem. Wzięła głęboki oddech.

- Była noc. Siedziałam w jakimś biurze przywiązana do krzesła. To był staroświecki gabinet z metalową szafką na akta i drewnianymi biurkami. Wyglądałam tak, jak powinnam. Tak, jak myślę, że wyglądałam, dopóki coś mi nie przypomni, że jest inaczej. Miałam kręcone kasztanowe włosy, jasną cerę i byłam okrąglejsza. Biuro składało się z dwóch pomieszczeń, widziałam część drugiego. Naprzeciwko drzwi stało dwóch mężczyzn. Jeden zmusił drugiego, by ukląkł, przykładając mu pistolet do karku. Wiem, że zamierzał go zabić.

Im dłużej opowiadała, tym wyraźniej widziała sceny, o których mówiła. Jakby na powrót znalazła się w tym śnie. Przerwała na chwilę. Oddychała z wysiłkiem.

- Mów dalej. - Jego głos brzmiał ponuro. Zerknęła na Dana. W porządku, zdecydowanie był rzeczywisty. Księżycowa poświata nadawała jego włosom srebrzysty odcień. Czuła ciepło bijące z jego ciała, jego ciężar na sobie, słyszała urywany oddech i widziała na wpół nikiemnącą w cieniu twarz oraz blask oczu. Uciekała przed nim i została złapana. Przycisnął ją do ziemi i nie puszczał, a ona była dziwnie bezpieczna.

- Potem coś się stało - chyba ktoś, kogo nie widziałam, strzelił w

głowę temu facetowi. Jego głowa po prostu wybuchła. - Wzdrygnęła się na samo wspomnienie. – Obaj - nie wiem, kim byli, ale wiem, że na tym drugim mi zależało - padli na ziemię w kałuży krwi.

Zamknęła oczy, mocno, próbując odegnać wspomnienie - nie, sen. Tylko że ten sen był zbyt realny, by nie pojawiła się okropna dręcząca obawa, czy to wszystko nie wydarzyło się naprawdę. Czuła na sobie wzrok Dana, ale nie otworzyła oczu. Obrazy były zbyt bliskie i wyraźne, musiała się bardzo starać, by je odegnać. Zrobiło jej się niedobrze.

- Straszny sen - skomentował obojętnie Dan. - Rozumiem, dlaczego obudziłaś się z krzykiem.

Otworzyła oczy i popatrzyła na niego przeciągle, badawczo, niemal oskarżycielsko.

- To nie wszystko.

- Słucham.

- Ty też tam byłeś - powiedziała ostrożnie. Nagle zrobiło jej się zimno, zadrżała. Może popełniasz błąd, szepnął cichutko jakiś głos w jej głowie. Czujesz się bezpieczna, ale czy to znaczy, że naprawdę nic ci nie grozi?

- Ja? - mruknął leniwie jak kot.

Wydawało jej się przez sekundę, że w jego twarzy zabłysło napięcie. A może to jedynie złudzenie wywołane grą cieni? Wiedziała jedynie, że ufa przeczuciom - mogła się tylko modlić, żeby jej nie zawiodły. Nie chciała mieć napisane na nagrobku: „Zginęła z powodu głupoty”.

Odetchnęła głośno i spojrzała mu w oczy.

- Po tym, jak ktoś odstrzelił głowę tamtemu mężczyźnie, pojawiłeś się w drzwiach, celując do mnie z błyszczącego pistoletu.

Proszę. Wszystko zostało powiedziane. Wstrzymała oddech, oczekując reakcji Dana.

Przez chwilę milczał. Patrzył na nią z wyrazem... No właśnie. Zamyślenia? Smutku? Złości? Nie wiedziała. Było zbyt ciemno, by odczytać emocje malujące się na jego twarzy. Czuła, jak jego klatka piersiowa unosiła się i opadała; wydawało jej się, że oddychał trochę



szybciej niż na początku opowiadania. Poruszył ramionami, jakby chciał się rozluźnić. Wciąż czuła na sobie jego ciało, którego ciężar wgniatał ją w mokry miękki grunt, odkryła jednak ze zdumieniem, iż Dan wcale jej już nie trzyma.

Powróciło wrażenie bliskości; wrażenie, że ona go zna, kimkolwiek był. Oczywiście to oznaczało, że on również ją zna. Zdrętwiała i popatrzyła na niego, marszcząc czoło.

- Kim jesteś? - szepnęła ze wzrokiem wlepionym w jego twarz. Oddychała ciężko i wciąż odrobinę drżała. Starła się nie stracić resztek opanowania. Chciała poznać odpowiedzi, a jednocześnie bardzo się ich bała.

Uśmiechnął się szelmowsko.

- Wygląda na to, że facetem z twoich snów, anielskooka. Anielskooka.

Próbowała ogarnąć umysłem znaczenie jego słów, które zadźwięczały jej w uszach, poruszając jakieś pogrzebane głęboko wspomnienie. Było tuż, tuż, Katharine otworzyła szeroko oczy i wyteżyła umysł, by je pochwycić. A wtedy Dan pochylił głowę i musnął wargami jej usta.

## Rozdział 16

Napięcie zawarte w tym delikatnym, niemal czułym pocałunku prawie wznieciło iskry. Katharine zamarła na sekundę, rozkoszując się nim, pozwalając, by wypalił ślad na jej skórze. Dan znowu ją pocałował, leciutko, ledwie dotykając warg. Zadrżała z podniecenia. Nie powinna tego pragnąć, pragnąć jego, a jednak tak właśnie było.

Przesunął palcami po jej dłoniach i splótł je ze swoimi, wciąż składając na jej ustach delikatne pocałunki. Nie odwróciła twarzy, nie opierała się, nie odrzucała go - nie chciała, choć jakaś część jej umysłu odpowiadająca za racjonalne myślenie wiedziała, że powinna. Zamiast tego zamknęła oczy, płonąc z pragnienia. Jej serce uderzało powoli i miarowo; ciało napięło się w drżącym oczekiwaniu. W tym wszystkim usiłowała jednak zachować trzeźwość umysłu, jakąś kontrolę, przypominając sobie, że znalazła się w wirze straszliwych wydarzeń, których znaczenia nie rozumiała, a Dan jest w to wszystko wplątany z całą pewnością. Prawdopodobnie jej zagraża. Nie ufała mu ani trochę, i...

Zupełnie nie miało to dla niej znaczenia.

Wsunął język między jej wargi i cała stopniała. Tak po prostu.

Dała sobie spokój z myśleniem, jęknęła cicho zacisnęła palce na jego palcach i odwzajemniła pocałunek. Jego wargi były suche i ciepłe, od tak dawna pragnęła poczuć je na swoich, że nie mogła się nasycić.

Zawsze chciała to zrobić.

Nie miała pojęcia, skąd to wie, ale wiedziała. Z całą pewnością. Jedyne stanowcze przekonanie na tle domysłów, z którymi musiał się borykać jej zasnuty mgłą umysł. Oddychała ciężko, zamykając palce na jego dłoniach, jakby spadała i tylko one mogły ją przytrzymać; przycisnęła nabrzmiąte piersi do jego torsu i przywarła ustami do jego warg, zapominając o całym świecie, o wszystkim poza tą chwilą i uczuciami, jakie w niej budziła jego bliskość. Jego pocałunki były namiętne, czułe, podniecające i nie

mogła się nimi nasycić...

Nagle Dan drgnął i wciągnął głęboko powietrze.

- Jezu - odezwał się cichym zachrypniętym głosem. - Nie powinniśmy.

Może rzeczywiście tak sądził, ale nic w tej sprawie nie zrobił. Nadal trzymał mocno jej dłonie w swoich i przyciskał jej ciało swoim. Oddychał zdecydowanie zbyt szybko. Katharine uniosła powieki. Dan wpatrywał się w nią z napięciem, jego oczy błyszczały w świetle księżyca. Miał zaczerwienione policzki. Ich twarze były tak blisko, że czuła jego oddech. Tak blisko, że wystarczyło lekko unieść głowę, by znów poczuć ciepło jego ust.

Z jakiegoś niezrozumiałego powodu nie zrobiła tego. Woląta, by to on ją całował. Chciała, żeby to on stracił kontrolę i oszalał na jej punkcie. Tak, jak ona szalała za nim. Tak bardzo, że niemal płonęła, poruszając się pod nim uwodzicielsko, choć on już nie reagował. Podwinęła palce stóp i wbiła je w mokre liście. Pragnął jej, nie miała wątpliwości. Był podniecony. Każdy mięsień w jego ciele drżał. Tylko że nagle Dan przestał cokolwiek robić. Zupełnie znieruchomiał, tocząc ze sobą wewnętrzną walkę, której znaczenia mogła się jedynie domyślać.

- Więc mnie puść - rzuciła mu wyzwanie.

Przesunął wzrokiem po jej twarzy i zatrzymał spojrzenie na ustach. Zaschło jej w gardle. Serce biło, jakby przebiegła kilka kilometrów. Uniosła odrobinę podbródek, zupełnie bezwiednie, i rozchyliła wargi w milczącym zaproszeniu.

- W twoich ustach to brzmi tak prosto. - Uśmiechnął się lekko.

Nim zdążyła zacząć się zastanawiać nad znaczeniem jego słów, znów się pochylił, by ją pocałować.

Zakreśliło jej się w głowie. Zapomniała o wszystkim, poza namiętnością wybuchającą między nimi niczym granat. Dan wsunął język między jej wargi, rozdzielił kolanem nogi i sprawił, że świat zadrżał w posadach. Wiedział, co robi, potrafił uwodzić i sprawiać rozkosz. Katharine całkowicie straciła głowę. Oddawała mu pocałunki, jej ciało wygięło się w łuk, piersi wezbrały pożądaniem.

- Pragnę cię - szepnął, puszczając wreszcie jej dłonie, by ją objąć.

Przyciągnął ją bliżej do siebie. Czowała na plecach przez mokrą koszulkę jego ciepłe ręce. Przesunęła ze zmysłową przyjemnością dłońmi po jego gładkich plecach i ramionach. Jego skóra była ciepła i wilgotna od deszczu oraz potu, a mięśnie silne i doskonale wyrzeźbione. Poczowała, jak jej własne mięśnie odmawiają posłuszeństwa, a jedyne funkcjonujące zwoje mózgowy zaczynają dawać rozpaczliwe znaki.

Cała ta odurzająca przygoda miała gdzieś swoje źródło. Mniejsza z tym, że potrafi całować i wie, jak sprawić przyjemność kobiecie. To nie wszystko. Czowała napięcie sugerujące, iż długo czekała na tę chwilę.

Kim jesteś?

W jej mózgu ponownie rozbłysły ostrzegawcze światła, które zgasły stłumione pożądaniem, kiedy dłoń Dana odnalazła jej pierś. Zaparło jej dech.

Mrucząc z rozkoszy, objęła go mocno za szyję, i przywarła do niego z całej siły.

Całowała go z takim zapałem, jakby jej życie od tego zależało, i dopiero po chwili zauważyła, że jego ręka nagle zastygła, a on sam znieruchomiał.

- Cholera - powiedział, kiedy Katharine musnęła rozchyłonymi wargami jego podbródek.

Z zaskoczeniem otworzyła oczy. Księżyc znów schował się za chmurami i wszystko wokół tonęło w ciemności. Deszcz całkiem ustał. Wiatr wiał teraz silniej niż wcześniej. Choć prawie go nie czuli, ukryci głęboko w lesie, słyszała, jak poruszał gałęziami. Las wciąż szemrał i przemawiał do nich głosami swoich mieszkańców.

Dan oddychał ciężko. Jego ciało było rozgrzane i napięte z podniecenia. Jego dłoń wciąż spoczywała na jej piersi. Natomiast jego uwaga nagle przeniosła się gdzie indziej.

- Co? - spytała. Patrzył w stronę, z której przyszli. Katharine nie mogła tam spojrzeć, leżąc na plecach, chyba że ryzykując poważny uraz szyi. Jednak po minie Dana poznała, że dzieje się coś

niedobrego. Nadal drżała, wciąż była podniecona. Tylko że nagle dotarła do niej świadomość, iż świat - przynajmniej jej świat - jest pełen zasadzek i niebezpieczeństw.

A on wpatrywał się w gąszcz, jakby właśnie stamtąd nadchodziło niebezpieczeństwo.

- Mamy towarzystwo - powiedział cicho i uniósł się, uwalniając Katharine od swojego ciężaru.

- Gdzie? - spytała z lękiem. Widziała wokół tylko drzewa skąpane w ciemnościach.

- Chodź.

Wstał i podał jej rękę. Skorzystała z pomocy i podniosła się. Nagle poczuła przejmujący chłód. Podążyła za wzrokiem Dana i ujrzała dwa okrągłe ruchome światełka. Latarki. Po tej stronie drogi, przesuwające się w ich kierunku. Blade promienie przecinały las, oświetlając korony drzew oraz błyszczące mokre liście na ziemi.

Katharine zadrżała. Instykt nakazywał ucieczkę, ale Dan nie ruszał się z miejsca. Chwyciła go mocniej za rękę, w odpowiedzi jego palce również wzmocniły uścisk. Przyciągnął ją bliżej do siebie opiekuńczym gestem. Katharine oparła się o jego muskularną pierś, ściskając jego dłoń, jak linę ratunkową. Patrzyła na zbliżające się światła. Wreszcie dotarło do niej, że Dan stoi nieruchomo i nie sprawia wrażenia, jakby przygotowywał się do jakiegokolwiek obrony. Po prostu stał i przyglądał się, czekając na tamtych ludzi. Jego twarz wyglądała jak wyrzeźbiona w kamieniu.

- Wiesz, kto to, prawda? Znasz ich. - Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. Głos jej drżał. Wciągnęła ze świstem powietrze i potrząsnęła jego ręką. - Powiedz mi prawdę.

- Nie ma się czego bać - uspokoił cicho. Objął ją w talii i przytulił do piersi. Pogładził palcami jej policzek. Wpatrywała się w niego ze zgrozą, a on złożył szybki mocny pocałunek na jej wargach. - Nie pozwolę, by coś ci się stało. Zaufaj mi.

- Nie - odparła w panice. Światła były coraz bliżej. - Nie zaufam ci.

Rozejrzała się dookoła w popłochu. Nie było czasu. Widziała już wysokie ciemne postacie mężczyzn trzymających latarki. Miała

ostatnia szansę, żeby uciec. Odepchnęła Dana, ale nie zdołała się uwolnić. Nie zamierzał jej puścić.

- Co ty robisz? - zawołała, wrywając się. Ogarnęła ją histeria.

- Dan...

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił ją.

Po chwili tamci podeszli do nich i było za późno.

Następnego dnia Katharine obudziła się o dziesiątej rano. Czuła się dużo lepiej. Silniejsza, spokojniejsza, bardziej pogodzona ze sobą i ze światem. Studiowała swoje odbicie w lustrze nad umywalką w łazience hotelu Embassy Suites, do którego Dan zawiózł ją poprzedniego dnia wieczorem, kiedy wyjaśnili ludziom z biura szeryfa, że alarm uruchomił się przez przypadek. Uwierzyła już, że twarz spoglądająca na nią z lustra w rzeczy samej należy do niej. Przypomniała sobie drastyczną dietę, dzięki której pozbyła się krągłości, wizyty u dentysty, kiedy zyskała nowy piękniejszy uśmiech, oraz u fryzjera, gdzie przefarbowała i ścięła włosy. Pamiętała już nawet cotygodniowe wizyty w solarium. Wczoraj musiała doświadczyć jakiegoś rodzaju dziwnej amnezji. Czasowej i łatwo uleczalnej.

Dobrze przespana noc zdziałała cuda. Katharine zrozumiała, iż powodem jej lęków był uraz głowy i przeżyty szok psychiczny. Oglądała na własne oczy śmierć przyjaciółki i padła ofiarą dwóch napadów we własnym domu. Te przeżycia każdego przyprawiłyby o chwilowe szaleństwo.

Ale teraz czuła się dużo lepiej. Nawet oddychanie przez nos sprawiało jej mniejsze trudności, choć nie zamierzała zdejmować opatrunku, póki nie będzie pewna, że spustoszenia pod spodem zniknęły.

Wzięła prysznic, wysuszyła włosy, umalowała się, włożyła szmaragdową bluzkę i długą letnią spódnicę, które wydobyla z torby podróżnej, a potem wsunęła stopy w eleganckie sandały. Poprawiła na palcu pierścionek, za duży, ponieważ straciła sporo na wadze, i dotknęła uszu, by sprawdzić, czy diamentowe kolczyki wciąż są na miejscu. Wyjęła z torebki telefon komórkowy. Zostawiła wiadomość



na poczcie głosowej, po czym rozłączyła się. Pokój był wyposażony w małą wnękę kuchenną. Zrobiła sobie kawę.

Usiadła z kubkiem w dłoni i czekała. Niezbyt długo.

Rozległo się natarczywe pukanie do drzwi. Spokojnie wstała, zabrała bagaż i torebkę, i podeszła do drzwi. Popatrzyła przez wizjer, po czym otworzyła drzwi, uśmiechając się do dwóch mężczyzn stojących w wyłożonym zielonym dywanem korytarzu. Z ulgą przyjęła świadomość, że ich poznaje. Byli agentami CIA i bezpośrednio podlegali Edowi. Łączyły ją z nimi relacje raczej oficjalne niż przyjacielskie - zapewne nie pochwalali jej związku z szefem - ale widywała ich niemal codziennie od dwóch lat. Tom Starkey stał bliżej drzwi, najwyraźniej to on pukał. Wysoki, przystojny, dobrze zbudowany mężczyzna koło trzydziestki o kwadratowej szczęce i brązowych obciętych prawie przy samej skórze włosach, miał na sobie granatowy garnitur, białą koszulę i czerwony krawat. Pod marynarką Katharine zauważyła niewielkie wybrzuszenie - Tom nigdzie się nie ruszał bez pistoletu. Za nim stał George Bennett, mniej więcej pięć lat straszy od kolegi i odrobinę wyższy. Miał o ton ciemniejsze włosy i jaśniejszą karnację, ale poza tym przypominał Starkeya do tego stopnia, że mógłby być jego bratem. To przez te ubrania, pomyślała Katharine, wyglądają jak klony. Bennett również miał na sobie granatowy garnitur i białą koszulę, a jego krawat był w delikatne prążki. Potężnie zbudowani mężczyźni w garniturach i z włosami obciętych na jeża po jakimś czasie tracili indywidualność, kiedy widywało się ich wielu. W każdym razie to przytrafiło się Katharine, która zbyt długo już żyła w tym świecie.

- Dzień dobry, pani Lawrence - przywitał ją Starkey tak uprzejmie, jakby nie spędził ostatnich dwudziestu czterech godzin na gorączkowych poszukiwaniach. Wiedziała, że tak właśnie było, nie musiała pytać. Ed na pewno zdenerwował się jej zniknięciem. A kiedy Ed był zły, Starkey i Bennett mieli dużo pracy. Najprawdopodobniej odczuli również na własnej skórze konsekwencje jego złego humoru.

- Dzień dobry - odwzajemniła powitanie. Żaden z nich się nie uśmiechnął. Rozumiała, że w tej chwili nie pałają do niej szczególną sympatią. Trudno. Zrobiła to, co w danym momencie wydawało jej się słuszne. Teraz wiedziała, że jej obawy nie były uzasadnione. Starkey wziął od niej bagaż i zamknął drzwi.

- Tędy - poinstruował ją Bennett. Poszła za nim, nawet nie pytając dokąd. Starkey szedł na końcu. Nie miało znaczenia, gdzie ją prowadzą. Wracając, oddała się w ręce Eda, a Starkey i Bennett byli jego wysłannikami. Zabierali ją do miejsca, które wskazał Ed, i naprawdę było jej obojętne, dokąd konkretnie. Ed był jej bliski. Mogła mu ufać. Jej pokój znajdował się na trzecim piętrze. Zjechali windą. Katharine wymeldowała się, podczas gdy tamci dwaj czekali w pobliżu niczym czujne niańki.

- Pan Barnes jest na spotkaniu - wyjaśnił Starkey. Katharine usadowiła się na tylnym siedzeniu czarnego mercedesa zaparkowanego pod bocznym wejściem. - Prosił o przekazanie, że przyjedzie dziś wieczorem.

Pokiwała głową i zamknęła za sobą drzwi. Starkey prowadził, Bennett siedział obok niego z przodu. Nikt się nie odzywał. Ciszy nie zakłócało nic poza szumem klimatyzacji i szmerem opon. Zostawili w tyle hotel, jeden ze starszych w sieci, usytuowany w Garfield Heights, w południowo-wschodniej części Waszyngtonu. Obok znajdowało się Muzeum Marynarki Wojennej, wielka atrakcja turystyczna, jednak resztę sąsiedztwa stanowiły nieciekawe bloki, tanie restauracje etniczne oraz supermarkety. Gdziekolwiek można było zauważyć stare odrestaurowane budynki dające przedsmak tego, jak będzie wyglądać reszta dzielnicy po ukończeniu trwających prac renowacyjnych.

Katharine wybrała ten hotel, ponieważ mogła w nim płacić gotówką. Gdyby użyła kart kredytowych, po godzinie Ed pukałby już do drzwi. A ona potrzebowała czasu dla siebie, żeby się wyspać i pomyśleć.

Sen w istocie okazał się zbawienny. Znowu była sobą. Wszystko wróciło na swoje miejsce.

W ciągu kilku minut znaleźli się na autostradzie prowadzącej do nowszej części miasta, która rysowała się w oddali niczym ocean szarości: fala za falą betonu i stali. Było niedzielne przedpołudnie, o tej porze mieszkańcy Waszyngtonu zwykle odwiedzali kościoły (zwłaszcza politycy, którzy chcieli się przypodobać wyborcom), jednak na drogach panował spory ruch, głównie dzięki turystom. Przejechali przez most na rzece Anacostia. Katharine zerknęła w dół na lśniąca zielonkawą taflę wody. Roilo się w niej od różnego rodzaju łodzi i statków. Małe żaglówki, kolorowe jak kolibry unosiły się zygzakami na falach, łapiąc najmniejszy powiew wiatru, stateczki rejsowe poruszane mocą własnych silników, wzbijały wokół białą pianę, barki wypełnione ładunkiem płynęły spokojnie pod prąd. Niebo było przejrzyste, błękitne, upstrzone białymi pierzastymi chmurkami. W powietrzu unosiła się lekka wilgoć, jedyny ślad po wczorajszym deszczu. Panował upał, jednak Katharine nie musiała go znosić zbyt długo. Starkey wjechał na podziemny parking jednego z wielu luksusowych apartamentowców w centrum miasta. Znalazł miejsce i zostawił samochód. Przeszli parę kroków do windy, która zawiozła ich na dwunaste piętro. Wysiedli i ruszyli wąskim korytarzem wyłożonym grubą wykładziną. Minęli dwoje ogromnych drzwi. Przy trzecich Starkey przystanął, wyjął klucz, otworzył je i zaprosił Katharine gestem do środka.

Mały przedsionek otwierał się na średniej wielkości salon. Ścianę naprzeciwko wejścia zajmowało wielkie okno z odsuniętymi zasłonkami. Pokój był skąpany w promieniach słonecznych. Pośrodku stała ogromna kanapa w paski w różnych odcieniach złota, brzozy i brązu, a przy niej pasujące obiciami fotele. Na przeciwległej ścianie wisiał pejzaż w prostej drewnianej ramce, a pod nim ustawiono wielki telewizor plazmowy. Podłogi mieszkania składającego się z salonu, sypialni, łazienki i toalety oraz niedużej świetnie wyposażonej kuchni połączonej z jadalnią pokrywała kremowa wykładzina. Katharine obejrzała wszystko, podążając za Starkeyem, który zaniósł jej bagaż do sypialni.

- Czyje to mieszkanie? - spytała. - Eda?

Postawił jej torbę na podłodze i wzruszył ramionami. Zrozumiała, że nie doczeka się odpowiedzi. Nawet jeżeli wiedział, uznał widocznie, że to Ed zdecyduje, czy jej powiedzieć, czy nie. Starkey i Bennett byli nienagannie dyskretni i lojalni.

- Lodówka jest pełna - poinformował Starkey, odwracając się, by odejść. - Jeżeli pani woli, któryś z nas może wyskoczyć po coś gotowego. Pan Barnes polecił, żebyśmy nie zostawiali pani samej. - Popatrzył na nią z wyrzutem. - Nie jesteśmy w stanie pani obronić, nie będąc w pobliżu.

Katharine skinęła głową. Nie chciała mieć w nich wrogów.

- Wiem. Rozumiem. - Usiłowała nadać głosowi skruszony ton, co przychodziło jej z zaskakującym wysiłkiem. Wciąż czuła się nieco wyprana z emocji. - Przykro mi, że uciekłam ze szpitala. Nie myślałam trzeźwo po tym wszystkim, co się wydarzyło.

- Nie było wesoło. W pierwszej chwili podejrzewaliśmy porwanie. Dopóki nie zatelefonowała pani do pana Barnes'a.

- Nie pomyślałam o tym - przyznała. Starkey tylko popatrzył na nią pośępnie. Poddała się i dodała: - Wiesz co? Jestem głodna. I nie mam ochoty gotować.

- Hamburgery? Czy taco?

Starkey odrobinę złagodniał, być może rozmowa przyniosła jednak zamierzony efekt. Często wspomagali się w biurze niezdrowym jedzeniem, kiedy zostawali we trójkę po godzinach, często już ostatni, czekając na Eda. Choć bardzo rzadko siedzieli razem. Starkey i Bennett mieli swoje miejsce, a ona swoje.

- Taco - zdecydowała Katharine. Starkey skinął głową i wyszedł.

Kiedy zjedli, Katharine wróciła do gustownie urządzonej sypialni. Ścianę nad wielkim łóżem zdobił kolejny pejzaż. Pokój pomalowano na kolor piasku pustyni, zasłony były o ton ciemniejsze. Katharine rozsunęła je z ciekawością i zobaczyła budynek po drugiej stronie ulicy. Między nim a sąsiednią budową dostrzegła w oddali zarys Convention Center, dzięki któremu wiedziała już, gdzie jest. Niedaleko New York Avenue, prawdopodobnie na K albo L Street. Z niewiadomych przyczyn świadomość, gdzie się mniej więcej

znajduje, sprawiła, że poczuła ulgę.

Usiadła na niedużym fotelu obitym złotym pluszem. Stał obok wyglądającego na wygodne łóżka okrytego złotą kapą. Wyciągnęła z torebki telefon komórkowy. W głowie miała listę rzeczy do zrobienia i wykonywała je jedna po drugiej. Najpierw zatelefonowała do Sue Driver, wspólnej przyjaciółki jej i Lisy. Wysłuchiła okrzyków żalu i wykręciła się od odpowiedzi na pytania, tłumacząc, iż to dla niej zbyt trudne. Wreszcie zdołała się dowiedzieć, kiedy pogrzeb. Miał się odbyć we wtorek. Zadzwoiła więc do Cindy Parrent, koleżanki, która opiekowała się Muffy, by poprosić ją, żeby do środy zajęła się kotką. Następnie zaplanowała na jutrzejszy dzień podróż do Cleveland, do rodzinnego miasta Lisy.

Nim skończyła, wrócił pulsujący ból głowy. Miała nadzieję, że zniknął na zawsze razem z irracjonalnymi lękami. Wzięła proszek i zajrzała do swoich ochroniarzy - oglądali mecz w salonie, najwyraźniej dobrze się bawiąc, choć ich twarze przybrały poważny wyraz, kiedy dostrzegli ją w progu. Pomyślała o drzemce, jednak ta perspektywa nie budziła jej entuzjazmu. Sen czasem przynosił koszmary. Lepiej zająć czymś umysł.

Usiadła w fotelu z pilotem do telewizora. Naprzeciwko łóżka na niedużej białej toaletce stał mały odbiornik. Trafiła na powtórkę „Kryminalnych zagadek”. Wprawdzie nie było żadnych drastycznych scen, jednak na samą myśl o oglądaniu zwłok na ekranie poczuła mdłości. Pospiesznie zmieniła kanał. Wreszcie zdecydowała się na powtórkę „Pełnej chaty”. Trudno o coś łżejszego.

Zaczynała przysypiać w fotelu, kiedy drzwi gwałtownie się otworzyły. Natychmiast ocknęła się i wyprostowała. W progu stał Ed, jak zawsze elegancki w ciemnoszarym, szytym na miarę garniturze, białej koszuli i czarnym krawacie, z włosami starannie zaczesanymi do tyłu. Zaciśnięte w pięści dłonie oparł na biodrach; na jego twarzy malowała się wściekłość.



## Rozdział 17

Odchodziłem od zmysłów, zamartwiając się o ciebie - wrzasnął tak głośno, że Katharine aż podskoczyła. Starkey i Bennett nie mogli nie usłyszeć. Wyobrażała sobie, jak się uśmiechają za ścianą. Zazwyczaj to oni obrywali. -Gdzie się podziewałaś, do czorta?

Nie zapominaj, że Ed ma zawsze rację. Rób wszystko, by go zadowolić. Bądź posłuszna i uprzejma. Zgadź się ze wszystkim, co mówi. Przystawaj na każdą jego propozycję. Twoje zadanie polega na tym, by uczynić go szczęśliwym.

Przypomniała sobie swoją rolę w związku z Edem. Znała ją. On dominował, ona się podporządkowywała. Od lat funkcjonowali w ten sposób. I równie dobrze mogą funkcjonować nadal.

Jednak coś się w niej buntowało.

- Przepraszam - odezwała się potulnie. Wciąż przeszywał ją wściekłym spojrzeniem. - Nie chciałam, żebyś się martwił. Tyle się wydarzyło, że... chyba po prostu straciłam głowę.

- Uciekłaś ze szpitala - warknął. - Starkey i Bennett po ciebie przyjechali, a ty po prostu dałaś nogę. Dlaczego?

- Z powodu policji. Nie chciałam z nimi jeszcze rozmawiać. Ja... nie myślałam trzeźwo.

Zatrzasnął za sobą drzwi, kiedy mówiła, i podszedł do niej szybkim krokiem. Niesamowite, jak groźnie może wyglądać rozeźlony średniowysoki facet przy kości, pomyślała. Serce podskoczyło jej w piersi - boję się go -po czym wróciło do normalnego rytmu, gdy słowa: „kochasz go” zastąpiły pierwszą instynktowną reakcją.

...kochasz go, kochasz go: odbijało się echem w jej głowie.

Z uśmiechem wstała z fotela, by się przywitać.

- Nigdy więcej przede mną nie uciekaj - powiedział ze złością.

Katharine pokręciła zgodnie głową, a jego oblicze nieco złagodniało. Objął ją potężnymi ramionami i przycisnął mięsiste wargi do jej ust. Całował ją namiętnie, choć niezbyt wprawnie, ale



zareagowała z właściwym entuzjazmem.

Jego język jest gruby jak salami. I tak też trochę smakuje, pomyślała z niesmakiem. A po chwili: Jest przystojny, seksowny; spotykacie się prawie od dwóch lat; kochasz go.

...kochasz go; kochasz go.

Jednak odetchnęła z ulgą, kiedy wypuścił ją z objęć.

Dla bezpieczeństwa usiadła z powrotem w fotelu. Jasny blask późnego popołudniowego słońca odbijał się od ciemnych szyb budynku naprzeciwko i zalewał pokój intensywnym światłem, które musiało razić Eda, ponieważ rzucił niecierpliwe spojrzenie w stronę okna, po czym podszedł, by je zasłonić.

Katharine poczuła się nagle nieprzyjemnie odcięta od świata. Ogarnął ją dziwny niepokój. Poczowała zimny dreszcz. Teraz jedynym źródłem światła była niebieska poświata z telewizora (Michelle rozśmieszała całą rodzinę z „Pełnej chaty”, ale Katharine straciła zupełnie zainteresowanie serialem), w sypialni zrobiło się jakoś chłodno. Włączyła lampkę, by rozpedzić ponury nastrój, po czym wyłączyła telewizor.

- Więc gdzie się, do diabła, podziewałaś? - Ed stał nad nią, marszcząc czoło. Znów położył pięści na biodrach. Chce mnie onieśmielić, zdała sobie sprawę.

Żołądek jej się skurczył. Poczowała przyspieszone bicie serca. Obiecała Danowi, że nikomu nie powie o jego udziale w całej sprawie. Poza tym, gdyby Ed się dowiedział, że wymieniła gorący pocałunek z przemiłym sąsiadem, z zazdrości dostałby szału. Może i nie myślała ostatnio rozsądnie, ale tyle wiedziała. Zadrzała, wyobraziwszy sobie Eda ogarniętego furją. Bała się o siebie i Dana. Dla dobra ich obojga postanowiła kłamać. Miała już wszystko obmyślane, denerwowała się jednak. Obawiała się konsekwencji, jeśli zostanie przyłapana. Musiała się bardzo postarać.

- Wiesz gdzie: w hotelu. - W jej głosie zabrzmiał spokój i opanowanie. - Dzwoniłam do ciebie stamtąd.

Nie spuszczał wzroku z jej twarzy.

- Jak się tam dostałaś?

- Po tym, kiedy omal nie zginęłam, po raz drugi napadnięta we własnym domu? - Chciała odwrócić jego uwagę, skierować ją na taki temat, aby mogła mówić prawdę. - Metrem.

- Tak po prostu? - Pokręcił głową. - Nie mogę uwierzyć, że Starkey i Bennett nie potrafili cię znaleźć. Tracą instynkt. - Przesunął wzrokiem po jej zabandażowanym nosie i posiniaczonym czole. Zdał sobie sprawę, iż naprawdę odniosła obrażenia podczas napadu, i jego oczy odrobinę złagodniały. - Wiele przeszłaś, co? Cieszę się, że jesteś w jednym kawałku, maleńka. Przykro mi z powodu śmierci twojej koleżanki. Teraz jednak musimy się skupić na znalezieniu tych drani.

Uchwyciła się szansy na zmianę tematu.

- Masz jakieś podejrzenia?

Jego twarz nagle przybrała nieprzenikniony wyraz.

- Kilka - odparł niejasno. - Znajdę ich, możesz być pewna. A wtedy...

Wzdrygnęła się w środku, słysząc tę niedokończoną groźbę. Zakochany czy nie, Ed potrafił być okrutny. Nigdy nie chciałyby stanąć na jego drodze. Mając do dyspozycji wszystkie środki, jakimi dysponowała agencja, na pewno prędzej czy później dopadnie sprawców. Jeśli będą mieli szczęście, dożyją procesu, Katharine uznała jednak, że to raczej wątpliwe. Zbyt wiele mogłoby wyjść na jaw podczas śledztwa. Ed prawdopodobnie postanowi załatwić sprawę po cichu, jako osobisty problem. Złodzieje po prostu znikną. Zostaną zastrzeleni.

- Opowiedz mi po kolei, co robiłaś po opuszczeniu szpitala. Wróciłaś prosto do domu? - Obserwował ją uważnie, marszcząc krzaczaste czarne brwi.

Podejrzewa mnie, zrozumiała Katharine i jej serce zaczęło szybciej pompować krew. - Tak.

- Jak się tam dostałaś?

Musiała zwalczyć pokusę zaczerpnięcia głębokiego uspokajającego nerwy oddechu. Zauważyłby to i stał się jeszcze bardziej podejrzliwy.

- Taksówką - skłamała niechętnie, ponieważ wiedziała, że można to sprawdzić. Ale nawet jeśli Ed zada sobie ten trud, trochę to potrwa, zanim odkryje kłamstwo. Pozostawało jej jednak mieć nadzieję i modlić się, żeby nie sprawdził. W każdym razie nie spodziewała się, żeby dostał odpowiedź wcześniej niż jutro rano, a wtedy ona będzie w samolocie do Cleveland. Zyska kolejne dwa dni zwłoki, zanim znów będzie zmuszona stawić mu czoło.

- Uciekłaś ze szpitala, wzięłaś taksówkę do domu i tam zostałaś napadnięta przez nieznanego sprawcę, który czegoś szukał, choć nie masz pojęcia czego. - Zmrużył powieki i zacisnął szczęki. - Potem zadzwoniłaś do mnie. Powiedziałaś, co się stało, i rozłączyłaś się, nie mówiąc, gdzie jesteś. To nieładnie, skarbie. Nie odważyłaś się zwilżyć warg.

- Przepraszam. Byłam zdenerwowana i przerażona, nie myślałam rozsądnie. Przecież zadzwoniłam do ciebie dziś z hotelu, tak jak obiecałam.

- Przez ciebie miałem nieprzespaną noc.

- Przepraszam - powtórzyła.

Przeszył ją wzrokiem i wydał wargi. Nadal był wściekły. I najwyraźniej niezbyt przejęty jej stanem.

- W porządku, zapomnijmy o tym. Z jakiegoś idiotycznego powodu postanowiłaś, że wolisz być sama, wskoczyłaś więc w metro i pojechałaś do hotelu, z którego później zabrali cię Starkey i Bennett, tak?

Katharine popatrzyła mu prosto w oczy.

- Trochę się pokręciłam bez celu, zastanawiając się, co dalej, ale tak, w zasadzie tak. Musisz pamiętać, że byłam bardzo zdenerwowana.

- Przy okazji, znaleźliśmy twój wóz pod Bayou Room. - Nocny klub na King Street w Alexandrii. Dobrze wiedzieć. - Na pewno ucieszy cię wiadomość, że stoi już z powrotem bezpiecznie w twoim garażu. Zakładam, że za dużo wypiliście z koleżanką, żeby prowadzić, i wróciliście do domu taksówką?

Katharine pokiwała głową, choć zupełnie tego nie pamiętała.

Wiedziała jednak, że nieźle się obie wstawiły.

- Jak dotarłaś z domu na stację metra, nie mając samochodu? -  
Równie dobrze jak ona zdawał sobie sprawę, że złapanie taksówki na Starym Mieście graniczy z cudem. Katharine była przygotowana na to pytanie.

- Pieszko.

Wiedziała, że oblicza w myślach dystans między domem, a najbliższą stacją. Daleko, ale można przejść, uznał, podobnie jak wcześniej ona. Przynajmniej na razie zaakceptował jej historyjkę.

- Dobra, wstawaj - rozkazał opryskliwie. Zerknęła na niego z zaskoczeniem.

- Wstawaj - powtórzył. Złapał ją za łokieć i pociągnął do góry. -  
Pojedziemy do domu, pokażesz mi krok po kroku, co się wydarzyło. Chcę znać każdy szczegół. Każdy ruch tych drani. Każde ich słowo. Słyszysz? Każde.

Katharine zbladła i zaczęła się wyrywać.

- Nie. Błagam! Nie dam jeszcze rady. Głowa mi pęka i... Ed był nieubłagany.

- Straciłem już cały dzień przez twój głupi wybryk. Mam zamiar znaleźć tych łobuzów, i to szybko. Nie mogę dopuścić, by trop stał się nieaktualny.

Zgadź się na wszystko, co powie. Nie chciała oglądać tego miejsca nigdy więcej. Zrezygnowała jednak z oporu i pokiwała głową.

- Dobrze, Ed - zgodziła się cicho.

Kolejnych kilka godzin było dla niej torturą. Pojechali do domu, Starkey i Bennett siedzieli z przodu. Wnętrze wciąż wydawało się obce, ale już nie tak przeraźliwie i upiornie nierozpoznawalne. Przeraził ją natomiast brak rozbitego wazonu z różami w holu. Ktoś znowu posprzątał. Musiała zapytać.

- Kazałem to zrobić swoim ludziom - zachnął się Ed. -  
Wyobrażałaś sobie, że pozwolę glinom coś wywęszyć, nim sam się dowiem, o co chodzi? Wystarczająco źle się stało, że nie dotarliśmy na czas za pierwszym razem. Ubiegły nas lokalne władze.

Musieliśmy posprzątać po ich śledztwie. - Popatrzył posepnie na Starkeya. - Nie jestem z tego zadowolony.

- Przyjechaliśmy natychmiast, kiedy się dowiedzieliśmy.

Ed fuknął.

Usatysfakcjonowana logicznym wyjaśnieniem nienagannego porządku w domu Katharine niechętnie zaprowadziła trzech mężczyzn do pralni. W ścianach pozostały niewielkie otwory, choć same pociski usunięto. Z boku suszarki znajdowała się rysa, również pochodząca od kuli. Tylne drzwi były wymienione na nowe. Ed uznał, iż drugi intruz dostał się właśnie tamtędy do środka, kazał więc wyjąć z zawiasów drzwi i szukać w laboratorium odcisków palców wokół wyważonego zamka. Katharine nie uświadomiła mu pomyłki. Miała tylko nadzieję, że nie znajda odcisków Dana. Jego bezpieczeństwo było dla niej znacznie ważniejsze niż pomaganie Edowi w poszukiwaniach. Na myśl o reakcji Eda, gdyby dowiedział się o jej znajomości z sąsiadem, Katharine poczuła na plecach zimny dreszcz.

Za każdym razem, kiedy spoglądała na podłogę w kuchni, ból głowy stawał się nie do zniesienia. Płytki rzeczywiście były mniejsze, miały zaledwie piętnaście centymetrów długości i szerokości. Zrelacjonowała Edowi szczegóły napadu, w którym zginęła Lisa, opowiedziała mu wszystko, co pamiętała, wskazała miejsce za suszarką, gdzie się chowała, i miejsce pod drzwiami, gdzie umierała Lisa. Wciąż miała przed oczami trzydziestocentymetrowe płytki zapamiętane z poprzedniej nocy.

Czy podłoga mogła się tak bardzo zmienić? Pytanie nie dawało jej spokoju do tego stopnia, że spytała Eda pozornie obojętnie, czy płytki zostały wymienione podczas sobotniego porannego sprzątnięcia. Może były uszkodzone albo nie dawało się zmyć śladów krwi?

Popatrzył na Starkeya.

- Płytki nie zostały uszkodzone, nie było też zbyt wiele krwi.

Umyliśmy je tylko - wyjaśnił agent.

Trudno, czas zmienić temat, uznała, choć umycie podłogi nic nie

wyjaśniało. Postanowiła przestać zaprzętać sobie tym głowę, ponieważ gdyby zamartwianie się mogło przynieść odpowiedź, już by ją znała. Mimo najlepszych chęci nie mogła usunąć z pamięci obrazu tamtej podłogi wyłożonej trzydziestocentymetrowymi kwadratami. Dręczyło ją to.

I jeszcze coś. W skrytości ducha wciąż była przekonana, iż sprawcy pierwszego napadu nie szukali biżuterii. Za każdym razem, kiedy zdawała Edowi relację z tego, co powiedzieli i zrobili zabójcy Lisy, obstawała przy fałszywym założeniu, iż szukali sejfu, w którym spodziewali się znaleźć biżuterię widzianą wcześniej na fotografii w gazecie. Czemu? Przeczucie. Nie umiała tego wyjaśnić. Wiedziała jedynie, że coś wewnątrz niej wzbrania się przed wyjawieniem prawdziwej opinii. Kolejny niepokojący fakt: Ed wiedział. Wiedział, że nie przyszli po biżuterię. Widziała to w jego oczach, słyszała w głosie. Cały czas jednak utrzymywał, że bandytom chodziło o klejnoty.

Prowadzili ze sobą grę, tylko że on nie był świadom jej roli. I nie powinien się dowiedzieć. Przerazała ją myśl, że mógłby się zorientować. Co do drugiego napadu, wydawał się równie zaskoczony jak ona.

Wizja lokalna trwała prawie cztery godziny, z krótką przerwą na jedzenie. Wybiła dziesiąta. Katharine była wyczerpana i miała mdłości. W głowie jej dudniło. Przemarzała do szpiku kości. Pragnęła opuścić ten dom i uwolnić się od Eda bardziej niż czegokolwiek w życiu. Był nieubłagany, analizował wszystko, co mówiła, męczył o każdy szczegół, domagał się więcej.

Wreszcie dał jej spokój i mogła pójść na górę, aby spakować się przed jutrzejszą podróżą. Jej garderoba została pobieżnie posprzątana, ubrania wisiały na wieszakach, choć niezbyt porządnie. Pakowanie nie zajęło jej wiele czasu. Wrzuciła kilka czarnych rzeczy do niedużej torby znalezionej na dnie szafy. Następnie postanowiła przełamać strach i zajrzeć do gościnnej sypialni.

Łóżko było pościelone, półki w łazience i szuflady opróżniono. Po Lisie nie pozostał żaden ślad. Rozglądała się po pokoju, w którym



Lisa położyła się spać zaledwie dwa dni wcześniej, i wiedziała, że powinna czuć rozpacz po stracie zamordowanej przyjaciółki. Nie czuła natomiast nic poza pustką.

Pamięć powróciła, jednak zdolność odczuwania nie nadeszła wraz z nią. Niemniej Katharine zamierzała zachować się jak każda lojalna przyjaciółka na jej miejscu - i dopilnować, by osobiste rzeczy zmarłej trafiły do jej rodziny. Odkryła jednak, że nic już nie ma.

- Co się stało z rzeczami Lisy? - spytała, zszedłszy na dół. Trzej mężczyźni stali razem w salonie. Wyglądało na to, że Ed wydawał rozkazy swoim ludziom. Przerwał i wszyscy popatrzyli na Katharine, która zbliżała się do nich z torbą na ramieniu. Nie musiała być geniuszem, by się zorientować, że chcieli coś przed nią ukryć.

- Kazałem spakować i odesłać rodzinie.

Ed skinął głową Starkeyowi, a ten wziął od niej torbę. Ed nie sprzeciwiał się, kiedy oświadczyła, że wybiera się na pogrzeb Lisy. Postawił tylko warunek, żeby zabrała ze sobą Bennetta. Starkeya potrzebował na miejscu. Katharine nie zamierzała protestować. Podejrzewała, że jest zadowolony z jej wyjazdu, gdyż wolał, by nie rozmawiała na razie z policją na temat śmierci Lisy i włamań. Może nawet uda się tego w ogóle uniknąć. W mieście o tak dużej przestępczości sprawy często pozostawały nierozwiązane.

- Chciałem ci pomóc - dodał. - Gotowa? Katharine skinęła głową. Ed wziął ją pod rękę. Jego dłoń była gorąca i spocona. Zadrżała, kiedy przesunął kciukiem po delikatnej skórze na ramieniu. Nie cofnął ręki. Poprowadził ją przez ocieniony chodnik do mercedesa zaparkowanego przy krawężniku. Starkey i Bennett podążali za nimi w ciszy. Noc była piękna, parna i gwiazdzista. Sierp księżycy odbijał się w czarnych wodach Potomacu. Ozdobna starodawna latarnia na rogu świeciła żółtawym światłem. Cichy szmer wody przerywał szum niewielkich fal uderzających o nabrzeże. Przepłynął oświetlony statek pełen turystów. Dochodziły z niego przytłumione, ledwie słyszalne dźwięki muzyki i zabawy. Wszystkie pobliskie sklepy były pozamykane, ruch na ulicach panował niewielki. Zaledwie kilku przechodniów spacerowało po chodnikach,

większość z nich po drugiej stronie ulicy. Wracali z restauracji obok parku Waterford. W oddali błyszcząły światła na drzewie przy bramie.

Starkey otworzył przed Katharine tylne drzwi mercedesa. Odważyła się na przelotne spojrzenie w stronę okien Dana. Były ciemne.

Gdzie on jest?, pomyślała mimowolnie i natychmiast została ukarana bólem głowy. Nie powinna myśleć o Danie. To teraz zbyt niebezpieczne. Musi się skupić na związku z Edem.

Wsunęła się na skórzane siedzenie, Ed obok niej. We wnętrzu wozu panował mrok. Katharine poczuła zapach tytoniu, którego nie zarejestrowała wcześniej. Stopniowo odzyskiwała węch. Ed nie znosił tytoniu, gdyby zapach był silny, odmówiłby jazdy tym samochodem.

Starkey i Bennett zajęli swoje miejsca z przodu. Starkey prowadził. Ed położył rękę na kolanie Katharine. Z wysiłkiem powstrzymała się od odepchnięcia jego czerwonych grubych palców. Zacisnęła zęby i pozwoliła mu z roztargnieniem gładzić swoje udo. Cieszyła się, że miała na sobie długą spódnicę.

Jechali z powrotem do mieszkania. Ed wyjaśnił, że agencja korzysta z niego czasem, przyjmując gości spoza miasta. Ku jej radości nie zaproponował, by pojechała z nim do rezydencji na Embassy Row. Prawdopodobnie nie chciał dawać Sharon dowodów, które mogłaby wykorzystać przeciwko niemu przy negocjowaniu warunków i tak już trudnego rozvodu. Jednakże kiedy po przyjeździe na miejsce, zamiast przesiąść się do własnego samochodu, wsiadł razem z nimi do windy, Katharine nabrała złych przeczuc co do jego planów na resztę wieczoru.

Była jego dziewczyną. Spędzenie z nią nocy wydawało się naturalne. Zdrętwiała na tę myśl.

## Rozdział 18

Katharine rozpaczliwie usiłowała sobie przypomnieć cokolwiek na temat fizycznej strony ich związku. Bez powodzenia. Nie potrafiła przywołać tych wspomnień.

Całe szczęście.

Wiedziała, że sypiają ze sobą od trzynastu miesięcy. Ponad rok. Musiało być przyjemnie, inaczej by tego nie robiła. Przecież jest dorosła. Nie może więc być tak źle.

Zrobiłaś sobie brazylijską depilację. Twoje życie seksualne musi być udane, pocieszała się w duchu.

Otrząsnęła się z obrzydzeniem. W mózgu kłębiły jej się pozytywne myśli: jesteś w nim zakochana; to pociągający mężczyzna; powinnaś dbać, by był szczęśliwy - a w ustach czuła smak salami.

I jego tłuste palce na swoim ciele.

Nie potrafię tego zrobić, pomyślała, wpadając w panikę. Starkey i Bennett nie weszli z nimi do mieszkania, zostali w korytarzu.

- Zrób mi drinka, co? - poprosił Ed, poluzowując krawat, i podszedł do kanapy. - Wszystko jest w kuchni.

Katharine popatrzyła z rozpaczą na jego szerokie plecy. Jego ulubiony drink to martini; wiedziała doskonale, jak je przyrządzić, ale musiała się przemóc, żeby spełnić jego prośbę. Przeszła do małej kuchni. Trzęsły jej się ręce.

Szafki rzeczywiście zostały dobrze zaopatrzone. Znalazła wszystko, czego potrzebowała. Kątem oka obserwowała Eda, który zdjął już krawat i ściągał marynarkę. Najwyraźniej zamierzał zostać dłużej.

Przyrządzała drinka tak długo, jak tylko mogła. W głowie kłębiły jej się tysiące myśli. Może wymówić się migreną, starą jak świat? Nawet nie musiałyby kłamać. Wyczerpanie? Choroba weneryczna?

- Co z tym drinkiem? - niecierpliwił się Ed. Przerzucał kanały w telewizorze.

Czas minął.

- Prawie gotowy - odparła ze sztuczną wesołością. Nie mogę tego zrobić, pomyślała po raz kolejny. Trzęsącą się dłonią podniosła szklanke i omal nie rozlała alkoholu. Na myśl o tym, co nastąpi, kiedy Ed wypije martini, miała ochotę uciekać z wrzaskiem.

Myśl, myśl, myśl.

Nic nie wymyśliła poza prostym komunikatem: „Nie w tym życiu, kolego”. Prawdopodobnie nawet taka bezpośredniość nie przyniosłaby rezultatu, znając Eda. Mógłby zareagować nieprzewidywalnie.

Wyszła z kuchni na miękkich nogach, zbliżyła się powoli do kanapy zerkając po drodze tęsknie ku wyjściu. Starkey i Bennett pewnie wciąż stali na zewnątrz. Próba ucieczki pogorszyłaby tylko jej sytuację. Złapią ją, a Ed będzie wściekły. Nie powinna nawet marzyć o ucieczce.

Ten mężczyzna był jej kochankiem.

Wszystko, by zadowolić Eda.

Ale nie to. Nie to.

Nie patrzył na nią, pochłonięty tym, co się działo na ekranie.

- Proszę - odezwała się pogodnie. Do twarzy miała przyklejony uśmiech. Serce trzepotało jej w piersi jak uwięziony ptak.

- Dzięki. - Wziął szklanke, klepnął Katharine w pośladek w formie podziękowania i zaszczycił ją spojrzeniem. - Sobie nie zrobiłaś?

- Zostawiłam w kuchni - skłamała, by tam wrócić i zyskać na czasie. Przynajmniej kilka minut.

Chwyliła się obiema rękoma blatu i obserwowała Eda przez duży prostokąt drzwi dzielący kuchnię od salonu i części jadalnej. Sącył martini.

- Trochę zbyt wytrawne, maleńka.

Omala nie zwymiotowała, tak była spięta i wystraszona.

Wtem ją olśniło.

Zaleje łazienkę.

Tę obok sypialni. Zapcha muszlę klozetową i będzie spuszczać wodę, póki cały strumień nie wycieknie na posadzkę.

Dużo wody. Powódź, jeśli to możliwe. Właśnie. W najgorszym

wypadku Ed będzie musiał wezwać Starkeya i Bennetta. Jeśli zrobi to dobrze, skończy się na hydrauliku. A zamierzała się postarać.

Wezwała Boga na świadka, że nic się nie wydarzy w tej sypialni dzisiejszej nocy. Wzięła kilka gąbek, które znalazła pod kuchennym zlewem, schowała je za pasek spódnicy i ruszyła do łazienki.

Ed popatrzył w jej stronę. Zauważyła, że kończy już drinka.

- Chodź no tu, maleńka - zawołał, poklepując zapraszająco miejsce na kanapie obok siebie.

Posłała mu uśmiech. Jedna z najtrudniejszych rzeczy, jakie przyszło jej zrobić w życiu.

- Zaraz wracam. Daj mi chwilę na odświeżenie się. Chyba się zgodził, bo chrząknął i wrócił do oglądania telewizji. Przechodziła przez sypialnię, kiedy zadzwonił jego telefon komórkowy. Rozległa się melodyjka z „Wilhelma Tella”. Tej również nie kojarzyła.

- Barnes - rzucił do słuchawki. Nie usłyszała nic więcej, ponieważ dotarła do celu i w uszach jej dudniło.

Zamknęła się w łazience i przesunęła po niej wzrokiem w poszukiwaniu czegoś do podparcia dodatkowo drzwi. Nie znalazła nic takiego, podeszła więc od razu do lśniącej białą muszli klozetowej. Gdy wydobyła gąbki zza paska, rozległo się pukanie. Serce podskoczyło jej do gardła, odwróciła się na pięcie z gąbką w każdej dłoni.

- Maleńka.

Wpatrywała się rozszerzonymi oczami w białe drzwi.

- T-tak?

- Muszę wyjść. Coś mi wypadło. Wątpię, żebym dał radę jeszcze dziś wrócić.

Odetchnęła z nieopisaną ulgą.

- Dobrze - zawołała.

- Kocham cię, maleńka.

- Ee... Ja ciebie też.

Napięcie opuściło jej ciało, kolana ugięły się pod nią z wrażenia. Przysiadła obok wanny, w obu dłoniach wciąż ściskając gąbki. Oparła głowę na kolanach i przysłuchiwała się cichnym krokom

**Eda.**

**Wszystko dzięki telefonowi, pomyślała. Uratowana przez dzwonek.**

**Płakała na pogrzebie. Przystrojona liliami trumna, rozpacz malująca się na twarzach rodziców i dwóch sióstr Lisy, płacz setek żałobników wypełniających kościół łamały jej serce. Bennett, którego przedstawiła jako kolegę z pracy, stał obok w ławce nieporuszony, a ona szlochała przejmująco. Zgadzała się ze słowami księdza: to okropnie smutne, kiedy młode pełne obietnic życie zostaje tak brutalnie ucięte. Świadomość, że stało się to przez nią, była nie do zniesienia.**

**Po pogrzebie wmieszała się w tłum rodziny i przyjaciół Lisy. Niektórzy z nich byli również jej przyjaciółmi ze studiów. Wciąż przepełniona żalem, ledwie wydobywała z siebie słowa.**

**Nie miało to znaczenia, ponieważ i tak nikogo z nich nie pamiętała. Miała uczucie, jakby znalazła się w jakimś równoległym świecie. Niektóre twarze - kilka osób z klubu studenckiego - wydawały się mgliście znajome. Wszyscy inni, nawet kobiety w jej wieku, które rzucały jej się z płaczem w ramiona, najwyraźniej dobrze ją znając, wydawały się zupełnie obce.**

**Nikt się nie zorientował. Przytuliła się i płakała w odpowiednich momentach, prowadziła zdawkowe rozmowy, zachowywała się, jakby była na swoim miejscu. Ale nie była. Nie była.**

**Straszne, surrealistyczne wrażenie.**

**Jej umysł znów nie działał jak należy.**

**Była wyczerpana, kiedy wsiadali z Bennettem, jej milczącym cieniem, do samolotu lecącego z powrotem do Waszyngtonu. Katharine wyciągnęła pewne wnioski ze swojej sytuacji: cokolwiek się działo, miało związek z pracą i Edem. Nie potrzebowała tej pracy aż tak bardzo, a narzeczony ją przerażał. Pora stracić pracę i faceta. A potem umówić się na konsultację psychiatryczną. Ponieważ niewątpliwie w jej psychice zaszły niepokojące zmiany.**

**Na lotnisku National czekał na nich Starkey. Katharine spojrzała na niego i poczuła, że się dusi. Czowała ból w piersiach, musiała walczyć**



o każdy oddech. Wbiła paznokcie w dłonie, by opanować atak paniki. W głowie kłębiło jej się tysiące myśli. Starła się zachować spokojny, obojętny wyraz twarzy.

Wsiadła do mercedesa, którym przyjechał po nich Starkey. Bennett zamknął za nią drzwiczki. Poczowała się niczym zwierzę schwytane w potrzask.

Nie chciała ich więcej oglądać. Ani Eda. Problem w tym, że nie pozwoli jej tak po prostu odejść. Zbyt głęboko w tym wszystkim siedziała.

- Chcę pojechać do domu - odezwała się z tylnego siedzenia, kiedy Starkey zmienił pas, by skręcić w lewo i zorientowała się, że jadą z powrotem do służbowego mieszkania w centrum. - Potrzebne mi świeże ubrania.

Starkey i Bennett wymienili spojrzenia. Potem Bennett wzruszył ramionami, a Starkey popatrzył na nią w lusterku.

- Nie ma sprawy - odparł, wracając na poprzedni pas. Po chwili jechali w stronę Starego Miasta.

Zegar na desce rozdzielczej wskazywał dwudziestą trzydzieści, kiedy parkowali na jednym z miejsc dla odwiedzających obok garażu. We wtorek, w sierpniu na Starym Mieście wciąż roiło się od turystów. Ściemniało się dopiero o dziesiątej, a długie złote wieczory były najprzyjemniejszą porą dnia. Przystawał doskwierać żar lejący się z nieba, a nadal było przyjemnie ciepło. Główne ulice pękały w szwach od turystów, a na bocznych alejkach i w ogródkach wokół garaży kręcili się sąsiedzi. Jedni rozpalali grille, inni bawili się z dziećmi, wyprowadzali psy albo wynosili śmieci. Odgłosy beztrudnej zabawy nieprzyjemnie kontrastowały z samopoczuciem Katharine. W powietrzu unosił się zapach pieczonego mięsa. Zmysł powonienia niewątpliwie sprawował się coraz lepiej. Katharine poczuła głód. W samolocie prawie nie tknęła posiłku.

Na razie jednak mogła zapomnieć o jedzeniu. Wyjęła z torebki klucze od garażu, otworzyła drzwi, minęła swój samochód - dzięki Bogu, stał tam - i poszła do tylnego wejścia. Ogródki sąsiadujące z jej podwórkiem były puste. Wiewiórka na klonie wydała z siebie

oburzone fuknięcie, prawdopodobnie w kierunku golden retrievera na końcu alejki. Starkey i Bennett pilnowali każdego jej kroku. Mimowolnie rzuciła spojrzenie w stronę domu Dana. Zasłony były zasunięte. Ani śladu jego obecności.

Poczuła pulsowanie w głowie. Nie powinna myśleć o Danie.

Otworzyła nowe drzwi, starając się nie dopuszczać do siebie obrazu Lisy umierającej dokładnie w miejscu, które mijiała. Przeszła po tych przeklętych kuchennych płytkach i ruszyła po schodach na górę.

- Zanim zrobię cokolwiek innego, wezmę prysznic

- poinformowała swoje bliźniacze cienie o nieprzeniknionych obliczach. - Może poczekacie w salonie? Zejdę do was, kiedy się umyję i przebiorę.

Popatrzyli po sobie. Starkey wzruszył ramionami i przeszli obaj do salonu. Katharine ruszyła po schodach, tłumiąc westchnienie ulgi. Nie miała zamiaru brać prysznic; myła się rano. Nie będzie się też przebierać; nie ma na to czasu. Poza tym czarny garnitur od Armaniego z białą podkoszulką i półbutami był bardzo wygodny. Mogła zdjąć marynarkę i strój stawał się bardziej codzienny. A mając ją na sobie, mogła pójść wszędzie. Był to ładny strój na każdą okazję. W sam raz na ucieczkę.

Bo to właśnie planowała. Gdyby została, musiałyby mieć do czynienia z Edem. Nie będzie zadowolony, kiedy go porzuci, ale trudno. Zmieniła się. Być może dlatego, że otarła się o śmierć. Jej związek z Edem należał do przeszłości.

Nigdy więcej, w żadnych okolicznościach nie pójdzie już z nim do łóżka. Sam pomysł przyprawiał ją o dreszcz obrzydzenia. Wraz z Edem prawdopodobnie straci pracę; na pewno nie będzie chciał, żeby dalej była jego osobistą asystentką. Poza tym spędzenie choćby jednego dnia więcej na wykonywaniu poleceń - czyichkolwiek - wydawało się ponad jej siły. Nie tego pragnęła od życia. No i ktoś próbował ją zabić. Bez Starkeya i Bennetta stanie się bezbronna, nie ma sensu się oszukiwać. Już dwa razy zetknęła się ze śmiercią. Do trzech razy sztuka?

Postanowiła skorzystać z prostego oczywistego rozwiązania, na które wpadła zaraz po odzyskaniu przytomności w szpitalu: wsiąść w samochód i odjechać jak najdalej.

Chwyliła czystą bieliznę i świeżą błękitną bluzkę z krótkim rękawem, wcisnęła wszystko do torebki razem z butami - stukanie obcasami podczas ucieczki nie należy do najlepszych pomysłów - i zeszła cichaczem po schodach.

Słyszała włączony telewizor i widziała jego odbicie w szkle obrazka w holu. Zakładała, że Starkey i Bennett siedzą na kanapie. Wstrzymała oddech. Dygotała ze strachu przy każdym kroku, schodząc na dół z oczami wlepionymi w drzwi do salonu. Telewizor grał bardzo głośno, oglądali mecz. Bardzo dobrze. Z nerwami napiętymi jak postronki przemknęła bezszelestnie do pustej kuchni. Przebiegła przez nią niczym krab po gorącym piasku. Z sercem w gardle wśliznęła się do pralni, ryzykując przedtem spojrzenie przez ramię. Nic. Uchyliła tylne drzwi. Każde skrzypnięcie wydawało się głośne jak krzyk.

Nic się nie wydarzyło. Nikt nie przyszedł. Zamknęła ostrożnie za sobą drzwi, zbiegła po schodach i puściła się biegiem do garażu, cały czas rzucając za siebie trwożliwe spojrzenia. Miała już w rękę przygotowane kluczyki. Łagodny złoty wieczór, głosy szczęśliwych ludzi i wspaniałe aromaty nic jej nie obchodziły. Chciała tylko się stąd wydostać.

Już prawie.

Z bijącym nierówno sercem, oddychając zbyt szybko, otworzyła drzwi garażu, wsiadła do samochodu i drżącą dłonią włożyła kluczyk do stacyjki. Włączyła silnik i już jej nie było.

O mój Boże, udało się. Udało jej się!

Nie mogła jechać tak szybko, jakby chciała, ze względu na zbyt duży ruch. Alejka była wąska, a chodnik nierówny. Dzieciak odbijający piłkę tenisową o drzwi pobliskiego garażu nie zasłużył na śmierć pod kołami. Podobnie jak starsza pani popychająca wózek wyładowany roślinami w stronę ogródka sąsiadów. Katharine pociła się mimo klimatyzacji, ścisnęła kurczowo kierownicę, ale lekko tylko

naciskała pedał gazu. Póki nie wyjechała z tej przeklętej alejki. Kiedy wreszcie dotarła do Wilkes, musiała czekać całą wieczność na możliwość włączenia się do ruchu. Potem zagryzając wargi, by zachować spokój, skręciła w lewo ku zjazdowi na autostradę. Przejechała zaledwie pół przecznicy i utknęła w korku. Czerwony autobus miejski poruszał się leniwie, przystając co chwila pod jakimś sklepem, by wpuścić i wypuścić ludzi. Za autobusem ustawiła się kawalkada samochodów przesuających się do przodu w ślimaczym tempie i przystających, kiedy autobus się zatrzymywał. Znalazła się w tej właśnie kawalkadzie bez nadziei na wydostanie się. Sąsiedni pas był równie zatłoczony. A chodnik - tak, rozważała przez chwilę przejechanie chodnikiem - roił się od turystów robiących zakupy, ludzi siedzących w restauracyjnych ogródkach i trzydziestoosobowej wycieczki.

Jeśli korek nie zniknie, Katharine dostanie zawału serca i sama stanie się atrakcją turystyczną jako pokutująca dusza.

Serce jej dudniło, żołądek zacisnął się boleśnie, lecz niewiele mogła poradzić. Musiała poruszać się w takim tempie, jakie było możliwe. Nawet nie dotykała klaksonu.

Po chwili sznur samochodów przystanął. Autobus majestatycznie skręcił w prawo na skrzyżowaniu.

Ktoś zastukał w szybę jej samochodu. Omal nie przebiła głową dachu. Patrzyła prosto w oczy Bennetta.

## Rozdział 19

Katharine omal nie zemdląa, serce zamarło jej w piersi.

Przyłapana na gorącym uczynku. Boże, musi prędko coś wymyślić.  
Co powiedzieć?

Mogła odmówić opuszczenia szyby i po prostu docisnąć pedał gazu. Zdawała sobie jednak sprawę, że ma niewielkie szanse na ucieczkę z Bennettem, Starkeyem, Edem i całym biurem CIA tuż za plecami. Mogła wyskoczyć z samochodu i poszukać ratunku wśród ludzi. Poprosić o ochronę przed bandziorami, którzy pracują dla agencji rządowej. Ale jej prześladowcy wyciągną odznaki i przekonają ewentualnych sprzymierzeńców o niepoczytalności Katharine. Podobnie będzie z policją. Agencje były wyżej w hierarchii organów ścigania. Może zyskałaby nieco czasu, składając zeznania na temat śmierci Lisy, jednak Ed zgłosiłby się po nią niedługo potem. Nie miała co do tego złudzeń.

Zostawał Dan. Poczciwy sąsiad już raz jej pomógł. Ale... Dan jest lekarzem, nie poradzi sobie w starciu z CIA. Na samą myśl o schronieniu się u niego poczuła pulsowanie w skroniach. Obiecała nie mieszać go więcej w swoje problemy. Gdyby Ed dowiedział się o jego istnieniu, Dan znalazłby się w wielkim niebezpieczeństwie.

Katharine musiała spojrzeć w oczy okrutnej prawdzie: była zdana na własne siły, spryt i wolę przetrwania.

Bennett zastukał mocniej w okno, twarz wykrzywił mu grymas gniewu.

Gra rozpoczęta.

Katharine opuściła szybę.

- Co? - warknęła ze złością.

Popatrzył na nią zdziwiony. Z zadowoleniem stwierdziła, że jej opryskliwy ton wywołał oczekiwaną reakcję. Po kilku sekundach Bennett odzyskał panowanie nad sobą.

- Znów próbuje pani nam zwiać?

- Pewnie, że tak, do cholery. Od trzech dni muszę was znosić. I

wiecie co? Potrzebuję przestrzeni. - Sznur samochodów powoli ruszył do przodu. Dzięki Bogu. Zaczęła zamykać okno. - Spadajcie.

- Proszę poczekać.

Bennett wsadził rękę do środka, nie pozwalając jej dosunąć szyby. Zwalczyła pokusę, by go zignorować. Zmiażdżenie mu palców nie byłoby mądrym posunięciem. Jechała powoli, a Bennett szedł za samochodem, opierając dłoń na krawędzi szyby.

- Odejdź natychmiast! - krzyknęła ostro Katharine.

- Ale... - Wydawał się skonsternowany. - Dokąd pani jedzie?

- Jeśli koniecznie musisz wiedzieć: po kota. Słuchaj, wróć za pół godziny. Co ty na to? Chcę pobyć przez chwilę sama, pomyśleć. - Rzuciła mu zirytowane spojrzenie. - Zamykam okno.

- Ale...

Przyspieszyła i przycisnęła mocniej przycisk zasuwający szybę. Bennett wyrwał rękę i patrzył za nią ze zmarszczonym czołem, stojąc na środku ulicy. Sześć samochodów za nią jechał czarny mercedes. Dopiero teraz go zauważyła.

Odetchnęła głęboko i minęła skrzyżowanie. Bennett podszedł do mercedesa i zastukał w maskę, po czym zajął miejsce po stronie pasażera.

Udało jej się zniknąć im na chwilę z oczu za wzgórzem. Zbliżała się do ronda. Przez chwilę zamarzyło jej się zostawienie mercedesa daleko w tyle i rajd na zachód, aż do Saint Louis albo nawet do Kalifornii. Mogłaby zacząć nowe życie, za dala od tego koszmaru.

Jednak wiedziała, że Ed jej na to nie pozwoli. Nie w ten sposób. Musi wszystko dobrze zaplanować, a potem się ukryć. Przechytrzyć go. Nadal będzie udawać zniecierpliwioną brakiem prywatności, niezbyt odbiegając od prawdy, pojedzie po Muffy i zaprosi do siebie Cindy. Zamówią pizzę i obejrzą jakiś film. Jutro środa. Normalny dzień pracy. Ona miała wolne, ale Ed idzie na siódmą. Nie będzie miał ochoty zarywać nocy.

Może uda jej się uniknąć zostania z nim sam na sam, a jutro znów spróbuje się wymknąć. Musi tylko zachować zimną krew i nie wzbudzać podejrzeń.



Korek wcale nie zelżał, ku jej rozczarowaniu. Po chwili zorientowała się, że tym razem spowodował go prezydent Stanów Zjednoczonych. Przejeżdżał przez South Alfred Street w otoczeniu kordonu ochrony i policji blokującej ruch. Zwyczajny dzień w stolicy kraju.

Zerknęła we wsteczne lusterko i zobaczyła mercedesa zjeżdżającego ze zbocza wzgórza. Nie uda się ich zgubić. Pojedzie po kota. Gdyby tylko potrafiła sobie przypomnieć, gdzie mieszka jej dobra koleżanka Cindy.

Uraz głowy zaczynał być już bardzo, bardzo męczący. Cóż jednak mogła poradzić. Na szczęście wpadła na pewien pomysł: miała numer telefonu Cindy wpisany w telefon komórkowy. Wystarczy wprowadzić go do systemu GPS, by poznać adres.

Muffy, jadę po ciebie, pomyślała, sięgając po telefon. Po kilku minutach, kierując się instrukcjami systemu nawigacyjnego w samochodzie, opuściła Stare Miasto i wjechała w bardziej nowoczesne okolice. Jak się okazało, jej koleżanka mieszkała w pobliżu Franconii, na przedmieściu z lat pięćdziesiątych, gdzie dominowały domy z kamienia lub czerwonej cegły. Małe trawniki wypełniały dziecięce zabawki, plastikowe baseny, namioty, huśtawki. Dzieci były wszędzie.

Katharine zdołała przywołać w pamięci jedynie niewyraźny obraz Cindy. Wiedziała, że znają się dobrze i przyjaźnią. Nic poza tym. Nie wiedziała, czym się zajmuje, jak i kiedy się poznali, czy koleżanka ma rodzinę i dzieci. Poczula nieprzyjemny ucisk w żołądku.

Dom Cindy był trzeci po lewej stronie Woodland Street. Skromny, stylizowany na lata pięćdziesiąte, z dużym frontowym oknem i dobudowanym garażem. Katharine wjechała na podjazd, zaparkowała pod zamkniętymi drzwiami garażu i obejrzała się za siebie. Oczywiście zobaczyła wyjeżdżającego zza rogu mercedesa.

Zauważyła, że ma spocone dłonie. Była bardzo zdenerwowana. Świadomość, iż Starkey i Bennett śledzą ją na polecenie Eda, zaczynała ją coraz bardziej deprymować. Zdjęła zakiet, włożyła buty i zapukała do drzwi. Po drodze próbowała się dodzwonić do Cindy,

ale włączała się sekretarka. Jednak była przekonana, że ktoś jest w domu, ponieważ widziała przez okno włączony telewizor nastawiony na kanał z kreskówkami.

- Cześć - pozdrowiła nieco krępego mężczyznę około trzydziestki, który otworzył jej drzwi. Był średniego wzrostu, miał krótkie brązowe włosy i okrągłą, sympatyczną twarz. Był ubrany w krótkie spodenki i koszulkę z krótkim rękawem, do tego klapki. Zza jego nogi wyglądał wielkooki blondwłosy maluch w pieluszce i różowej bluzeczce. - Jest Cindy?

- W szpitalu. Lindsey wreszcie rodzi.

Po tym, jak zaprosił ją do środka, zorientowała się, że dobrze się znają. Zgadła, że patrzy na męża Cindy i jej córeczkę. Mężczyzna najwyraźniej zakładał, że Katharine wie wszystko na temat Lindsey i jej dziecka, ona zaś nie miała pojęcia, o kim mowa.

- Wreszcie - powtórzyła, uznawszy to za najbezpieczniejszą reakcję. W salonie królował żółty kolor. Na kanapie leżał żółty dziecinny kocyk i poduszka. Na dębowym stoliku stała do połowy opróżniona butelka z kaszką.

- Słyszałem, co cię spotkało. Strasznie mi przykro. Właśnie dlatego wyprowadziliśmy się na przedmieścia, żeby uniknąć takich sytuacji.

- Dzięki. Tak, to okropne.

Zamykając drzwi, Katharine zauważyła, że mercedes zaparkował po drugiej stronie ulicy. Poczuli się niewyraźnie. Cindy była w szpitalu i nie wiadomo, kiedy wróci. Szanse na wykorzystanie jej jako pretekstu, by uniknąć intymnych chwil z Edem, nie przedstawiały się najlepiej. Będzie musiała pomyśleć o czym innym.

- Przyjechałaś po kota? O, tam jest. Muszę ci powiedzieć, że Cindy przepada za tym stworzeniem.

Katharine popatrzyła na stojącego w drzwiach - prowadzących prawdopodobnie do sypialni - zwierzaka. Muffy był wielkości beagle'a, miał białe puszyste futerko sięgające prawie do ziemi oraz szare łapki, uszy, ogon i pyszczek. Z szarej sierści na mordce spoglądały na Katharine błękitne oczy.

- Cześć, Muffy - przywitała się. Zaskoczyła ją wielkość kota.

Oczywiście musiała po prostu zapomnieć. Podobnie jak wiele innych rzeczy. Gardło jej się zacisnęło. Coraz więcej było tych brakujących fragmentów w jej życiu.

- Klatka, jedzenie i cała reszta są w kuchni - poinformował ją pogodnie mąż Cindy. Opadł na kanapę, a mała dziewczynka wdrapała mu się na kolana. Po chwili dziecko umościło się wygodnie i oparte o jego ramię, przykryte kocym, popijało kaszkę i oglądało razem z tatą telewizję.

Katharine zorientowała się, że musi sobie radzić sama. W porządku.

Podeszła do kota, który zaczął na nią uprzejmie, po czym odwrócił się z godnością i odmaszerował dostojnie, z podniesionym wysoko ogonem, do kuchni. Małego, przytulnie zagraconego pomieszczenia. Kocia klatka stała obok drzwi do ogrodu. Tam też znajdowała się miseczka z suchą karmą i druga, z wodą. Na klatce leżało opróżnione już prawie opakowanie z kocim jedzeniem.

Katharine wypłukała naczynia, postawiła klatkę i wszystkie akcesoria na kuchennym blacie. Włożyła miski do środka. Wciąż zostało sporo miejsca dla kotki. Postanowiła nie ryzykować wynoszenia Muffy na rękach albo pozwolenia jej... A może jemu?

Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Nie wiedziała, jakiej płci jest jej własny kot! Jak można zapomnieć coś takiego? Niedobrze. A więc jej zwierzak miał nieokreśloną płć. Mniejsza z tym. Nie chciała, żeby siedział luzem w samochodzie. Uznała to za zbyt niebezpieczne. Miała już wszystko przygotowane, zaczęła się rozglądać za kotem. Znalazła zwierzaka pod stołem.

- Chodź, Muffy. Chodź tu, kiciu.

Została nagrodzona pogardliwym machnięciem ogona.

- Daj spokój, Muffy - spróbowała ponownie. Ukucnęła. Próbowwała podkraść się niepostrzeżenie, co było w oczywisty sposób niewykonalne, skoro kot nie spuszczał z niej ślepi. - Kici, kici.

Zwierzak zerwał się i popędził do sypialni, stukając pazurkami po drewnianej podłodze.

- Cholera - Katharine patrzyła w ślad za nim. Nie wyglądał na

stęsknionego.

- Pewnie schowała się pod łóżko - zawołał z salonu mąż Cindy. -  
Chowa się tam przed Sammy Lou.

Katharine odetchnęła.

- Dzięki - odkrzyknęła.

Poznała imię małej dziewczynki i płęć swojego kota. Przydatne informacje. Odnalazła główną sypialnię. Spod łóżka wytrzeszczała na nią ślepia kotka. Ściany pokoju były pomalowane na kremowy kolor. Wielkie łóżko zdobiła różowo-kremowa kapa z sięgającymi do drewnianej podłogi frędzlami. Katharine przewidująco zamknęła za sobą drzwi, po czym przykucnęła i uniosła brzeg narzuty. Napotkała spojrzenie błękitnych oczu. O ile prawidłowo odczytywała koci język ciała, Muffy nie wysyłała przyjacielskich sygnałów.

Jej właścicielka podzielała ten brak ciepłych uczuć. Gdyby nie Starkey i Bennett czekający na zewnątrz, aż pojawi się z kotem, pozwoliłaby zwierzakowi zostać dłużej z rodziną Cindy. Jednakże z powodu tamtych dwóch potrzebowała Muffy.

- Chodź, kiciu - Katharine ponowiła próbę, nadając głosowi najbardziej entuzjastyczne brzmienie, na jakie ją było stać. - Chodź, Muffy.

Kotka machnęła ogonem. Katharine wyciągnęła rękę, by po chwili ją cofnąć. Zakłęła cicho i zaczęła się wczołgiwać pod łóżko. Po raz pierwszy ucieszyła się ze swojej nowej figury. Inaczej by się nie zmieściła. Łóżko było niskie. Kotka wpatrywała się w nią, nie ruszając z miejsca. Uskoczyła w ostatniej chwili przed wyciągniętą dłonią właścicielki.

- Nie - krzyknęła Katharine i rzuciła się za nią jak krokodyl za kaczką. Udało jej się chwycić Muffy za obrożę. Kotka odwróciła się i syknęła jadownicie.

- W porządku, Muffy. Dobra kicia.

Katharine ani myślała jej puszczać. Na szczęście zwierzak najwyraźniej nie miał zamiaru naprawdę atakować.

Wbijał tylko pazury w podłogę i szorował brzuchem po deskach, a Katharine z uporem, centymetr po centymetrze przyciągała go do

siebie. Wreszcie udało jej się wyciągnąć kotkę spod łóżka, co zostało skomentowane kolejnym dzikim syknięciem. Z obroży zwisała plastikowa plakietka. Katharine pomyślała, że warto by się upewnić, czy to rzeczywiście jej kot, ponieważ Muffy zdawała się ją pamiętać nie lepiej niż ona kotkę. Jednak uznała, że nie ma sensu zawracać sobie tym głowy, wiedziała, co przeczyta na plakietce. Muffy należy do niej. Najwyraźniej przechodzą kryzys relacji.

Katharine westchnęła i pogłaskała kotkę, otrzymując w zamian oburzone fuknięcie. Zniosła ją do kuchni i wepchnęła, opierając się z całych sił, do klatki. Po czym z klatką w jednej dłoni i paczką karmy w drugiej, ruszyła w stronę wyjścia.

- Wszystko wzięłaś? - spytał szeptem mąż Cindy, kiedy zajrzała do salonu. Sammy Lou zasnęła mu na rękach.

- Tak, dzięki. Podziękuj ode mnie Cindy. Kiwnął głową, a Katharine po cichu wyszła.

Na zewnątrz otulił ją ciepły zmierzch. W domach paliły się światła. W powietrzu unosił się zapach świeżo skoszonej trawy. Świetliki latały tam i z powrotem, mrugając niczym lampki choinkowe. Śpiewały świerszcze. Brzęczały inne owady. Jakieś dzieci bawiły się nieopodal hałaśliwie w chowanego, kobieta stała na ganku jednego z domów, wołając kogoś o imieniu Eric. Prawdopodobnie syna.

Mercedes wciąż czekał po drugiej stronie ulicy. Czas wcielić w życie alternatywny plan. Problem w tym, że nie miała żadnego.

Patrzyła na czarną sylwetkę samochodu i czuła na sobie wzrok siedzących w nim mężczyzn, choć nie widziała ich przez ciemne szyby. Opanowała drżenie i szybko załadowała klatkę z Muffy na tylne siedzenie, po czym usiadła za kierownicą. Uruchomiła silnik, zapaliła światła i ruszyła w kierunku Woodland Drive. Stamtąd skręciła na północ ku Staremu Miastu.

Nie udało jej się tam dojechać. Drogę zajechał jej samochód wyjeżdżający z bocznej uliczki. Właśnie dojeżdżała do ostatniego znaku „stop” przed Alexandrią. Czekając ją jeszcze jakieś piętnaście minut jazdy opustoszała szosa, bardzo malowniczą w dzień, lecz,

trzeba przyznać, nieco ponurą w nocy. Oczywiście z Batmanem i Robinem ochraniającymi tyły nie musiała się obawiać przypadkowych złodziei ani porywaczy.

Szczęściara z niej.

Na początku nie zwróciła szczególnej uwagi na samochód. Po chwili jednak zauważyła, że wielki ciemny sedan nie rusza się z miejsca, mimo że droga jest wolna. Wokół panowały ciemności, ciepłe światła latarni ulicznych zostały daleko w tyle, noc była bezksiężycowa. Jedyne trzy pary samochodowych reflektorów oświetlały drogę, pobocza i pozostałe pojazdy.

Katharine rozejrzała się wokół, chcąc zrozumieć, dlaczego sedan wciąż nie jedzie.

Nagle usłyszała strzał. Podskoczyła, serce w niej zamarło, instynktownie odwróciła głowę w kierunku, skąd dobiegł dźwięk. Na tylne siedzenie opadł deszcz pokruszonego szkła. Boczna szyba z tyłu, od strony pasażera, przestała istnieć. Katharine patrzyła, nie wierząc własnym oczom. Do środka wsunęła się duża opalona męska dłoń i nacisnęła guzik otwierający przednie drzwi, po stronie pasażera. Tak po prostu.

Wynoś się, chciała wrzeszczeć, lecz było już za późno. Rozejrzała się gorączkowo wokół, napięła mięśnie nóg, by nacisnąć pedał gazu, ale samochód z przodu zagradzał jej drogę. Mężczyzna usadowił się na siedzeniu obok niej i zamknął za sobą drzwi. Starkey.

Już miała odetchnąć z ulgą, kiedy wyciągnął pistolet i w nią wycelował. Patrzyła na niego rozszerzonymi z niedowierzania oczami.

- Pan Barnes chce panią widzieć - usłyszała.



## Rozdział 20

Co ty sobie, do cholery, wyobrażasz? - wrzasnęła ze złością Katharine, uderzając otwartymi dłońmi w kierownicę. - Wybiłeś szybę!

W twarzy Starkeya nie drgnął ani jeden mięsień od chwili, kiedy wsiadł do samochodu.

- Powiedziałem, że pan Barnes chce panią widzieć.

- To jego problem. - Wóz blokujący drogę wciąż nie odjeżdżał. Jego tylne światła jarzyły się czerwonym blaskiem w mroku niby ślepią krwiożerczej bestii. Teraz to i tak bez znaczenia; nigdzie nie pojedzie. - Wsiadaj. Nie chcę cię tutaj. I przyślę ci rachunek za szybę.

- Chyba pani nie rozumie. Pan Barnes polecił mi panią przywieźć. Za wszelką cenę. - Znów postraszył ją bronią.

- A więc mi grozisz! Wynoś się z mojego samochodu! Kątem oka zobaczyła błysk światła. Z ciemnego sedana, który zajął jej drogę, od strony pasażera wysiadł jakiś mężczyzna i szedł w ich stronę.

- Może pani pojechać z nim, jeśli nie ma ochoty prowadzić. - Starkey wskazał brodą mężczyznę zagląającego przez okno.

Poczuła dreszcz grozy, uświadomiwszy sobie, że drugi samochód został przysłany przez Eda, by pomóc Starkeyowi i Bennettowi w schwytaniu jej. Tym razem nie zamierzał pozwolić, aby się wymknęła. Nowo przybyły był jeszcze jednym krótko ostrzyżonym typem w garniturze. Zaczynała ich nienawidzić.

- Proszę mi wierzyć na słowo, nie chciałyby pani znaleźć się w jego towarzystwie.

Nieznajomy zastukał w szybę i Starkey ją opuścił. Był starszy od Starkeya i Bennetta, przed pięćdziesiątką, jego twarz kojarzyła się Katharine z buldogiem.

- Wszystko pod kontrolą? - spytał.

- Kim pan jest? - Katharine, choć śmiertelnie przerażona, nie chciała stracić kontroli nad sytuacją. Miała złe przeczucia.

Mężczyzna uśmiechnął się do niej, w kącikach małych brązowych oczu pojawiły się zmarszczki. Przeszył ją dreszcz.

- Hendricks, pani Lawrence. Carl Hendricks. Miło mi panią poznać.

Nie mogła powiedzieć tego samego, ale zdobyła się na kurtuazyjne kiwnięcie głową.

- Jak będzie? - spytał Starkey.

Zrezygnowała z nadziei na ucieczkę. Prowadząc, przynajmniej będzie miała jakiś wpływ na sytuację.

- Poprowadzę.

Starkey skinął głową Hendricksowi, by usiadł z tyłu.

- Co to? - Miał na myśli klatkę z Muffy na siedzeniu za Katharine.

- Mój kot.

- Lubię koty. O, jaki duży. I ładny. - Hendricks przesunął klatkę.

Rozległ się chrzęst i Katharine zdała sobie sprawę, że postawił ją na potłuczonym szkle. - Cześć, kotku. Kici, kici.

Wsunął palce przez kraty, żeby pogłaskać Muffy. Ze środka rozległ się dziki syk i mężczyzna z przekleństwem na ustach cofnął dłoń.

Katharine prawie się uśmiechnęła.

Samochód przed nimi wreszcie ruszył, kierując się w stronę Alexandrii. Starkey dał znak i pojechali. Za nimi podążał mercedes prowadzony przez Bennetta. Czterech agentów, pomyślała Katharine (o ile Hendricks i kierowca sedana rzeczywiście byli agentami), przeciwko jednej asystentce.

- Dokąd jedziemy? - Usiłowała sprawiać wrażenie pewnej siebie.

- Przekona się pani. - Starkey wzruszył ramionami. Niezbyt krzepiąca odpowiedź.

- Nie podoba mi się to wszystko.

- Proszę się poskarżyć szefowi.

Problem w tym, że to Ed wydawał polecenia. Gdyby nie zgodził się na użycie siły, Starkey i Bennett nie użyliby jej. Zresztą nie ich tak naprawdę się obawiała, lecz Hendricksa. Niepokoił ją, był nowy i nie zrobił na niej dobrego wrażenia. Poza tym zdała sobie sprawę, iż odstaje od innych agentów CIA, zarówno pod względem sprawności fizycznej jak i aury profesjonalizmu. Kim wobec tego naprawdę był?

Zaciskała do białości palce na kierownicy. Przemierzała pogrążone w mroku wiejskie tereny Wirginii, w jej głowie kłębiły się tysiące pytań i czuła się, jakby spadała. Przez rozbitą szybę wtargnął powiew świeżego powietrza, niosąc ze sobą zapach świeżo skoszonego zboża i rozwiewając jej włosy. Od czasu do czasu do samochodu wpadał jakiś owad. Nikt się nie odzywał. Katharine pozostawała ślepa na pola kukurydzy oraz tytoniu falujące jak czarny ocean po obu stronach drogi, nie widziała skrzyżowań ani świateł mijających ich sporadycznie pojazdów. Ed nie wahał się korzystać czasem z usług ludzi spoza agencji. Hendricks mógł być właśnie jednym z nich. Poczowała zimny dreszcz. Wciąż bała się Eda.

Na horyzoncie migotały już jasne światła Alexandrii, jednak sedan skręcił w lewo, oddalając się od nich. Katharine popatrzyła tęsknie w stronę miasta, ale Starkey kazał jej jechać za sedanem. Najwyraźniej nie wracali do domu. Ani w żadne inne miejsce, gdzie mogłaby spowodować stłuczkę i czekać na patrol.

Jechali kolejne dwadzieścia minut, podczas których Katharine umierała z niepokoju. Hendricks prowadził cichy monolog adresowany do kotki. Minęli znak z napisem „McLean, 3 km”. Poczowała przypływ nadziei. Z pewnością jadą do mieszczącej się tam siedziby CIA. Mogło być gorzej. Nic jej się nie stanie na oczach dziesiątek pracowników agencji.

Tuż przed wjazdem do miasta, tak blisko ludzi, że widziała już żółto-czerwony szyld McDonalda, sedan wjechał na opuszczony parking z używanymi samochodami. Wielki neon nad bramą oznajmiał „Używane samochody Dużego Jima”. Nie był włączony, najwyraźniej nie przyjmowano już klientów. Nic dziwnego - o jedenastej wieczór. Wielkie halogenowe lampy oświetlały rzędy samochodów, każdy miał przyklejoną cenę. Większość aut wyglądała, jakby ich miejsce było na złomowisku, ale nie to martwiło Katharine. Opuszczony parking - to nie wyglądało dobrze. Żołądek jej się ścisnął, kurczowo trzymając kierownicę, popatrzyła na Starkeya.

- Chyba żartujesz?

- Wjedź - polecił ostro.

Miał nieprzejednany, zacięty, nieprzyjazny wyraz twarzy. Hendricks pochylił się nad nią groźnie. Musiała stosować się do poleceń, żeby nie pogorszyć swojego położenia. Wciąż mogła utrzymywać, że pojechała tylko po kota. Żaden z nich, nawet Ed, nie potrafił czytać w myślach. Nie udowodnią jej, że próbowała uciec. Postanowiła blefować, cokolwiek ją czeka. Serce wyskakiwało jej z piersi, z trudem kontrolowała oddech, nie chciał okazywać lęku. A bała się śmiertelnie.

Wjechała na parking za sedanem. Minęli blaszaną przyczepę pełniącą funkcję biura. Żwir zachrząścił pod kołami. Na końcu parkingu stał niski, pogrążony w cieniu ceglany budynek z trzema dużymi białymi drzwiami garażowymi i jednymi mniejszymi, wysokości człowieka. Zobaczyła nad nimi wielki napis „Naprawa”. Budynek z trzech stron otaczały drzewa.

Przed garażem parkowało kilka samochodów bez tabliczek z cenami. Katharine nie sądziła, by wymagały naprawy. Zaschło jej w gardle ze zdenerwowania. Na pewno nie przyjechali tu na wymianę oleju. Nie podobało jej się to miejsce. Sedan zatrzymał się za tamtymi samochodami i Starkey dał jej znak, by zrobiła to samo.

Wysiadła z wozu i rozejrzała się na wszystkie strony. Nie zobaczyła nic prócz pól i lasów pogrążonych w ciemnościach za garażem i parkingiem ze zdezelowanymi autami przed nim. Byli zupełnie odcięci od świata. Nikt nie usłyszy krzyków, pomyślała zniecierpliwiona. Nie znaleźli się tu przez przypadek.

Starkey i Hendricks wysiedli. Z sedana wysiadł jeszcze jeden krótkowłosa mężczyzna w garniturze. Nadjechał mercedes i zaparkował za nimi. Katharine zerknęła przelotnie na Bennetta i przyjrzała się jeszcze raz budynkowi. Nie wyróżniał się niczym szczególnym, był taki sam jak tysiące innych betonowych garaży. W szparze pod drzwiami dostrzegła smugę światła. Ktoś był w środku. Prawdopodobnie Ed i jego ludzie.

Przełknęła głośno ślinę, opanowując impuls rzucenia się do ucieczki. Hendricks stał tuż za nią, czuła jego oddech na szyi, Starkey

nadchodził od strony samochodu. Podobnie jak Bennett. Czwarty mężczyzna czekał, aż do niego podejda. Złapałby ją w trzy sekundy.

Ponadto przepadłaby jej jedyna linia obrony: że wcale nie zamierzała uciekać.

- Chodźmy - odezwał się Starkey, biorąc ją pod ramię. Wyrwała mu się i ruszyła w stronę budynku z głową podniesioną wysoko do góry. Usłyszała żalosne miauknięcie.

- Muffy - zawołała i zatrzymała się gwałtownie. - Co z Muffy?

Starkey chwycił ją mocno za rękę tuż nad łokciem. Katharine spojrzała na niego wrogo, ale tym razem nie próbowała się wyrwać. Nie chciała zostać oficjalnie jego więźniem.

- Kot? - Pociągnął ją za sobą. - Kotu nic nie będzie.

- Tak, proszę się nie martwić - zapewnił Hendricks. - Lubię koty.

Zabrzmiało to złowieszczo. Starkey wyciągnął telefon.

- Jesteśmy - rzucił do słuchawki, słuchał przez chwilę, po czym odpowiedział: - Tak, już.

Schował telefon i wstukał kod otwierający drzwi. Weszli do środka.

Wnętrze wyglądało tak, jak należało się spodziewać: niczym wielki warsztat samochodowy. Znajdowały się w nim trzy stanowiska. Na jednym stał czerwony džip z uniesioną maską. Pozostałe dwa były puste. Nad głową mieli światła jarzeniówek. Podłoga była z gładkiego betonu, podobnie jak szare ściany. W rogu pracował głośno olbrzymi wiatrak, najwyraźniej ustawiony tam, by ożywić cyrkulację powietrza wpadającego przez okna pod sufitem. Jednak okna były zamknięte, a w ciepłym powiewie poruszającym jej włosy poczuła woń stęchlizny.

- Co to za miejsce? - spytała Starkeya, który prowadził ją ku metalowym drzwiom po lewej stronie.

Wzdrygnęła się. Sądziła, że zna już odpowiedź. Znajdowali się w tajnym biurze agencji, w miejscu, gdzie załatwiano się sprawy dyskretnie z dala od oczu innych pracowników. Prawdopodobnie rzeczywiście handluje się tu również samochodami, dzięki temu nikt nie zwraca uwagi na auta wjeżdżające o każdej porze dnia i nocy.



Gdzieś na terenie posesji - prawdopodobnie w piwnicy pod warszatem, ponieważ drzwi, które otworzył Starkey, prowadziły na schody w dół - agencja załatwiała swoje sprawy. Te, które należało przeprowadzić „po cichu”.

Szum wiatraka mógł stanowić doskonały zagłuszcacz uniemożliwiający przechwycenie rozmów prowadzonych półgłosem przez coraz czulsze aparaty podsłuchowe. Katharine poczuła przenikliwy chłód.

- Hej, może udałoby mi się kupić okazji jakieś autko? - odezwał się żartobliwym tonem Hendricks. - Dzieciak mojej dziewczyny kończy szesnaście lat.

Nikt nie odpowiedział. Nikt prócz Hendricksa nie miał nastroju do żartów. Ruszyli po metalowych schodkach. Katharine szła pierwsza. Stąpała ostrożnie, ponieważ stopnie były strome, a ona miała nogi jak z waty. Tuż za nią podążał Starkey, potem Bennett i Hendricks. Na końcu nieznamy mężczyzna, który przyjechał ostatni. U dołu schodów czekały kolejne metalowe drzwi. Z braku poręczy Katharine przytrzymała się chłodnej wilgotnej ściany, drogę oświetlała jedynie pojedyncza żarówka wisząca na kablu u szczytu schodów. Tutaj jeszcze mocniej pachniało stęchlizną.

Katharine wpatrywała się z trwogą w zamknięte drzwi przed sobą. Nie chciała wiedzieć, co ją czeka po drugiej stronie. Musiała zebrać całą odwagę, by przejść przez nie z podniesioną głową.

Weszli do nowoczesnego biura o gładkich beżowych ścianach i podłogą pokrytą pluszową szarą wykładziną. Naprzeciwko drzwi stał rząd czterech beżowo-szarych metalowych biur, każde wyposażone w komputer i telefon oraz wygodne krzesło. Roślina doniczkowa wyglądająca na zbyt lśniąca i zdrowa, by była prawdziwa, pięła się ku kasetonowemu sufitowi w rogu, obok drzwi wiodących do następnego pomieszczenia. Na ścianie przy wejściu wisiała ogromna mapa świata. Pod nią stała ciemnoniebieska kanapa i stolik do kawy z czasopismami.

Klimatyzacja działała aż nazbyt sprawnie i Katharine wołała wierzyć, że to z jej powodu ma gęsią skórę. Wciąż słyszała odległy



szum wiatraka. Nagle drzwi naprzeciwko stanęły otworem i ukazał się w nich Ed.

Serce jej zamarło, w gardle zaschło. Bezwiednie zacisnęła dłonie w pięści. Spróbowała nad sobą zapanować. Nie chciała okazać Edowi strachu.

- Cześć, maleńka - przywitał się z nią najzwyczajniej w świecie. - Przepraszam, że musiałem cię ściągnąć aż tu.

Nie miał na sobie marynarki, ale jego strój - biała koszula z długim rękawem, mimo upału, czerwony krawat i granatowe spodnie w prążki od garnituru - był nienaganny, a włosy starannie zaczesane do tyłu. Wyglądał świeżo i rześko, jakby była jedenasta rano, a nie wieczór.

- Czy to porwanie było naprawdę konieczne? - spytała lekko, mimo że nerwy miała napięte do granic wytrzymałości. Uśmiechnęła się, kiedy podszedł i pocałował ją w policzek. - Starkey - rzuciła pełne wyrzutu spojrzenie stojącemu obok niej z rękami założonymi na piersiach mężczyźnie - wybił mi szybę w samochodzie.

- Wstawimy nową. - Ed zerknął na Starkeya, który pozostał niewzruszony, i popatrzył na trzech pozostałych. Wziął Katharine pod rękę i pociągnął ją za sobą w kierunku drzwi, którymi wszedł. Omal się nie wstrząsnęła pod wpływem dotyku wilgotnej mięsistej dłoni. - Potrzebuję twojej pomocy. Chcę, żebyś coś zobaczyła.

Ed nie był wściekły, nie groził jej, nie okazywał wrogości. Czemu wobec tego wciąż dygotała w środku ze strachu? Instykt ostrzegał ją przed niebezpieczeństwem.

Weszli w wąski korytarz biegnący przez całą szerokość budynku. Ed otworzył drugie drzwi po prawej stronie i przytrzymał je, przepuszczając Katharine przodem. Nie doceniła uprzejmości.

Niewielkie jasno oświetlone pomieszczenie o białych ścianach i podłodze wyłożonej szarym linoleum wyglądało na laboratorium. Unosiła się tu woń spirytusu. Całą długość trzech ścian zajmowały metalowe stoły z wyposażeniem medycznym: tace z gazą i strzykawkami, pudełka z rękawicami chirurgicznymi, fiolki z płynami. Stał tam także komputer i leżały stosy akt. Przy

komputerze znajdowały się dwa wsunięte pod stół niebieskie plastikowe krzesła. Na środku pokoju było jeszcze jedno biurko z komputerem i dwoma wygodnymi skórzanymi fotelami po obu stronach. Z jednego z nich podniósł się niewysoki żylasty około pięćdziesięcioletni mężczyzna. Miał krótko obcięte siwe włosy, szare oczy ukryte za grubymi okularami, delikatne rysy i bladą pomarszczoną skórę. Ubrany był w czarne spodnie, białą koszulę, na które narzucił fartuch lekarski.

- Nazywam się Gene Pettinelli - przedstawił się Katharine. - Przeprowadzę badania.

Katharine otworzyła szeroko oczy.

- Badania? - Popatrzyła na Eda, który właśnie zamykał drzwi. Jedynie Starkey i Bennett ustawili się po obu stronach wejścia. Hendricks i ten drugi prawdopodobnie czekali w korytarzu.

- Pokażemy ci kilka zdjęć - wyjaśnił Ed. - Może rozpoznasz któregoś z tych drani.

Pettinelli poprowadził ją delikatnie w stronę krzesła. Katharine obejrzała się trwożliwie na Eda.

- Ale przecież ja nie widziałam ich twarzy. Nie rozpoznam ich na zdjęciach. Oni...

- Proszę usiąść - przerwał jej uprzejmie Pettinelli, wysuwając fotel zza biurka.

Katharine bezwiednie posłuchała. Całą uwagę skupiała w tej chwili na Edzie, który przyglądał jej się ze stanowczym wyrazem twarzy. Oglądanie zdjęć nie wydawało się niczym strasznym, spodziewała się czegoś o wiele gorszego, jednak przerażało ją napięcie wyczuwalne w tym pokoju i ten okropny zapach.

- Na pewno widziałaś więcej, niż sądzisz. Twoja podświadomość zarejestrowała szczegóły, które wydawać by się mogły nieistotne.

- Przepraszam - mruknął Pettinelli przykucając przed nią. Katharine zbyt późno zorientowała się, że fotel wyposażony jest w pas, którym właśnie została przypięta.

- C-co? - wyjąkała, spoglądając na mężczyznę z niedowierzaniem. Nadciągnęła fala paniki. - Co to? Co pan robi? - Wlepiała przerażone

wielkie oczy w Eda. - Ed...?

- Pettinelli zarejestruje reakcje twojego ciała na fotografie - wyjaśnił spokojnie.

- Nawet jeśli świadomie pani czegoś nie pamięta, ciało może zareagować na znajomy szczegół - dodał Pettinelli.

Jej ręce spoczywały na oparciach fotela. Pettinelli unieruchomił już jedną, przypinając do poręczy nad nadgarstkiem i przy łokciu. Nie było to niewygodne, ale...

- Nie. - Wyszarpnęła drugą rękę. - Nie chcę tego robić. Wolę najpierw zwyczajnie obejrzeć te zdjęcia, a potem...

- Tak będzie szybciej. - Ani jeden mięsień nie drgnął na twarzy Eda. W jego oczach nie znalazła sympatii ani współczucia. - I dokładniej.

- Proszę położyć drugą rękę na oparciu fotela - polecił Pettinelli i delikatnie chwycił ją za nadgarstek. Katharine uświadomiła sobie, iż nie ma wyboru. Zostanie przywiązana do tego fotela dobrowolnie lub siłą. Zacisnęła zęby.

- To nie będzie bolało - obiecał, wsuwając jej na palce niebieskie gumowe napastrki połączone czarnymi kablami z metalowym urządzeniem stojącym na biurku. Usiadł po drugiej stronie i powiedział: - Na ekranie komputera będą się wyświetlać zdjęcia. Proszę mówić, jeśli któreś wyda się znajome. Oczywiście, pani ciało też nam to powie.

Ed stanął za Pettinellim z rękoma założonymi na piersi i wpatrywał się w nią, marszcząc czoło. Nie mogła już na niego nawet patrzeć. Zacisnęła spocone dłonie na poręczach krzesła i z całej siły starała się zachować spokój. Musiała robić, co każą. Oddychaj równomiernie, przykazała sobie stanowczo.

- Zaczynamy - oświadczył Pettinelli. - Proszę się odzywać tylko wtedy, jeśli kogoś pani rozpozna.

Monitor rozbłysł. Zdjęcia mężczyzn były podpisane. Wyglądały na fotografie więzienne, ale po chwili uświadomiła sobie, że to zdjęcia z odznak agentów. Po sześć, w pięciu rzędach.

Przyjrzała się pierwszemu rzędowi, potem drugiemu. Nie

rozpoznała nikogo. Odprężała się stopniowo. Na próżno cała ta szopka. Intruzi mieli na sobie kominiarki, widziała tylko ich oczy. Wyjaśniała to już Edowi setki razy. W tych okolicznościach zdjęcia twarzy wydawały się bezużyteczne. Łatwiej zidentyfikowałyby ich na podstawie sylwetek, wzrostu, wagi, budowy.

Nagle, w środku trzeciego rzędu ujrzała znajomą twarz. Omal jej nie przeoczyła. Mrugnęła zaskoczona. Miała przed oczyma fotografię Dana. Z krótszymi włosami, bez okularów i opalenizny, jednak z pewnością był to on. Tylko że podpis pod zdjęciem głosił: „agent specjalny Nick Houston, FBI”. Katharine zaatakował okropny ból głowy.

SR

## *Rozdział 21*

Tak! Mamy coś! Rozpoznała pani kogoś? - Pettinelli omal nie spadł z krzesła z podniecenia. Popatrzył na Eda. - Mamy coś!

Monitor zatańczył jej przed oczami, ból niemal rozsadzał czaszkę. Poczowała się słaba i zagubiona. Zamknęła oczy i oparła głowę o fotel. Oddychała szybko zlaną zimnym potem.

Nie Dan. Nick..

- Kto? Który to? - Ed potrząsnął jej ramieniem. - Mów, który.

Musiała natychmiast zebrać myśli, przewyciężając przerażenie i pulsujący ból w skroniach. Zdradziło ją własne ciało. Nie można powiedzieć im prawdy, zdecydowała. Instynkt nakazywał jej chronić Dana. Nie, Nicka.

Nicka...

Silny ból głowy powodował mdłości.

- Który? - ponaglał ją Ed. Czowała jego oddech na policzku i palce wbijające się w skórę. - No?

Z wysiłkiem otworzyła oczy. Pokój znów zawirował. Wciągnęła powietrze, zagryzła wargi i zacisnęła mocno dłonie na poręczach krzesła.

- Myślę, że... on. - Miała odruch, żeby pokazać palcem.

Przez chwilę zapomniała, że jest unieruchomiona. - Czwarty rząd, drugie zdjęcie od lewej.

Wybacz, stary, przeprosiła w duchu ciemnowłosego, ostrzyżonego na jeża mężczyznę o kwadratowej szczęce i orlim nosie. Agent specjalny Frank Rizzo, DOD, przeczytała pod zdjęciem.

- Ten? - upewnił się Ed, stukając palcem w zdjęcie.

- Nie jestem pewna - zastrzegła się Katharine, wciąż walcząc z mgłą zasnuwającą jej umysł. Nie chciała mieć na sumieniu życia niewinnego człowieka, lecz nie przyszło jej na myśl nic innego jak wskazanie kogokolwiek. - Jego oczy wyglądają znajomo. - Zacisnęła powieki, jej głowa znowu opadła na fotel. Nie czuła się najlepiej. - Zaraz zwymiotuję.

Mówiła prawdę. Będą ją musieli rozwiązać, jeśli nie chcą, żeby im zabrudziła aparaturę.

- Dobra, pokaż jej resztę - polecił Ed.

- Potrzebuję przerwy. - Katharine otworzyła oczy i zacisnęła palce na poręczy, usiłując zachować spokój i przekonać ich, żeby przynajmniej oswobodzili ją z więzów. Świadomość uwięzienia wprawiała ją w coraz większą panikę. Zemdleje, jeśli natychmiast jej nie uwolnią. - Błagam, zaraz zwymiotuję.

Za każdym razem, kiedy pomyślała o Nicku, dostawała ataku duszności. Mogła naprawdę stracić przytomność. Bo to był Nick, agent FBI, a nie poczciwy doktor Dan, wszystko się zgadzało. Nie potrafiła tego zrozumieć, nie tutaj, przypięta do tej przeklętej maszynerii, pod uważnym wzrokiem Eda, Pettinello, Starkeya i Bennetta.

- Później - odparł niedbale Ed i skupił uwagę z powrotem na monitorze. - Spójrz na ekran.

- Błagam - powtórzyła Katharine i zdawało jej się, że Pettinelli popatrzył na nią ze współczuciem, ale nie mogła być pewna, ponieważ wpatrywała się w Eda, który nie okazywał litości. Zmrużył oczy.

- Spójrz na ekran - warknął. Nie miała wyboru, jeśli chciała kiedykolwiek stąd wyjść. Patrzyła, walcząc z bólem głowy i narastającymi mdłościami. Aparatura niczego więcej nie zarejestrowała. Na kolejnych czterech planszach nie zauważyła nikogo znajomego.

Czemu Nick udaje Dana? Zadawała sobie w kółko to samo pytanie, ale jedynie potęgowało ono ból głowy, który sprawiał, że patrzenie w ekran powodowało fizyczne cierpienie.

- To wszystko - oświadczył Pettinelli, kiedy monitor zgasł. Zamrugła z ulgą. On też wydawał się zadowolony, że już po wszystkim.

- Proszę mnie uwolnić - poprosiła Katharine zdrętwiałymi wargami. Miała kłopoty z krążeniem.

- Za chwilę. - Ed nawet na nią nie spojrzał. Tamci również ją



ignorowali. - Kasetą jest w środku, tak? - zadał pytanie Pettinellemu.

- Jak ją włączyć?

- Wystarczy nacisnąć guzik - odrzekł tamten, Ed podszedł do biurka z drugiej strony. Skinął głową.

- Dziękuję, Pettinelli - odprawił go. - To wszystko. Popatrzył znacząco na Starkeya, który otworzył drzwi.

- Tędy, panie Pettinelli - powiedział. - Proszę zabrać swoje rzeczy, odprowadzimy pana do samochodu.

Mężczyzna zawahał się i popatrzył na Katharine.

Nie zostawiaj mnie! Nie odważyła się jednak powiedzieć tego głośno. Rozgniewałaby tylko Eda. Usiłowała zapanować nad drżeniem. Było coś złowieszczonego w tym, że Pettinelli wychodził, a ona nadal siedziała związana. Ale nic nie mogła na to poradzić.

- Panie Pettinelli - ponaglił go Starkey i mężczyzna wyszedł razem z dwoma pozostałymi. Została sama z Edem.

- Pozwól mi wstać - zażądała głośno. Jeszcze nie krzyczała, ale zaraz zacznie. Choć wiedziała, że to bezcelowe. Znieruchomiła, napotykać jego zimny wzrok. Czaiła się w nim groźba. Widywała już wcześniej, jak patrzył w ten sposób na innych ludzi, lecz nigdy na nią.

- Patrz. - Pochylił się nad klawiaturą i nacisnął jakiś przycisk. Monitor ożył.

Po chwili dopiero Katharine zrozumiała, co widzi. Czarno-białe nagranie przedstawiało ją samą ubraną w zbyt obszerne rzeczy należące do Dottie. Skradała się przez szpitalny parking w za małych butach. Jej twarz rozjaśniła się na widok czarnego blazera.

Pokuśtykała w jego stronę i powiedziała coś do mężczyzny, którego twarz była wyraźnie widoczna przez szybę. Dan. Nie, Nick. Bez wątplenia Nick. Wsiadła do samochodu i odjechali.

Katharine poczuła kolejną falę zawrotów głowy. Fragmenty wspomnień zaczęły układać się powoli w całość niczym podarte zdjęcia. Nick patrzący na nią poważnie, Nick idący w jej stronę z uśmiechem.

Nick. Nie Dan. Ale skąd ona o tym wiedziała?

- To nagranie z kamery przemysłowej na szpitalnym parkingu - wyjaśnił Ed niebezpiecznie łagodnym tonem. Popatrzyła na niego wciąż rozkojarzona. Próbowała uporządkować wspomnienia, oddzielając fakty od fikcji i przeszłość od teraźniejszości.

Nagle poczuła w ustach kwaśny smak strachu. Ed szarpnął gwałtownie za fotel i odwrócił ją ku sobie. Niebieskie gumowe napastrki spadły z jej palców. Rozpaczliwie machała nogami, usiłując zaprzeć się o podłogę. Spadł jej but. Przez chwilę bała się, że fotel upadnie do tyłu. Miała idiotyczną nadzieję, że Ed zamierza ją uwolnić. Wyprostował się.

- Ty kłamliwa suko.

Policzek eksplodował bólem, kiedy zniemacka otrzymała cios w twarz. Głowa odskoczyła jej na bok. Katharine krzyknęła z bólu i zaskoczenia. Jej oczy wypełniły się łzami.

- Ed...

Nie dostała szansy na powiedzenie niczego więcej. Znowu ją uderzył, tak mocno, że przechyliła się z krzesłem na bok. Zadzwoniło jej w uszach. Była całkowicie bezbronna, nie mogła wstać, uciec ani nawet unieść ręki, by osłonić się przed kolejnym ciosem.

- Dlaczego? - zawołała, wpatrując się w niego załzawionymi oczyma. - Co ja takiego zrobiłam?

- Nie udawaj idiotki. - Dyszał ciężko, twarz miał fioletową z wściekłości. - Sprzedałaś mnie, co? Wiedziałem, że mam zdrajcę w szeregach. Po prostu wiedziałem. Od paru miesięcy wszystko na to wskazywało. Rzeczy nie na swoich miejscach, ktoś logujący się do mojego komputera, kiedy mnie nie ma, podsłuchiwane rozmowy. Wiedziałem, że to nie moja wyobraźnia. To byłaś przez cały czas ty. Pracujesz dla tego cholernego FBI!

- Nie! - Katharine rozpaczliwie pokręciła głową. Chciała go przekonać o swojej niewinności. Strach ścisnął ją za gardło. - Nie, Ed, to nieprawda! Ja...

- Nie kłam. - Chwytał ją za ramiona i przysunął twarz do jej twarzy. Oczy pociemniały mu z gniewu. - Co wiedzą? Co im dałaś? - wrzeszczał jej w twarz. - Gadaj, co im dałaś. Muszę wiedzieć!

Serce dudniło jej w piersi.

- Nic. Nic im nie dałam. To wszystko nieprawda.

- Od jak dawna wiedzą? Ile wiedzą? - Żyły wyszły mu na skroniach. Zmarszczył brwi. - Dowiedziałaś się, co robię, i sama do nich poszłaś? Czy oni przyszli do ciebie?

- Ani jedno, ani drugie - pisnęła. Trzęsła się cała. Wcisnęła głowę w fotel, aby znaleźć się jak najdalej od niego. - Nie wydałam cię, Ed. Przysięgam na Boga.

- Próbowali zebrać jak najwięcej dowodów, by mnie przytknąć, zanim się zorientuję, co? Dzięki Bogu, że w porę odkryłem prawdę. - Wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby. - To oni włamali się do twojego domu? Żeby nie wzbudzając podejrzeń, położyć łapy na sejfie?

- Nie - Katharine zaprzeczyła z rozpaczą. - Nie, to nieprawda. To wszystko nieprawda.

Nie wierzył jej.

- Ty zdrażdzicka dziwko, nie wiesz, że mam wystarczająco dużo brudów na każdego w tym przeklętym rządzie, żeby wyciszyć sprawę? Jakby jej nigdy nie było. Ale tobie się tak nie uda.

Wyśpiewasz mi wszystko, a potem zginiesz.

Odepchnął ją gwałtownie. Fotel uderzył o metalowy stół. Katharine chwyciła się poręczy, policzki ją piekły, w żołądku czuła olbrzymią zimną kulę strachu. Popatrzyła na swojego prześladowcę oczyma pełnymi łez.

- Ed, musisz mnie wysłuchać! - wołała rozpaczliwie do jego oddalających się pleców. - Nie współpracuję z FBI. Dla nikogo nie pracuję! Jeśli ktoś cię wydał, to nie ja. Przysięgam. Przysięgam.

Ale Ed kompletnie nie zwracał uwagi na jej słowa.

- Hendricks! - ryknął, wystawiając głowę na korytarz.

Mężczyzna pojawił się natychmiast i Katharine pomyślała, że pewnie cały czas czekał pod drzwiami. Palił papierosa, ale Ed nie zwracał na to uwagi, mimo że nienawidził dymu. Razem z Hendricksem wszedł jego cień, którego nazwiska nie znała. Hendricks spojrzał na nią z okrutnym uśmiechem. Serce jej

kołatało rozpaczliwie, jakby próbowało wydostać się na zewnątrz, w ustach zaschło, z trudem wydobyła następne słowa.

- Ed... - błagała. - Proszę, posłuchaj.

- Chcę wiedzieć wszystko, co ona wie - odezwał się do Hendricksa, traktując ją jak powietrze. - Wszystko.

Spotkamy się na plantacji za jakieś trzy godziny. Powinno w zupełności wystarczyć.

- Wystarczy godzina - powiedział Hendricks, obrzucając Katharine taksującym spojrzeniem.

- Ja nic nie zrobiłam - zawołała, wiedząc, że jej czas się kończy.

Poczuła przyływ adrenaliny i zaczęła się szarpać. Na próżno. Każdy atom w jej ciele wrzeszczał: uciekaj!, a ona nic nie mogła zrobić. - Nie współpracuję z FBI.

Ed spojrzał na nią okrutnie.

- Wiesz, czym zajmuje się Hendricks? - W jego oczach nie było cienia ludzkich uczuć. - Skłania ludzi do mówienia. Czasem korzystamy z jego usług. Potrafi sprawić, że najwięksi twardziele sprzedają własne matki. - Przeniósł wzrok na Hendricksa. - Co zrobiłeś w zeszłym tygodniu z tamtym facetem? Zdjąłeś mu skórę z twarzy? - Tamten skinął głową. - Wiedziałaś, że można żyć bez skóry na twarzy? - Ed spojrzał z powrotem na Katharine. - Mówić, płakać i wszystko? Dość koszmarny widok.

Jej żołądek wywrócił się na drugą stronę.

- O Boże. Błagam cię, Ed. Nie rób tego. Popelniasz błąd. To nie ja!

Pozostawał głuchy na jej rozpaczliwe wołania. Wychodził.

- Trzy godziny - rzucił jeszcze przez ramię Hendricksowi.

- Ed, nie! - wrzeszczała Katharine, błagając o życie. - Proszę, proszę. Wysłuchaj mnie!

Drzwi zatrzęsęły się za nim. Szarpała się rozpaczliwie, ale więzy trzymały mocno. Znalazła się w potrzasku.

Popatrzyła bojaźliwie na Hendricksa. Po policzkach ciekły jej łzy. Oprawca podszedł do niej wolno, potrząsając głową. Wydmuchiwał kłęby dymu.

- No, panienko, kto by pomyślał, że znajdziemy się w takiej

sytuacji - odezwał się uprzejmym tonem. - Szkoda, ale cóż zrobić.

Drugi mężczyzna podszedł z drugiej strony. Miał około czterdziestu lat, krótko obcięte jasnobrązowe włosy, pucołowatą twarz, niebieskie podkrążone oczy, szarą cerę i niewielką bródkę. Wyglądał równie groźnie jak Hendricks.

- Szkoda - zawtórował, przesuwając wzrokiem po jej ciele. Wyraz jego twarzy przyprawił ją niemal o konwulsje.

- To Lutz - przedstawił go Hendricks. Przyglądał się przez chwilę w zamyśleniu rozżarzonemu koniuszkowi papierosa, nim zgasił go na jej rękę.

Katharine wrzasnęła rozdzierająco. Hendricks wyszczerzył się i wrzucił niedopałek do kosza.

- Ma bardzo kobiecy krzyk. Podoba mi się - powiedział Lutzowi, zapalając kolejnego papierosa. Spocona i zdyszana, chora z bólu, czując swąd spalonego ciała unoszący się w powietrzu patrzyła z przerażeniem, jak zaciągał się dymem.

- Od jakiegoś czasu nie mieliśmy okazji pracować z kobietą - zgodził się Lutz.

Katharine nie mogła oderwać przerażonego wzroku od papierosa. Cała się trzęsała.

Weź się w garść. Nie możesz się załamać. Zabiją cię, jeśli nie znajdziesz sposobu, żeby ich powstrzymać.

Wzięła głęboki urywany oddech.

- Posłuchajcie - powiedziała usiłując odzyskać pozory opanowania. - Nie musicie mi robić krzywdy. Powiem wam wszystko, co chcecie wiedzieć.

Hendricks zaciągnął się mocno.

- Wiem, że nie musimy. - Uśmiechnął się. - Ale lubimy to.

Poruszał się leniwie i z uciechą przyglądał się przerażonej twarzy Katharine, kiedy przyciskał papieros do jej nadgarstka, tuż obok poprzedniego oparzenia.

Poczuła przeszywający ból i odór przypalanego ciała. Znowu krzyknęła przeraźliwie. Łzy ciekły jej po policzkach.

- No, dobrze, ruszajmy - odezwał się znudzony Lutz.

- Prawdopodobnie czekają, żeby pogasić światła.

- To nasza robota - odparł Hendricks, ale pomógł mu rozpiąć pasy krępujące Katharine.

Zamierzała rzucić się do ucieczki, kiedy tylko stanie na nogi, choć wiedziała, że nie ma najmniejszych szans, ale Hendricks od razu wykręcił jej boleśnie rękę za plecami.

- Nie próbuj żadnych sztuczek, bo ci ją złamię. Uwierzyła mu.

Wyprowadzili ją z budynku, który teraz sprawiał wrażenie opuszczonego. Lutz wyłączył światła. Mercedesa nie było. Katharine została sama z Hendricksem i Lutzem. Serce zdrętwiało jej w piersi.

- Pojedziemy jej autem - powiedział Hendricks, popychając ją w stronę samochodu i niemal wrywając ramię. Żwir ranił bosa stopy Katharine. Była śmiertelnie przerażona. - Barnes kazał mi się go pozbyć i zostawił kluczyki. Kiedy skończymy, wrócimy po nasze.

Hendricks wepchnął ją na tylne siedzenie i usiadł koło niej, a Lutz zasiadł za kierownicą.

Muffy zamiauczała na powitanie.

Katharine postawiła sobie klatkę na kolanach z zamiarem użycia jej jako broni albo ostatniej deski ratunku. Wiedziała, że to żałosne, ale nie miała nic innego.

- Cześć, kocie. - Hendricks wsunął palce przez kratę. Muffy syknęła.

Mądry kot.

- Dla twojej informacji: jeśli sprawisz mi jakiegokolwiek kłopoty albo spróbujesz uciec, najpierw wyjmę ci oczy - powiedział to z uśmiechem. Nie miała wątpliwości, że mówił prawdę. Zadrżała. Zmroził ją potworny lęk. Jeśli nie zdoła nic wymyślić, umrze potworną śmiercią. Oddech jej się rwał.

Uspokój się, nakazała sobie. Pomyśl. Spróbuj.

- Mam pieniądze - odezwała się najspokojniej, jak potrafiła, patrząc Hendricksowi w oczy. - Dużo pieniędzy. Ile chcecie w zamian za uwolnienie mnie?

Wyjeżdżali z parkingu, powoli manewrując między rzędami używanych samochodów. W aucie było ciemno, ale nie na tyle, by nie



**zauważyła wyrazu jego twarzy. Zobaczyła w jego oczach błysk zainteresowania. Lutz zerkał na nią we wstecznym lusterku.**

**- Gdzie je masz?**

**- W banku.**

**- Może zatrzymamy się po drodze i wypłacisz je? Będziemy mieli pieniądze i nie ominie nas zabawa.**

**Katharine już otwierała usta, by mu wyjaśnić, że taki układ jej nie odpowiada, kiedy nagle przednie drzwi z obu stron auta się uchyliły. Obaj mężczyźni krzyknęli zaskoczeni, widząc wycelowane w siebie lufy pistoletów. Katharine obserwowała szeroko otwartymi oczami, jak drzwi obok niej otworzyły się i czyjaś dłoń chwyciła ją za ramię. Wrzasnęła i szarpnęła ręką, chcąc się wyrwać. Ktoś strzelił w głowę Hendricksowi, ktoś inny zabił Lutza.**

## Rozdział 22

Już dobrze, to ja, to ja! - krzyczał napastnik, próbując wyciągnąć Katharine z toczącego się naprzód samochodu. - Jezu, przestań się drzeć, już koniec!

Nie mogła. Zbyt wiele dziś przeżyła i nadal drżała o swoje życie. Na jej oczach zostało właśnie popełnione podwójne morderstwo. Widziała przed sobą Lutza we krwi. Pod stopami czuła nierówny ciepły chodnik, nad sobą miała czarne niebo, kiedy potykając się wyszła z samochodu. Klatka z Muffy, którą trzymała na kolanach, byłaby spadła na ziemię, gdyby Katharine nie odzyskała na tyle przytomności umysłu, żeby ją złapać. Ubrani na czarno mężczyźni odepchnęli zwłoki i sami wskoczyli do samochodu, aby go zatrzymać.

- Pozbądźcie się ich razem z wozem - polecił napastnik, wciąż ją podtrzymując. Inaczej by upadła. Kolejny krzyk wydobył się z jej gardła, kiedy rozpoznała porywacza. To był Dan. Nie, Nick. Dzięki Bogu, że to Nick.

Ubrany na czarno, w czarnej czapce z daszkiem. Przyszedł po nią! Katharine powoli zaczynała się uspokajać. Krzyk zamarł jej w gardle.

- Spotkamy się w Gardens Park - powiedział, prowadząc ją za sobą do blazera. Mężczyźni mruknęli twierdząco. Jej lexus i czarny suv odjechały. Nick tymczasem otworzył drzwi po stronie pasażera w swoim samochodzie. Klatka uderzyła go w uda. Rozległ się wściekły syk.

- Co to, do diabła? - Zabrał klatkę i pomógł Katharine wsiąść.

- K-kot - wyjąkała. Wciąż drżała na całym ciele i z trudem chwytła oddech. - Nie zostawiaj go tu.

Wymamrotał coś - prawdopodobnie niecenzuralnego - zamykając drzwi, ale po chwili klatka znalazła się na tylnym siedzeniu.

Katharine obejrzała się i zobaczyła wielkie jak spodki oczy Muffy. Kotka najwyraźniej nie była zachwycona, ale trudno.

Nick usiadł za kierownicą. Nie musiał uruchamiać silnika, bo ten

pracował cały czas.

- Zapnij pasy - polecił.

Nie była w stanie się ruszyć, ręce odmawiały jej posłuszeństwa. Zaklął pod nosem i pochylił się, by sam to zrobić. Zdjął czapkę i rzucił ją do tyłu. Przeczesał palcami włosy. Katharine zauważyła, że miał przypiętą kaburę z bronią. Zwróciła uwagę na błysk metalu dopiero, gdy się poruszył. Wcześniej pistolet był prawie niewidoczny na tle czarnego ubrania. Ruszyli z piskiem opon w przeciwnym kierunku niż pozostali.

- W... w złą stronę - wyjąkała, szcękając zębami.

- My jedziemy gdzie indziej - wyjaśnił, zwalniając, kiedy przejeżdżali przez kalejdoskop świateł i budynków. Tak widziała McLean. Było jej przeraźliwie zimno. Wiedziała, że to nie przez klimatyzację, bo Nick jej nie włączył. Dreszcze spowodował szok. Objęłaby się rękami, ale nie mogła się ruszyć.

- Cze... mu?

Popatrzył na nią. Skręcili w prawo na wyludnionym skrzyżowaniu po drugiej stronie miasteczka. Według znaku kierowali się na autostradę.

- Ponieważ nie chcę, żeby znów dostali cię w swoje łapska. - Jego głos brzmiał twardo.

- Kto? Pokręcił głową.

- Później o tym porozmawiamy.

Spojrzała na niego spod zmarszczonych brwi, jednak nie potrafiła nic wyczytać z jego twarzy. Przyglądała mu się uważnie. Miał o wiele dłuższe, falujące włosy, ale poza tym nic się nie zmienił: te same szerokie ramiona, muskularny tors i długie nogi. Rozpoznawała też silne ręce trzymające kierownicę.

Nick. Zdecydowanie Nick.

Poczuła obezwładniającą falę ulgi. Wreszcie była bezpieczna.

- Co tak długo? - spytała drżącym głosem i ku swojemu zaskoczeniu wybuchnęła płaczem.

- Cholera jasna. Niech to szlag. Kurwa mać. - Czuła na sobie jego wzrok, choć sama zamknęła oczy, próbując powstrzymać łzy. -

Wiem, że było ci ciężko, ale czy mogłabyś przestać płakać? Proszę.

Otworzyła oczy i łzy spłynęły jej po policzkach.

- Sam byś płakał, gdyby cię przypalali papierosem i grozili, że ci zedrą skórę z twarzy, i...

- Wiem - przerwał jej z prawdziwą udręką w głosie. Blazer wyjechał z ciemności w strumień światła na autostradzie. Po drogowskazie Katharine zorientowała się, że jadą w stronę Marylandu. - Wszystko słyszeliśmy, mamy tam zamontowany podsłuch. Odchodziłem od zmysłów, słuchając tego wszystkiego, ale nie mieliśmy żadnego sposobu, żeby tam wejść. To strzeżony teren CIA. Musielibyśmy użyć bomby atomowej. Zresztą wiedziałem, że Hendricks i Lutz będą chcieli cię wywieźć. Mają specjalne miejsce, w którym załatwiają brudną robotę.

- Plantację. - Katharine załkała. Wciąż płakała, lecz już nie tak rozpaczliwie. Wiedziała, że najgorsze minęło. Próbowała się uspokoić.

- Tak. To co tam robili... Niezbyt przyjemne widoki.

- Zabiliście ich. - Zadrzała na wspomnienie krwi rozpryskującej się o szyby.

- Cóż, czasem trzeba. Niektórzy zasługują na śmierć. Tych dwóch torturowało ludzi, wielu nie przeżyło spotkania z nimi. Bez nich świat jest lepszy.

- Gdybyś nie dotarł na czas... - Omal nie zemdląta na samą myśl.

- Nie było takiej możliwości. Miałem cię cały czas na oku, odkąd się rozstaliśmy. Jesteśmy całkiem niezli w takich rzeczach, nie wiem, czy słyszałaś. Znamy się na dyskretnym śledzeniu ludzi. Pamiętasz telefon, który odebrał Barnes tamtego wieczoru, kiedy wróciliście do tamtego służbowego mieszkania po wizycie w domu? To byliśmy my, z wiadomością, że jeden z jego informatorów został przechwycony przez Kreml. Wiedzieliśmy, że będzie musiał wyjść, a ty się ucieszysz.

Katharine otworzyła szeroko oczy, przypominając sobie tamten wieczór.

- O, tak. - Mało powiedziane. - Ucieszyłam się.

Spojrzała na niego zaskoczona, kiedy wjechał na małą oświetloną polankę z kilkoma drzewami i niewielkim ceglanym domkiem. Na jednym z dwóch parkingów stała półciężarówka, na drugim, przed budynkiem parkowały jeszcze dwa samochody. Para w średnim wieku znikła właśnie za drzwiami toalety.

- Czy to dobra chwila na odpoczynek? - spytała z powątpiewaniem Katharine, ocierając palcami ślady łez z policzków.

Zakręciło jej się w głowie na widok szerokiego uśmiechu Nicka. Przypomniała sobie inną okazję, inny dzień, kiedy się tak do niej uśmiechał. Byli w domu, w kuchni. Krzyczała, żeby się wynosił, zdjęła but i rzuciła w niego, ale zdążył się uchylić i trafiła w szafkę. Wtedy właśnie się uśmiechnął, tak samo jak teraz. Zamrugowała. Nie mogła odnaleźć w tym wszystkim sensu, rozboleła ją głowa i wspomnienie uleciało.

Dan zaparkował w zacienionym miejscu z dala od reszty pojazdów i rozpiął pasy.

- Ufasz mi? - spytał, wyjmując z kieszeni nóż. Wpatrywała się rozszerzonymi oczyma to w ostrze, to w jego twarz. Pozostałe wspomnienia wróciły do niej falą. Było ich zbyt wiele, żeby je od razu uporządkować, ale dawały jakieś pojęcie o ogólnej sytuacji.

- Żarty sobie stroisz, doktorze Dan? Nie. Uśmiechnął się równie ujmująco jak za pierwszym razem.

- W porządku. Musisz tylko robić, co ci każe.

- Co? - spytała ostrożnie Katharine, nie spuszczać oczu z noża.

- Pochyl się do przodu, obejmij rękami kolana i trzymaj mocno.

- Już się nie uśmiechał. Jego twarz przybrała posepny wyraz.

- Po co? - Miała prawo się wystraszyć.

- Ponieważ masz wszczepiony na plecach nadajnik i muszę go wydłubać, zanim nas namierzą.

Otworzyła szeroko oczy ze strachu.

- O mój Boże.

- Właśnie.

Nie wyglądał na bardziej zadowolonego niż ona, zrezygnowała więc z dalszych protestów i pytań. Zrobiła, o co prosił. Jeśli miała

wszczepiony nadajnik, trzeba się go pozbyć. Kiedy Ed dowie się o jej ucieczce, wyśle za nią całą armię agentów. Zgodziłaby się na wszystko, byleby tylko nie trafić z powrotem w jego ręce. Zrozumiała, że jednak ufa Nickowi. W pewnym sensie. Możliwe. Przynajmniej w tej sprawie.

- Jest maleńki - pocieszył ją. Zaciśnęła powieki. -

I znajduje się tuż pod skórą. Zwykle jest ukryty pod zapięciem biustonosza. Niewidoczny, chyba że ktoś wie, gdzie szukać.

- O Boże - jęknęła zaciskając mocniej ręce na kolanach, kiedy podniósł jej bluzkę i rozpiął stanik.

- Zrobię to szybko. - Umilkł na chwilę. - Tu jest. Dotknął palcem jej pleców, a Katharine zaciśnęła zęby, jakby ją uderzył.

- Nick...

- Nie ruszaj się.

Przytrzymał ją uspokajająco lewą ręką.

- Spokojnie - ostrzegł.

Skrzywiła się z bólu, kiedy nóż zagłębił się w skórze. Krzyknęła i drgnęła odruchowo.

- Nie ruszaj się - przypomniał ostro. Zmusiła się, by go posłuchać. Wciągnęła powietrze, wstrzymała oddech, napięła wszystkie mięśnie. Bolało bardzo, kiedy chłodne ostrze przecinało skórę i mięśnie. Polała się ciepła krew. Jej krew. Zakręciło jej się w głowie, oblała się zimnym potem, ale się nie poruszyła.

- Mam - oświadczył i cofnął wreszcie nóż. Jeszcze chwila, a Katharine by zemdląła. Przytulił ją pocieszająco. - Przepraszam, że musiałem to zrobić. W porządku?

Kiwnęła głową, nie podnosząc się z miejsca. Oddychała z wysiłkiem.

- Uważaj na głowę.

Było jej słabo i nie pojmowała do końca, co robi Nick. Usłyszała trzask otwieranego schowka na rękawiczki, potem jakieś szmery. Po chwili poczuła, jak przesuwają jej czymś po plecach. Prawdopodobnie wytarł gazą płynącą krew i przycisnął coś mocno do ranki. Najwyraźniej opatrywał skaleczenie, korzystając ze swojej apteczki.



Katharine z wolna dochodziła do siebie.

- Jak się czujesz? - spytał zmartwiony.

Najgorsze minęło i teraz już była w stanie odpowiedzieć. Rana bolała tylko trochę. O wiele mniej niż oparzenia i wykręcone ramię.

- Dobrze - zapewniła, otwierając oczy i obracając ku niemu twarz. Wciąż siedziała zgięta wół, z głową między kolanami, ale uznała, że zaraz będzie mogła się wyprostować. Nick pochylił się nad nią nisko, wcierając coś w ranę. Usłyszała szelest rozdieranego papieru. Przykleił jej plaster, po czym zapiął z powrotem biustonosz i zsunął bluzkę. Ucisk stanika, o dziwo, nie sprawiał dodatkowego bólu.

- Dzielna dziewczynka - pochwalił.

Wciąż była pod wrażeniem jego słów, kiedy wysiadł z samochodu, zamknął za sobą drzwi i zniknął. Zmarszczyła brwi i czekała z rosnącym niepokojem na jego powrót. Dokąd poszedł? Wreszcie wsunął się z powrotem za kierownicę.

- Gdzieś ty był? - spytała z wyrzutem.

- Widzisz tamten samochód? - Nick sprawiał wrażenie bardzo z siebie zadowolonego. Zapiął pas i uruchomił silnik.

Popatrzyła na białe sportowe bmw, którego właściciel przypuszczalnie poszedł do toalety.

- Przykleiłem lokalizator taśmą do tylnego zderzaka. Zanim się zorientują, będą śledzić ten wóz. Powinno im to zająć przynajmniej kilka godzin.

Wyjeżdżali z parkingu.

- Dobry pomysł - przyznała. Starła się odzyskać normalny rytm oddechu i serca. Podejrzewała jednak, że z taką ilością adrenaliny nie poradzi sobie z tym od razu. Czuła się jednocześnie pobudzona i śmiertelnie znużona.

- Też tak pomyślałem. Zapnij pas.

Posłuchała, zadowolona, że odzyskała kontrolę nad sobą. Wjechali z powrotem na autostradę. Katharine oparła się ostrożnie o siedzenie. Rana prawie nie bolała. Położyła głowę na fotelu i obróciła twarz w stronę Nicka.

- Nick - wymówiła na próbę jego imię. Zabrzmiało znajomo.

**-Tak?**

**Blazer wjechał w sznur samochodów. Był teraz jednym z wielu innych pojazdów mrugających światłami w mroku. Niemal się odprężyła. Czuła się bezpieczna.**

**- Okłamałeś mnie - oskarżyła go surowo.**

**- Nie bardziej niż musiałem. - Uśmiechnął się krzywo.**

**- Doktor Dan - powiedziała z drwiną. Nagle zmarszczyła czoło, uświadomiwszy coś sobie. - Czemu nie poznałam cię od razu? Uderzenie w głowę nie mogło być aż tak mocne.**

**Nastąpiła chwila milczenia.**

**- Pracowałem w przebraniu - odezwał się wreszcie. - Bezpieczniej dla ciebie było mnie nie poznać. Zapuściłem włosy i sprawiłem sobie okulary. O których zresztą wciąż zapomniałem.**

**Katharine pomyślała, że włosy i okulary nie miały znaczenia. Nie wyglądał na agenta FBI, za to wciąż wyglądał jak Nick. Otworzyła szeroko oczy pod wpływem pewnej myśli: za każdym razem, kiedy przypominała sobie Nicka z czasów, zanim stał się doktorem Danem pochylonym nad jej szpitalnym łóżkiem, natychmiast pojawiał się nieznośny ból głowy i tamto wspomnienie zniknęło.**

**Wreszcie pojęła.**

**- Grzebaliście mi w głowie? - Wpatrywała się w niego z przerażeniem. - Tak czy nie? Zrobiliście coś z moją pamięcią?**

## Rozdział 23

Popatrzył na nią. Reflektory przejeżdżającego samochodu na chwilę oświetliły jego twarz, na której malowało się poczucie winy. Katharine gniewnie zacisnęła usta.

- Nie kłam - ostrzegła go. Westchnął.

- Niektóre z twoich wspomnień zostały czasowo wyparte.

Zgodziłaś się na to.

- Co? - Podskoczyła gwałtownie, zapominając o wszechobecnym bólu. - Zablokowaliście moje wspomnienia? W jaki sposób?

- Nie zrobiłem tego osobiście. Biuro zatrudnia fachowców od takich spraw.

- Co zrobili?

- Uspokój się - powiedział, co odniosło przewidywalny efekt: miała ochotę krzyczeć i uderzyć go czymś ciężkim. Zacisnęła dłonie w pięści i popatrzyła na niego zmrużonymi oczami.

Zbliżali się do zjazdu z autostrady. Drogowskaz wskazywał drogę do Silver Spring.

- Sądzę, że posłużyli się mieszanką hipnozy i narkotyków - wyjaśnił pod wpływem jej uporczywego spojrzenia.

- Hipnozy i narkotyków? - powtórzyła oburzona. Rozboleła ją głowa, choć nie tak mocno jak wcześniej. Wytrzymała i przywołała wspomnienie jego ust na swoich, światła latarek w leśnym gąszczu, mrozącego krew w żyłach strachu, po którym nastąpiła martwa cisza. Wszystko stało się jasne. - Ludzie szeryfa, tam w lesie, po tym jak mnie pocałowałaś... Nie zjawili się z powodu alarmu. To nawet nie byli ludzie szeryfa. Tylko twoi. Przyszli namieszać mi w głowie!

Nick skrzywił się. Odebrała to jako przyznanie się do winy.

- Zdaje się, że użyli słowa: „przeprogramować” - odrzekł irytująco spokojnie. - Wspomnienia nie dawały ci spokoju. Zaczynałaś wariować, pamiętasz? Stanowiłaś zagrożenie dla siebie i byłaś nieprzydatna dla nas. Dzięki ich interwencji poczułaś się bezpiecznie i swobodnie. Mogłaś wrócić do Barnes’a.

- Wrócić... do... Barnesa? - Groźnie przeciągnęła słowa.

- O to chodziło, prawda? Wykorzystaliście mnie, żeby dotrzeć do Eda.

- Zgodziłaś się na to. Nieważne. Nie ma sensu tego roztrząsać. Już po wszystkim.

- Chcę odzyskać swoje wspomnienia - wycodziła przez zęby.

- Odzyskasz je. Proces, któremu zostałaś poddana, jest całkowicie odwracalny. Śledztwo powinno się zakończyć w ciągu najbliższych dwunastu godzin. Potem się tobą zajmiemy.

- Ach, zajmiecie się mną? - powtórzyła szyderczo.

- Ed miał rację. Byłam szpiegiem FBI. Tylko o tym nie wiedziałam.

- Coś w tym rodzaju. - Na jego ustach pojawił się cień uśmiechu, który doprowadził Katharine do furii. - Rozumiesz już, dlaczego bezpieczniej dla ciebie było pozostać w nieświadomości.

- To nie jest śmieszne.

- Nie jest. - Spowaźniał. - Nie śmieję się. Zbyt wielu ludzi ucierpiało. Czas zakończyć tę sprawę.

- Co to właściwie za sprawa? Co chcecie udowodnić? - Wyczuła jego wahanie. - Siedzę w tym po uszy, do diabła. Mam prawo wiedzieć.

- Tak. Sądzę, że tak. Barnes to szantażysta. Zdobył kompromitujące materiały na temat większości grubych ryb w Waszyngtonie. Używa ich dla własnych korzyści. Manipuluje ludźmi.

- Dla jakich korzyści? - zainteresowała się.

- Różnych. Czasem finansowych. Czasem, żeby utrudniać nam śledztwa. Czasem, żeby awansować. Zauważyłaś, jak prędko zrobił karierę? Za pomocą szantażu można wiele osiągnąć.

- Matko święta, jesteś pewien?

- Tak. Mówiąc najogólniej, zależy mu na władzy. Od roku go obserwujemy. Prawdopodobnie prowadzilibyśmy śledztwo nieco dłużej, ale skoro się zorientował, to już nie ma sensu. Aresztujemy go w ciągu kilku godzin. Zostało jeszcze kilka drobiazgów do wyjaśnienia, ale właściwie mamy podstawy, by go wsadzić za kratki na resztę życia.

Zatrzymali się na niewielkim parkingu obok czteropiętrowego ładnego budynku z czerwonej cegły. W środku paliły się światła, przed wejściem stało kilka starych samochodów, ale nie było widać żadnych mieszkańców domu. Katharine poczuła ukłucie niepokoju. Wszystko, co nieznanie, wprawiało ją w popłoch, czemu zresztą trudno się było dziwić, zważywszy, przez co przeszła. Tym razem poczuła zaledwie ukłucie niepokoju, ponieważ był przy niej Nick. Zamyśliła się nad swoim kryzysem zaufania.

- Gdzie jesteśmy? - spytała, rozglądając się wokół. -

To chyba nie jest wasz nieoficjalny ośrodek przesłuchań?

- No co ty, nie ufasz mi? - zakpił.

- Nie. Oczywiście, że ci nie ufam. Jeśli mi nie odpowiesz, co to za miejsce, będziesz mnie musiał siłą wywlec z auta.

Spojrzał na nią bez uśmiechu.

- Chcesz znać prawdę? W porządku. Oto ona: Barnes chce twojej śmierci. Pewni ludzie z naszej agencji chcieliby cię przymknąć dla „bezpieczeństwa”. Ci, którzy włamali się do twojego domu, wciąż stanowią zagrożenie. Innymi słowy, stałaś się niezwykle popularna i nie jest to bynajmniej powód do radości. Tutaj będziesz się mogła schronić, póki wszystko nie ucichnie. Wynająłem to mieszkanie parę dni temu. Oprócz mnie wie o nim tylko jedna osoba. Gdybyśmy pojechali razem z moimi ludźmi, zaczęłyby się spory. Różni ludzie mają różne poglądy. Mogliby próbować cię gdzieś wywieźć i spróbować wymazać na dobre wszystkie wspomnienia. Albo... Cóż, kto wie? Po prostu wydaje mi się, że najlepiej, żebyś trzymała się na uboczu, póki tamci nie przestaną się tobą interesować.

- Mam rozumieć, że nie masz wpływu na to, co się ze mną stanie? - spytała ze strachem.

Skrzywił się.

- W teorii, jak najbardziej. Ale teraz, kiedy Barnes zaczął wierzgać, wkroczą moi przełożeni. Nie mogę niczego zagwarantować, a nie mam zamiaru podejmować ryzyka. Słyszałaś kiedyś o prawie posiadacza? Zamierzam się nim kierować.

Oboje wysiedli z samochodu. Katharine została całkowicie

przekonana. Nick zerknął z uśmiechem na jej bose stopy i pokręcił głową.

- Co ty masz przeciwko obuwiu?

Zmarszczyła brwi. Może i był jej jedyną szansą na przeżycie, ale zaczynał ją drażnić.

- Prawdopodobnie ma to jakiś związek z towarzystwem, w którym się obracam - odparła sucho. Kolana pod nią zadrżały, poczuła niespodziewane zawroty głowy. Przytrzymała się drzwi samochodu i odetchnęła głęboko dla odzyskania równowagi.

- Nawet o tym nie myśl. - Zerknęła groźnie na Nicka, który już był gotów wziąć ją na ręce i zanieść do budynku. - Możesz trzymać Muffy.

Wyglądał na nieco urażonego. Zerknął na tylne siedzenie, gdzie znajdowała się klatka z siedzącą spokojnie kotką.

- Zapomniałem o tym przeklętym kocie. Jesteś pewna, że dasz radę sama iść?

- Jak najbardziej.

Nie sprawiał wrażenia przekonanego, ale posłusznie sięgnął po klatkę z kotem. Tymczasem Katharine zbierała siły. Czowała się, jakby po niej przejechała osiemnastokółowa ciężarówka, lecz nie widziała powodu, by on to wiedział. Nieliczne wspomnienia na temat relacji z Nickiem podpowiadały jej, iż jedyny sposób, żeby powstrzymać go przed całkowitym przejęciem kontroli nad sytuacją, to nie okazywać słabości.

- Mogę zawsze wrócić później po kota, wiesz? - nalegał.

- Bierz go teraz.

Zawroty głowy osłabły i choć nogi wciąż się pod nią uginały, wyprostowała plecy i uniosła głowę. Chodnik i wejście do budynku pogrążone były w mroku. Po drugiej stronie ulicy przechodził jakiś mężczyzna. Oddalał się od nich. Poza nim nie zauważyła nikogo.

Weszli do środka i znaleźli się na niedużej, kiepsko oświetlonej klatce schodowej. Jedną ścianę w całości zajmowały skrzynki na listy, niektóre z nazwiskami lokatorów. Wiele z nich nie było jednak podpisanych. Policzyła je. Szesnaście mieszkań. Zauważyła również



kilka brązowych drewnianych drzwi. Jedne były oznaczone jako wyjście awaryjne, drugie prowadziły do pralni, za pozostałymi, bez wizytówek, znajdowały się z pewnością mieszkania. Winda mieściła się obok wyjścia awaryjnego. Nick nacisnął guzik. Katharine rzucała niespokojne spojrzenia ku drzwiom. Gdyby ktoś przez nie wszedł przed pojawieniem się windy, bez wątpienia dostałaby ataku serca.

Wysiedli na trzecim piętrze. Po obu stronach korytarza były drzwi. Nick poprowadził ją do tych oznaczonych jako 3C, na lewo. Wyjął z kieszeni klucz.

Weszli do małego ciemnego pokoju. Nick włączył światło.

- Witaj w domu - powiedział, zamykając za nimi drzwi na klucz.

Porzucona na podłodze Muffy zamiauczała z wyrzutem.

- Biedna kicia, siedzi zamknięta już całą wieczność.

Katharine pochyliła się, by otworzyć klatkę. Nie przestawała się rozglądać. Pokój był długi i wąski. Po jednej stronie, tuż obok wejścia do kuchni, zobaczyła okrągły drewniany stół i cztery krzesła. Beżowo-brązowa kanapa stała pod przeciwległą ścianą. Obok kanapy znajdował się brązowy fotel oddzielony od niej stolikiem ze szkła i metalu oraz lampą. Naprzeciwko kanapy wisiała tania dębowa półka z telewizorem i kilkoma bibelotami. Małe okno przesłaniała firanka nieokreślonego koloru nieszczęśliwie gająca do podłogi.

- Wynająłem na tydzień, razem z umeblowaniem - wyjaśnił Nick.

Muffy ostrożnie opuściła swoje dotychczasowe schronienie. -

Zaopatrzyłem lodówkę i kupiłem kilka rzeczy, które mogą ci się przydać. Myślę, że na jakiś czas wystarczy.

- Co masz na myśli? Chyba nie zamierzasz mnie tu zostawić? -

Katharine zmarszczyła gniewnie czoło. Kotka popatrzył najpierw na nią, potem na Nicka i miauknęła rozziewając. - Cześć, Muffy - zwróciła się łagodnie do zwierzaka i przykucnęła, by go pogłaskać. Zdołała ledwie musnąć grzbiet kotki, bo ta odwróciła się i odeszła z podniesionym demonstracyjnie ogonem, wydając kolejny pomruk protestu. Najwyraźniej nie łączyła ich zbyt duża zażyłość.

- Prowadzę śledztwo, zapomniałaś? - Popatrzył za oddalającą się kotką. - Może potrzebuje kuwety?

- Powiedziałabym, że raczej jest głodna.

Niestety, podobnie jak buty i torebka Katharine, kocia karma została zagubiona podczas ucieczki. Zostały tylko miski.

- Nie ma mowy, żebym siedziała tu sama - ostrzegła Nicka Katharine.

Muffy zniknęła w kuchni, Katharine podążyła za kotką z naczyniami na karmę i wodę. Zapaliła po drodze górne światło. Poczowała nagły przypływ energii i ulgi; teraz nie zagrażało jej już bezpośrednio niebezpieczeństwo. Oprócz ciemnych szafek całe wyposażenie kuchni oraz ściany i podłoga były białe.

- Wynająłem to mieszkanie, żeby ci zapewnić bezpieczeństwo - powiedział Nick, wchodząc za nią. Wydawał się poirytowany. Katharine napełniła miseczkę wodą z kranu i pogłaskała pijącą chciwie kotkę. - W szafce nad lodówką jest tuńczyk. Kocie jedzenie się skończyło, ale koty lubią też tuńczyka.

- Będzie potrzebowała kuwety - przypomniała mu Katharine, otwierając szafkę. Znalazła w niej dwanaście puszek tuńczyka, duży wybór zup w puszkach, słoik masła orzechowego, pudełko solonych orzeszków, płatki śniadaniowe, kawę oraz torebkę cukru. W jednej szafce, a było jeszcze pięć. Nie musiała obawiać się głodu.

- Cholera - powiedział Nick, wychodząc, prawdopodobnie, aby zdobyć kuwetę.

W tym czasie Katharine napełniła miseczkę Muffy. Kotka poczuła zapach ryby i czujnie uniosła pyszczek. Jej wielkie niebieskie oczy zabłyśły. Od razu łakomie rzuciła się na jedzenie. Aż mruczała z zadowolenia.

- Nie ma... - Chciała powiedzieć kotce: „Nie ma za co”, ale zaniemówiła nagle. Wpatrywała się w osłupieniu w swoje ramię. Oprócz śladów oparzeń (nad którymi już przeszła do porządku dziennego) zobaczyła mnóstwo brunatnych kropek różnych wielkości. W pierwszej chwili pomyślała, że to piegi, tylko że nie miała piegów. Kuchnia zawirowała jej przed oczami.

- Co się stało? - spytał Nick. Podskoczyła ze strachu, bo nie zauważyła, kiedy wrócił. - Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

- Mam na sobie krew Hendricksa - odpowiedziała spokojnym głosem.

Udało jej się wstać i nie upaść, co uznała za ogromne osiągnięcie. Nick postawił na podłodze zaimprovizowaną kuwetę, czyli tekturowe pudełko wyłożone kawałkami gazet. Katharine miała nadzieję, że kocia duma Muffy jakoś to zniesie. - Muszę natychmiast wziąć prysznic.

Poczuła, że jeśli szybko nie zmyje z siebie krwi Hendricksa, zwymiotuje.

- Dobrze. Pomóc ci w czymś?

- Nie. Ale nie waż się stąd wychodzić, kiedy ja będę w łazience.

- Nie mam zamiaru.

Od razu po wejściu do łazienki zamknęła za sobą drzwi, podniosła deskę klozetową i zwymiotowała. Prysznic zajął jej dwadzieścia minut. Gorąca woda spełniła swoje zadanie. Katharine owinęła się dużym pomarańczowym ręcznikiem, wciągając w nozdrza zapach mydła Irish Spring. Najwyraźniej ulubiony gatunek Nicka. Podeszła do umywalki, żeby umyć zęby, i zauważyła krople krwi na opatrunku, który miała na nosie. Z bijącym sercem rozważała zdjęcie bandaża. Zadrżała na myśl o tym, co pod nim ujrzy. Odczuwała silny opór, jednak mogła już swobodnie oddychać i zmysł powonienia działał właściwie bez zarzutu... Uznała, że już czas, nos wystarczająco się zagoił. Nie potrafiłaby chodzić z opatrunkiem ze śladami krwi zamordowanego człowieka.

Pochyliła się w stronę lustra i delikatnie odkleiła plaster. Zobaczyła pod nim zaczerwieniony, ale całkowicie już normalnie wyglądający nos. Jej nos. Nieco garbaty. Wiele razy już zastanawiała się nad jego korektą, lecz zawsze wynajdywała jakąś wymówkę: a to brak pieniędzy, a to czasu albo też pospolite tchórzostwo.

„Jenna, kochanie, nie chcesz mieć chyba noska jak lalka Barbie?” - powiedział jej ktoś dawno temu. Jakiś mężczyzna. Słyszała w głowie męski głos przepełniony czułością.

Jenna.

Otworzyła szeroko oczy. Łazienka zaczęła wirować wokół niej,

**poczuła okropny ból w skroniach. Przytrzymała się umywalki, żeby nie upaść.**

**Nie myśl o tym, nakazała sobie. Wiedziała, że to jedyny sposób, by ból ustąpił. Spróbowała się uspokoić. Chwiejnie podeszła do drzwi, otworzyła je i oparła się o futrynę. Widziała pogrążone w półmroku wewnątrz sypialni: łóżko z białą pościelą, niebieski fotel w rogu, obok lampa, tania wykładzina na podłodze.**

**- Nick - zawołała cicho.**

**Musiał być w pobliżu, bo usłyszał i przyszedł. Popatrzył na nią pytająco.**

**- O co chodzi?**

**- Nick. Kim jest Jenna?**

SR

## Rozdział 24

Niech to diabli. - Udało mu się złapać ją w ostatniej chwili. - Dobra, trzymam cię. Nie mdlej mi tu!

Bała się powtórzyć pytanie, ale musiała wiedzieć. W głębi serca już wiedziała.

- Kim jest Jenna? - odezwała się ledwie słyszalnym szeptem.

Znów poczuła ostry ból głowy. Jęknęła i zamknęła oczy. Nick opadł na fotel, trzymając ją w ramionach.

- Wszystko będzie dobrze. - Przytulił ją i odgarnął jej włosy z czoła. Usłyszała w jego głosie nutkę lęku i zmusiła się, by otworzyć oczy. Przyglądał się jej w napięciu.

- Spokojnie. Po prostu odpręż się i nie myśl o tym.

- Ja jestem Jenna - szepnęła, wbijając w niego wzrok.

- Prawda?

Nie Katharine. Nigdy nie była Katharine, od początku o tym wiedziała. Krzyknęła z bólu, całe jej ciało buntowało się przed tą świadomością. Oboje znali prawdę. Widziała to w jego oczach. Przez chwilę zobaczyła całą swoją przeszłość jasno i wyraźnie. Potem wszystko uleciało, zostawiając jedynie niejasne przekonanie, że ma na imię Jenna. Nie Katharine.

- Jezus Maria. - W jego tonie pobrzmiwały strach i błaganie. Musiała go mocno wystraszyć. Przycisnął ją mocniej do siebie. Czowała opiekuńczy silny uścisk muskularnych ramion Nicka i jego szybki oddech. - Mówili, że tym razem zrobili wszystko jak należy. Miałaś nic nie pamiętać.

- Pamiętam.

Miała wrażenie, że za chwilę mózg rozpadnie jej się na kawałki. Przywarła do Nicka mocno, a on na zmianę pocieszał ją i kłął z ustami ukrytymi w jej włosach. Ból powoli mijał, odprężyła się i wciągnęła w nozdrza znajomy zapach.

- Kim jest Katharine? Czy ona w ogóle istnieje?

- Tak. Jest dziewczyną Eda Barnes'a. Oraz jego osobistą asystentką.

Pracowała dla nas, a potem ty ją zastąpiłaś.

- Co takiego? - Nic z tego nie rozumiała. A rozpaczliwie chciała zrozumieć. - Jak to?

- Jesteś do niej ładzaco podobna. Nie od razu rzucało się to w oczy z powodu różnic w kolorycie. Jesteście mniej więcej tego samego wzrostu i budowy, choć z początku ona była o jakieś siedem kilogramów szczuplejsza. Schudłaś więc, przefarbowałaś włosy i zmieniłaś fryzurę, poprawiliśmy jeszcze kilka drobiazgów - na przykład zlikwidowaliśmy szparę między zębami, przejęłaś jej sposób bycia i teraz trudno was odróżnić. Macie identyczne rysy twarzy i piękne zielone oczy.

Nie doceniła komplementu. Nie obchodziło jej w tej chwili, co Nick sądzi na temat jej oczu.

- Pod wpływem hipnozy zaczęłam myśleć, że jestem nią?

- Uznaliśmy, że tak będzie dla ciebie bezpieczniej. Barnes nie jest głupi, poza tym wszędzie ma szpiegów i podsłuchy. Musiałaś odgrywać swoją rolę dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie mogłaś wpaść, jeśli myślałaś, że naprawdę jesteś Katharine.

- Wykorzystaliście mnie - stwierdziła z wyrzutem, oskarżycielsko.

- Zawarliśmy umowę. Wszystko było za twoją zgodą i przy twojej współpracy.

Przypomniała sobie scenę sprzed sześciu miesięcy. Stała przy zlewozmywaku w kuchni w swoim własnym domku i wyglądała przez okno na zaśnieżony trawnik. Miała na sobie dżinsy i luźną szarą koszulę. Rudawe loki związała gumką do włosów. Kilka luźnych kosmyków wymknęło się z kucyka i łaskotało ją w nos. Stanowiło to pewien problem, ponieważ ręce miała umazane ziemią doniczkową. Przesadzała właśnie kwiaty. Ogrodnictwo było jedną z jej wielkich pasji. Zawsze miała odrobinę czerni za paznokciami.

Ktoś zapukał do kuchennych drzwi. Tylko przyjaciele i rodzina z nich korzystali. Opłukała dłonie i poszła otworzyć. Na progu ujrzała agenta specjalnego FBI Nicka Houstona. Miał króciutko przycięte włosy i bladą twarz. Wyglądał na zmęczonego. Zamiast zwyczajowej marynarki i krawata włożył tego dnia sfatygowane dżinsy, kowbojki



**i zieloną obszerną bluzę.**

**- Cześć - przywitał się i błyskawicznie wszedł do środka, zanim zdążyła mu zatrzaskać drzwi przed nosem, na co miała ogromną ochotę. Patrzył na nią z bezczelnym uśmiechem.**

**- Dobrze, że nie jestem wrażliwy. Mógłbym pomyśleć, że nie cieszysz się na mój widok.**

**- Wynoś się! - krzyknęła, a kiedy nie posłuchał, rzuciła w niego kapciem.**

**Uchylił się i gumowy kłapek trafił w szafkę. Nick uniósł rękę.**

**- Czekaj! Chwileczkę! Mam dla ciebie pewną propozycję.**

**Zawahała się. Stała bosą, ściskając w dłoni drugi kłapek. Patrzyła na niego wrogo.**

**Ból zaatakował bez ostrzeżenia i wspomnienie znikło, choć wiedziała, że wciąż kryje się gdzieś w zakamarkach jej umysłu, do których nie ma dostępu. Przycisnęła dłoń do skroni.**

**- No dobrze, musimy zmodyfikować plan działania. Trzeba cię zabrać do lekarza.**

**- Nie.**

**Miał na myśli rządowego psychiatrę. Pamiętała go jak przez mgłę: przeciętnie wyglądającego mężczyznę o inteligentnym spojrzeniu. Spotkała go tamtej nocy w lesie.**

**- Słuchaj, przerażasz mnie. Martwię się o ciebie. Tak czy inaczej miałaś się spotkać z doktorem Feahem po zakończeniu sprawy. W tych okolicznościach moglibyśmy przyspieszyć termin wizyty i pójść do niego natychmiast.**

**- Nie. Nie pozwolę już nikomu grzebać w swojej głowie. Nie ma mowy.**

**- Jenna... - odezwał się do niej jak do upartego dziecka. Wspaniale było usłyszeć swoje prawdziwe imię.**

**- Nie pójdę. Musiałbyś mnie tam zabrać siłą. Chcę o coś zapytać - pamiętam, jak rzuciłam w ciebie kłapkami, kiedy zacząłeś mówić o jakiejś propozycji. Co to była za propozycja?**

**Jego twarz wyglądała jak wyrzeźbiona w kamieniu. Odwrócił wzrok.**

- Nick. Proszę, powiedz.

- Koniecznie chcesz wiedzieć? W porządku. Zaproponowałem ci wcielenie się w rolę Katharine Lawrence w zamian za wyciągnięcie z więzienia twojego ojca.

Poczuła się, jakby ją uderzył. Przed oczyma wirowały strzępy wspomnień. Ojciec wychowywał ją sam po śmierci matki, która zginęła w wypadku samochodowym, kiedy Jenna miała cztery lata. To on odradzał jej operację nosa, gdy wpadła na ten pomysł będąc nastolatką. Kochała swojego tatę najbardziej na świecie.

- Mój ojciec jest w... - Ujrzała go nagle przed sobą. Jasno i wyraźnie. Uśmiechał się. Był niewysoki, dobrze zbudowany, prawie zawsze ubrany w białą koszulę z krótkim rękawem, czerwony krawat i czarne spodnie. Miał mocno kręcone siwe włosy i wiecznie uśmiechniętą życzliwą twarz. Tamtego dnia spotkali się przed siedzibą firmy w Baltimore. Pokazał jej świeżo założoną tabliczkę na drzwiach wejściowych. Widniał na niej napis: „Michael T. Hill i Córka”. Skończyła właśnie uniwersytet w Maryland i z dyplomem z księgowości w kieszeni miała zacząć pracę na pełen etat. Zamierzała popracować dla ojca tylko przez jakiś czas, żeby mu pomóc i zdobyć doświadczenie pod jego okiem. Jednak jej zdolności organizacyjne i pracowitość w połączeniu z talentem ojca do przyciągania i oczarowywania klientów okazały się bezcenne. Firma prosperowała świetnie, rozrastała się, minęły cztery lata, a ona wciąż pracowała, czasem po dwanaście godzin, często w niedziele, jeśli trzeba było. Rozpadło się przez to kilka jej związków, nie miała na nie czasu, za to firma Hill (namówiła ojca, by skrócić nazwę) zatrudniała szesnastu pracowników i przynosiła roczny dochód miliona dolarów.

Pewnego letniego wieczoru na progu pojawił się wilk w owczej skórze pod postacią agenta specjalnego FBI Nicka Houstona. Oczywiście wtedy jeszcze nie miała pojęcia, jakie stanowił zagrożenie. Nie wiedziała również, że pracuje w FBI. Ojciec przedstawił go jako klienta. Po raz pierwszy ujrzała Nicka w sobotni wieczór około dwóch lat temu. Siedziała w pustym biurze kończąc

raport finansowy, który musiał być gotowy na poniedziałkowe spotkanie z klientami. Była w swoim prywatnym gabinecie za zamkniętymi drzwiami. Ze zmarszczonym czołem wpatrywała się w cyfry, bo coś jej się nie zgadzało. Usłyszała głosy dochodzące z przyległego pokoju, należącego do ojca. Zdziwiła się, bo zwykle nie pracował w weekendy. Poszła na zwiady i zastała tatę, który zwykle spędzał soboty na grze w golfa, przy komputerze. Kolejne zaskoczenie, ponieważ ledwie potrafił go obsługiwać. Za jego plecami, spoglądając na ekran monitora, stał przystojny nieznajomy. Ojciec miał na sobie strój do golfa - żółtą koszulkę polo i białe spodnie. Towarzyszący mu wysoki, szczupły trzydziestokilkulatek z krótko ostrzyżonymi blond włosami ubrany był w granatowy blezer, białą koszulkę i szary krawat w paski. Właściwie mundur agenta federalnego, ale wtedy jeszcze o tym nie wiedziała. Nie miała najmniejszych podejrzeń.

Obaj na nią popatrzyli. Ojciec wyglądał jak mały chłopczyk przyłapany na wykradaniu ciastek. Sprawiał wrażenie speszonego i niezbyt zadowolonego z jej widoku. Było to na tyle niezwykle, że poczuła przyływ niepokoju.

- Jenna. Nie wiedziałem, że dziś pracujesz. - Mike Hill zerknął przez ramię na swojego gościa, który mierzył Jennę aprobującym spojrzeniem głębokich błękitnych oczu. Przypomniała sobie, że jest ubrana w wieczorową krótką czarną sukienkę, eksponującą figurę. Nie miała butów. Nie zносиła szpilek, więc na razie je zdjęła. Zakłopotana się i zmarszczyła czoło. - To... to jest...

- Nick Evans - skłamał, podając jej rękę na przywitanie. - Pani musi być córką Mike'a.

- Jenna. Miło mi pana poznać, panie Evans.

- Nick - powiedział z uśmiechem. Odwzajemniła uśmiech. Dziwne zachowanie ojca wciąż dawało jej do myślenia. Kiedy zostali sami, spytała, o co chodzi, ale odrzekł, że to po prostu ważny potencjalny klient. Jego zdobycie przyniosłoby im pokaźny zysk, dlatego bardzo mu na nim zależy. Uwierzyła mu, bo była wtedy prostoduszna i naiwna.

Od tego czasu Nick często pojawiał się w ich biurze. Nigdy nie pracował z nią ani z żadnym innym księgowym, tylko z ojcem, co było nietypowe. Jednak Mike Hill zbywał wszelkie pytania, a ją zbyt zauroczyła powierzchowność i urok klienta, by kwestionować jego intencje.

Gorzka prawda przedstawiała się tak, że zaczynała się w nim zakochiwać. Serce biło jej szybciej, kiedy przychodził do pokoju, kiedy się uśmiechał, miękły jej kolana, marzyła o rzuceniu mu się na szyję i namiętym pocałunku. Nie zdradzała się ze swoimi uczuciami, ponieważ byłoby to nieprofesjonalne. Choć wyczuwała zainteresowanie z jego strony objawiające się w drobnych gestach i spojrzeniach, on również nigdy nie wykonał żadnego kroku. Nie zaprosił jej nigdzie, nie próbował pocałować, nie zrobił nawet najmniejszej aluzji. Ani razu. Po prostu wpatrywał się w nią płonąącym wzrokiem i utrzymywał dystans.

Aż do dnia, w którym dowiedziała się prawdy.

To był czwartek, całkiem zwyczajny dzień pod koniec stycznia. Zimny, szary i mokry. Szczelnie opatulona w płaszcz z wielbłądziej wełny i ze szpilkami w rękę szykowała się do wyjścia z biura. Wszyscy inni skończyli już pracę. Ojciec został dłużej niż zazwyczaj i wyszedł piętnaście minut wcześniej. Była dziewiętnasta, a ona padała ze zmęczenia. Postanowiła jednak wpaść po drodze do taty w nadziei, że zastanie u niego Nicka. O tym właśnie myślała, wychodząc na zaśnieżony pusty parking. Kuląc się z zimna, ruszyła do swojego samochodu. Nagle zauważyła szare bmv taty. Podeszła zaskoczona. Mike Hill leżał nieruchomo na asfalcie obok samochodu.

- Tato! O Boże! - Padła na kolana obok niego i chwyciła go za ramiona. - Tato! Tato!

Ku jej nieopisanej uldze jęknął, poruszył się i otworzył oczy. Była wdzięczna losowi, że jej najgorsze obawy się nie potwierdziły.

- Co się stało? Przewróciłeś się? - Głos jej zadrzał na widok jego zapuchniętego oka i rozciętej wargi. - Ktoś cię napadł?

Przetrzęsła torebkę w poszukiwaniu telefonu, cały czas rozglądając się nerwowo wokół. Parking nadal pozostawał pusty.

- Nie ruszaj się. Dzwonię po karetkę.

- Nie! Nigdzie nie dzwoń. - Chwycił ją za rękę. Jego głos zabrzmiał zaskakująco ostro. - Pomóż mi wsiąść do samochodu i wynośmy się stąd. Oni mogą wrócić.

Próbował usiąść, ale nie zdołał. Po raz pierwszy widziała ojca przerażonego i sama wpadła w panikę.

- Kto może wrócić? - Wyrwała rękę z jego uścisku. - Nie ruszaj się. Dzwonię po policję.

- Nie! Nie rozumiesz? Jeśli to zrobisz, zabiją nas oboje. Zadzwoń po Nicka.

- Nicka? - zdziwiła się.

Wtedy właśnie świat, który знаła, rozpadł się na kawałeczki.

- On jest z FBI - wyjaśnił ze znużeniem Mike. Z kącika warg ciekła mu struzka krwi. - Po prostu powiedz, żeby przyjechał, dobrze? Jego numer jest zapisany w moim telefonie. Mam go w kieszeni.

Zrobiła, co kazał.

- Mówi Jenna. Mój ojciec został ranny. Prosił, żeby do ciebie zadzwonić. Jesteśmy na parkingu przed firmą.

- Już jadę.

Obawiając się, że „oni” mogą wrócić, pomogła ojcu ułożyć się na tylnym siedzeniu samochodu.

- Hej! - Podskoczyła, słysząc za sobą głos Nicka. - Jesteś ranny? - zwrócił się do Mike'a Hilla.

- Kilka złamanych żeber. Bywało gorzej - odpowiedział ten z wysiłkiem.

- Czy to Manucci?

- Tak. Nie był zadowolony z procentu od zysków, więc przysłał dwóch zbirów, aby rai to uświadomili. Dopadli mnie na parkingu. Powiedzieli, że jeśli się bardziej nie postaram, skrzywdzą Jennę.

- Dobra. - Zamknął samochód i chwycił Jennę za łokieć. W niczym nie przypominał czarującego mężczyzny, który ją zauroczył. Wyglądał groźnie. - Zawiozę Mike'a do domu. Jedź za mną. Później wrócę po swój samochód. - To mówiąc, poprowadził ją do auta, podnosząc po drodze torebkę i buty, które upuściła.



- Pracujesz w FBI? - zapytała z niedowierzaniem. - Tak.

- Co się dzieje? - Znajdowała się w szoku i była tego świadoma, jednak zachowała na tyle przytomność umysłu, by wiedzieć, że cokolwiek się dzieje, muszą się z tego natychmiast wycofać. - Coś poważnego? Chodzi o nas?

- Na pewno nie o ciebie. - Otworzył przed nią drzwi. - Wskakuj.

- Co masz na myśli? - Chwyciła go za rękaw marynarki. - Nie o mnie, czyli o tatę? Proszę, powiedz mi.

- Powinnaś spytać Mike'a. Teraz jedźmy już. Odwrócił się i odszedł w stronę samochodu ojca. Serce biło jej jak oszalałe, kiedy patrzyła na jego oddalającą się sylwetkę.

Tego wieczoru Mike Hill wyznał córce prawdę. Pojechali do jego domu, Nick zadzwonił po współpracującego z FBI lekarza, który opatrzył obrażenia. Mike leżał na łóżku, oddychając z trudem z powodu połamanych żeber. Chwycił ją za rękę i z płaczem wyjaśnił, że mafia wykorzystuje ich firmę do prania brudnych pieniędzy. Niejaki Phillip Manucci, mafioso, to jeden z ich głównych klientów. Jego tropem dotarł do firmy Nick. Śledztwo zbliżało się ku końcowi, co oznaczało koniec lokalnej mafii i wszystkich związanych z nią interesów. Łącznie z ich firmą.

- Tak mi przykro, skarbie. Nasza sytuacja finansowa nie wyglądała zbyt ciekawie. Musiałem cię wychować i zapewnić ci wykształcenie. Zaczęło się tak niewinnie, potrzebowałem pożyczki i Manucci był jedyny, który nie odmówił. Potem poprosił mnie o radę. Miałem się do niego odwrócić plecami? Nikt, kto zachował się w ten sposób wobec Phillipa Manucciego, nie przeżył. Potem wszystko potoczyło się jak lawina i nie było odwrotu. Od lat prałem pieniądze mafii, kiedy pojawił się Nick. Gdy zwróciło się do mnie FBI, wiedziałem, że nie mam wyboru, że to koniec. Nick miał rację, współpraca z nim oznacza kilka lat w więzieniu, natomiast kontakt z Manuccim to pewna śmierć, prędzej czy później. Nawet jeśli sam się jej nie obawiam, muszę myśleć o tobie. - Zamknął oczy, spod powiek popłynęły łzy. - Narobiłem bałaganu, Jen.

Jenna była wstrząśnięta. Ojciec jawił się jej zawsze jako opoka,



oparcie i kotwica w życiu. Niezależnie od tego jak bardzo zawinił, gdy oglądała go w takim stanie, ścisnęło jej się serce.

- Wszystko będzie dobrze, tato - zapewniała z płaczem, przytulając się do niego. - Razem przez to przejdziemy. Nie martw się już, proszę.

Została z nim, dopóki tabletki przeciwbólowe nie zaczęły działać. Wtedy zasnął. Zawsze mogła na niego liczyć - opiekował się nią i ją chronił. Miała zamiar zrobić to samo dla niego. Z tym postanowieniem poszła do salonu, żeby porozmawiać z Nickiem. Oglądał kanał sportowy rozciągnięty wygodnie na skórzanej kanapie. Serce podeszło jej do gardła na widok broni przypiętej do paska. Nick wyprostował się, kiedy weszła do pokoju.

- Jak tam Mike?

- Zmartwiony i przerażony. - Usiadła obok niego na kanapie. Była boso, miała na sobie jedwabną piżamę taty i szlafrok. - Podobnie jak ja.

- Nie pozwolę, by cokolwiek złego was spotkało. Nie masz się czym martwić.

Siedzieli bardzo blisko siebie, dotykając się ramionami.

- Nie martwię się o siebie, tylko o tatę. - Ujęła ciepłą dłoń Nicka w obie ręce. Serce zabiło jej mocniej, kiedy spotkały się ich spojrzenia. Mimo okoliczności, tego co o nim wiedziała, zagrożenia, jakie stanowił dla jej ojca, wciąż czuła, że jest między nimi jakaś dziwna więź. - Co z nim będzie?

- Pójdzie do więzienia. Będę zeznawał na jego korzyść, nie powinien dostać więcej niż kilka lat.

- Kilka lat. - Zrobiło jej się słabo. Uniosła jego dłoń do twarzy. Nick zmrużył oczy i zacisnął usta, jednak nie cofnął ręki. Uznała to za dobry znak. - To starszy człowiek. Więzienie może go zabić.

- Więzienie go nie zabije, za to Manucci na pewno. Wzięła głęboki oddech.

- Musi istnieć jakiś sposób, możesz coś zrobić... - Nie.

- Nick, błagam... - Musnęła wargami wnętrze jego dłoni.

Rozmyślnie rozchyliła usta. Jego ręka zeszywniała, wciągnął głośno

powietrze, oczy mu pociemniały. Przeskoczyła między nimi jakaś iskra. - Zrobię wszystko, wszystko, jeśli uchronisz mojego ojca przed wyrokiem.

Pochylił się ku niej, wpatrując się głodnym wzrokiem w każdy szczegół jej twarzy. Potem ją pocałował, przyprawiając Jennę niemal o utratę zmysłów. Długo i namiętnie.

- Zapomnij o tym, anielskooka - oświadczył nagle niskim, ochryplym głosem i wstał. Patrzyła na niego płonąącym wzrokiem. - Nawet gdybym chciał, nie dałbym rady. W sprawę jest zaangażowane zbyt wiele osób.

Zabrał z krzesła marynarkę i krawat i już go nie było.

Dwa dni później wymogła na ojcu, by jej pokazał dokumenty Manucciego. Siedzieli pochyleni nad komputerem w piwnicy, gdzie trzymali kopie ksiąg. Jenna zamierzała trochę nad nimi popracować, żeby wyglądały lepiej w świetle prawa. Nie obchodziły jej konsekwencje.

Nagle pojawiło się przed nimi dwóch drabów od Manucciego. Odciągnęli Jennę od ojca i przywiązali ją do krzesła. To właśnie przyśniło jej się tamtej nocy w chatce Nicka. Manucci zorientował się, że FBI depcze mu po piętach, i chciał się pozbyć ewentualnych świadków, którzy mogli go obciążyć swoimi zeznaniami. Jenna i jej ojciec mieli umrzeć. W ostatniej chwili zostali uratowani przez Nicka i jego ludzi. Mike zemdłał i upadł w kałużę krwi. Podbiegła do niego, kiedy tylko została oswobodzona z więzów. Pojechali na pogotowie. Tej samej nocy ojciec został aresztowany.

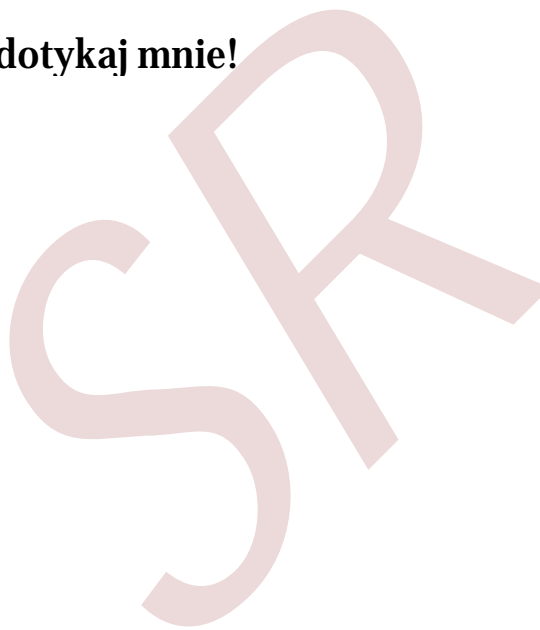
Zanim pojawił się w jej kuchni z „propozycją”, widziała Nicka na procesie jej ojca w czerwcu zeszłego roku. Zeznawał jako świadek i beznamiętnie opowiadał o zasługach Mike'a Hilla podczas śledztwa w sprawie Manucciego. Jenna siedziała na sali. Prawie go wtedy nienawidziła, ale wciąż czuła dziwne drżenie na jego widok. Z tego powodu nienawidziła go jeszcze bardziej. Ojciec został skazany na dziesięć lat więzienia, a ona zalewała się łzami, które oczywiście w niczym nie pomogły.

Zatrudniła się w firmie zakładającej ogrody. Mogła sama sobie

ustalać grafik, praca była relaksująca i bezstresowa, zawsze lubiła ogrodnictwo. Miała nadzieję, że kontakt z przyrodą pomoże jej wrócić do równowagi psychicznej.

Pewnego styczniowego dnia ponad pół roku temu przyszedł do niej Nick. Nick, na którego kolanach teraz siedziała. Który szeptał jej do ucha uspokajające słowa. Czuła się w jego ramionach tak dobrze, tak bezpiecznie... Chciała w nich pozostać na zawsze. Nagle przypomniała sobie, kim był i co zrobił. Zesztywniała i zacisnęła dłonie w pięści. Nick popatrzył na nią z zaskoczeniem. Jej oczy rzucały błyskawice.

- Ty draniu! Nie dotykaj mnie!



## Rozdział 25

Nie spuszczał z niej zdumionych oczu. Zerwała się z jego kolan, omal nie gubiąc ręcznika. Po raz pierwszy od długiego czasu czuła się w pełni sobą i była wściekła.

- Dla twojej informacji, właśnie sobie wszystko przypomniałam - wycedziła przez zęby.

Rozparł się wygodnie w fotelu z denerwującą nonszalancją.

- Ach tak?

- Obiecałeś mi bezpieczeństwo. Miałeś się wszystkim zająć. Powiedziałeś, że nie będę musiała nawet się spotkać z Edem. - Tupnęła by nogą, ale obawiała się, że ręcznik spadnie. - Nie powiedziałeś natomiast, że ktoś będzie mi grzebał w mózgu, ty kłamliwy, podły łajdaku.

Uśmiechnął się.

- Witaj z powrotem, anielskooka - powiedział łagodnie.

Jenna była bliska wybuchu.

- Anielskooka? Nie waż się tak do mnie mówić. Przez ciebie wyprano mi mózg, byłam bita, torturowana i kilka razy omal nie zginęłam. Dość. Wycofuję się, słyszysz? Rezygnuję. - Drżała z wściekłości. - Wywiązałam się ze swojej części umowy. Teraz ty się wywiąż ze swojej i wyciągnij mojego ojca z więzienia. - Zmrużyła powieki. - Lepiej, żebyś nie próbował się z tego wykręcić, bo pójdę do mediów i opowiem ze szczegółami o twoim supertajnym dochodzeniu.

- Grozisz mi? - spytał wyraźnie rozbawiony.

- Żebyś wiedział.

Wstał, a ona się cofnęła. Nie bała się. Zbyt dobrze знаła Nicka Houstona, by dać się onieśmielić jego imponującej posturze. Po prostu nie chciała być tak blisko niego. I co z tego, że serce jej biło jak oszalałe. Z irytacją uświadomiła sobie, że dziwne zauroczenie jego osobą wciąż trwa.

- Nie mam ci tego za złe.

Popatrzyła na niego podejrzliwie. Wydawało się, że mówił szczerze. Światło padające z otwartych drzwi łazienki padło na jego złotawe włosy i odbiło się w zwodniczo łagodnych błękitnych oczach. Pomyślała, że to niesprawiedliwe - był tak niesamowicie seksowny.

- Nie?

- Nie. I nie musisz się martwić. Twoja rola jest skończona, a umowa nadal obowiązuje. Mike wyjdzie na wolność, już się o to staram. - Pogładził ją kciukiem po policzku. Cofnęła się, jednak niezbyt daleko. Nie była w stanie odwrócić się do niego plecami. Jakaś jej część - głupia część - wciąż go pragnęła.

- Mam nadzieję, że mówisz prawdę. Posłał jej łobuzerski uśmiech.

- Naprawdę mi nie ufasz, co?

- Naprawdę.

- Cóż, trudno ci się dziwić. Nie przewidziałem wszystkiego.

Barnesa miało nie być w mieście, kiedy się pojawisz. Gdyby sprawy potoczyły się zgodnie z planem, nie musiałybyś się z nim spotykać. Miałaś tylko udawać Katharine przez tydzień, w czasie kiedy ona składała zeznania przeciwko Edowi. Nie chcieliśmy, żeby nabrał podejrzeń. Najwyraźniej coś poszło nie tak, bo się zorientował. Ale musisz mi uwierzyć: kiedy cię w to wplątałem, nie miałem pojęcia, że coś ci grozi. Wstyd mi, że dopuściłem, aby cię skrzywdzili. - Wziął ją za rękę. Pozwoliła mu na to, choć przez chwilę miała ochotę się wyrwać. Popatrzył na oparzenia po papierosach i zacisnął zęby. - Szalałem z niepokoju, słysząc twój krzyk i nie mogąc do ciebie pobic.

Przyłożył jej dłoń do swojego policzka. Wciągnęła gwałtownie powietrze, przypominając sobie jego zdradę i swój żal, ale nie potrafiła się cofnąć. Musiała go najpierw wysłuchać do końca.

- Gotów byłem zrobić wszystko, żeby cię uratować, i pobiegłbym tam sam bez wahania, gdyby zaszła taka konieczność. - Pocałował wnętrze jej dłoni. Znowu przypomniało jej się, jak błagała go o uratowanie ojca przed więzieniem, a Nick tego nie zrobił. Pocałował ją i odrzucił, zostawiając załamana i upokorzona. Wyrwała mu rękę i

popatrzyła na niego wrogo.

- Do czego zmierzasz? Na razie nie jestem zainteresowana.

- Niczego mi nie zamierzasz ułatwić, co? Zasłużyłem sobie. - Schował ręce do kieszeni. - Oczarowałaś mnie w chwili, kiedy weszłaś bosą do gabinetu ojca. Im lepiej cię poznawałem, tym bardziej mnie pociągałaś. - Zmrużyła ostrzegawczo oczy, by pokazać że jest odporna na takie gierki. - Nie mogłem jednak ci tego okazać, ponieważ prowadziłem sprawę, w którą był zamieszany twój ojciec. Jakikolwiek osobiste zaangażowanie stanowiłoby poważny konflikt interesów. Kiedy błagałaś mnie, żebym mu pomógł, omal nie zwariowałem. Było mi cię strasznie żal i jednocześnie szalenie mnie pociągałaś. Musiałem odejść, bo miałem pracę do wykonania. Z tego samego powodu trzymałem się od ciebie z daleka przez te wszystkie miesiące, choć nie mogłem przestać o tobie myśleć.

Wpatrywała się w niego już nie podejrzliwie, a z nadzieją. Zauważył zmianę w jej nastawieniu i uśmiechnął się lekko.

- Zdawałem sobie sprawę, że Mike nie jest złym facetem, i wiedziałem, jak bardzo się kochacie. Szukałem jakiegoś sposobu, żeby wam pomóc, i dostrzegłem szansę w twoim podobieństwie do Katharine Lawrence. Od jakiegoś czasu już z nami współpracowała, potrzebowaliśmy jej na tydzień, żeby mogła złożyć zeznania, ale nie chcieliśmy wzbudzać podejrzeń Barnesa. Uznałem, że najlepiej będzie podstawić kogoś na jej miejsce w czasie, kiedy będzie z nami. Padło na ciebie. Wykorzystałem twoje fizyczne podobieństwo do Katharine, żebyś mogła pomóc ojcu i po to, żeby znów się do ciebie zbliżyć. Ponieważ za tobą szaleję.

Zapadło pełne napięcia milczenie. Zabrakło jej tchu z wrażenia. Przyglądała się ze zmarszczonym czołem twarzy Nicka. On patrzył na nią zmrużonymi oczami, bez uśmiechu.

- Nic nie powiesz? Wiesz, rozmowa zazwyczaj polega na tym, że ja coś mówię, potem ty coś mówisz...

- Nie. - Zamiast tego zrobiła coś, o czym zawsze marzyła. Podeszła, objęła go za szyję i pocałowała.

Podobnie jak poprzednio poczuła lekki smak kawy na jego ustach.



Nick przez chwilę stał nieruchomo, zanim odwzajemnił pocałunek, przyciągając ją jeszcze bliżej do siebie.

- Jenna - odezwał się nagle ochryłym głosem, ku jej ogromnemu rozczarowaniu, odrywając usta od jej warg.

- Nick - odpowiedziała, rozkoszując się ciepłą bliskością jego ciała. Zatonęła w jego spojrzeniu. Uśmiechnęła się i pogładziła go po szyi.

Wciągnął gwałtownie powietrze. Czuła emanujące z niego napięcie.

- Tak bardzo cię pragnę - wyznała.

- To chyba moja kwestia - odparł z uśmiechem i znów ją pocałował. Całkowicie zatraciła się w tym pocałunku.

Nick, Nick, Nick... powtarzała w myślach jego imię niczym mantrę. Od tak dawna go pragnęła, a teraz płonęła, roztopiała się z pożądania.

- Nick - szepnęła ledwie słyszalnie.

- Hmm?

- Kochaj się ze mną.

- Taki mam zamiar. Od dawna.

Wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Po drodze opadł ręcznik. Nick delikatnie muskał ustami jej szyję. Zawahała się przez chwilę, myśląc, jak go jeszcze niedawno nienawidziła. Zdała sobie jednak sprawę, że to nieprawda. Przez cały czas była zakochana w Nicku do szaleństwa. Nie zamierzała się na razie z nim dzielić tą myślą. Najpierw musi się z nią sama oswoić. Poczowała lekki niepokój. Zesztywniała, bliska wycofania się. Wtedy właśnie Nick zdjął koszulę i zapomniała o wątpliwościach, widząc jego opalony, umięśniony tors. Zdała sobie sprawę, że on również przygląda się jej nagiemu ciału z aprobatą, która przyprawiła ją o rozkoszne drżenie. Nagle przypomniała sobie o efekcie brazylijskiej depilacji i poczerwieniała.

Nick uśmiechnął się i zaczął rozpinąć spodnie.

- Pospiesz się.

- Kotku, dwie sekundy i będziesz moja.

Rozebrał się błyskawicznie i znalazł się przy niej na łóżku. Jego ręce i usta były wszędzie.

To Nick, pomyślała, zatracając się w jego pocałunkach i dotyku. Nick, za którym tęskniła od tak dawna.

- Och... - odezwała się inteligentnie.

- Świetny tatuaż - wymamrotał Nick chwilę później.

- Lepiej, żeby był zmywalny. - Usiłowała nadać głosowi ostrzegawcze brzmienie, choć z trudem chwytła oddech.

- No. Dasz się namówić na trwałe?

- Nie ma mowy.

Przywarł ustami do małego serduszka i przesunął językiem wzdłuż strzałki, która nagle miała wielkie znaczenie.

- Smakujesz jak truskawki - powiedział niskim gardłowym głosem. - Od zawsze byłem ciekaw...

Objął ją mocno i całował bez końca. Świat wokół nich przestał istnieć.

- Kocham cię, Nick, kocham cię, kocham... Potem leżeli obok siebie w cichym upojeniu. Nagle otworzyła szeroko oczy, uświadomiwszy sobie, co powiedziała. Za wcześnie na takie wyznania. Nick wsparł głowę na ramieniu i popatrzył jej prosto w oczy. Zamrugła.

- Musimy porozmawiać.

- Ja... - Miała zamiar uciec do łazienki, żeby uniknąć niezręcznej sytuacji. Nagle poczuła brutalne drapanie w plecy. Krzyknęła.

## Rozdział 26

Co u licha? - zaniepokoił się Nick. Muffy zeskoczyła z pleców Jenny z lekkością i wdziękiem nosorożca i usiadła w rogu materaca, wpatrując się w nich wyjątkowo nieprzychylnie.

- Ale się wystraszyłem. - Nick opadł z powrotem na poduszki z westchnieniem ulgi.

- Ty się wystraszyłeś? - oburzyła się Jenna, która właśnie sięgała po leżący na podłodze ręcznik, rozcierając jednocześnie zadrapanie miejsce. - To na mnie wskoczyła z pazurami!

- Niedobry kotek. Poczekaj chwilę. Gdzie się wybierasz?

Jenna postanowiła odzyskać kontrolę nad sobą. Kochanie się z Nickiem było elektryzującym doświadczeniem, natomiast uświadomienie sobie, że go kocha, nieco ją przerażyło. Nie знаła jego uczuć. Mężczyźni mówią różne rzeczy, gdy chcą zaciągnąć kobietę do łóżka, i niekoniecznie świadczy to o ich miłości. Jej głupie wyznanie odstąpiło ją i uczyniło podatną na zranienie. Nick miał nad nią przewagę, którą mu lekkomyślnie oddała.

Była niemal pewna, że właśnie o tym chciał rozmawiać. Ona wolała na razie nie poruszać tego tematu, dopóki nie dojdzie do ładu sama ze sobą i nie poczuje się pewniej we własnej skórze.

- Do ła... - Zatrzymała się w pół kroku i w pół słowa. Odwróciła się i ujrzała zapierający dech w piersiach widok: nieprzyzwoicie atrakcyjny całkiem nagi mężczyzna głaskał kota. Muffy mruczała z zadowoleniem. Jenna poczuła nedorzeczne ukłucie zazdrości. Jej kotka nigdy nie wyglądała na tak zadowoloną. Nagle coś sobie uświadomiła i zmarszczyła brwi. - Poczekaj chwilę. To nie jest mój kot.

- Nie - zgodził się z nią Nick, drapiąc Muffy za uszami.

- To kotka Katharine. Prawdziwej Katharine. - Tak.

- Nic dziwnego... - Urwała, kiedy zobaczyła wyraz twarzy Nicka. Trzymał w dłoni plastikową etykietkę, którą zauważyła wcześniej przy obroży Muffy.

- O Jezu. - Wpatrywał się w kawałek plastiku, jakby znalazł skarb. - To chyba przenośny dysk. Co, do cholery, robi przy kociej obroży?

- Nie mam pojęcia. - Jenna również wpatrywała się w niewielki przedmiot w dłoni Nicka.

Muffy sprawiała wrażenie dezorientowanej i niezbyt zadowolonej. Machała ogonem i próbowała się odsunąć, kiedy Nick zdejmował jej obrozę. Długo nie powróci do kocich łask, przewidywała Jenna.

- To Katharine coś schowała. Niezła kryjówka. To musi być coś ważnego.

- Może właśnie tego szukali włamywacze? W sejfie nie znaleźli, więc jeden z nich wrócił następnego dnia.

Popatrzyli na siebie.

W oczach Nicka malowało się podniecenie. Pieczołowicie odłożył obrozę na stolik i zaczął się ubierać. Jenna nadal podziwiała jego ciało.

- Jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić. Mam laptop w samochodzie.

- Ciekawe, co tam jest.

- Nie mam pojęcia. - Włożył buty, nie zwracając sobie głowy skarpetkami. - Jednak znając Katharine, myślę, że to coś interesującego. Zaraz wracam.

- Obiecujesz? - spytała z nagłą niepewnością. - Tak.

Postanowiła skorzystać z okazji, żeby się ubrać. Zadrzała na myśl o zakrwawionych ubraniach, które zostawiła w łazience. Nick wspominał, że kupił dla niej jakieś rzeczy. Może miał na myśli ciuchy. Znalazła w szafie plastikową torbę z logo sklepu Macy, a w niej dwa komplety jedwabnej bielizny, dwie pary krótkich spodenek w kolorze khaki, dwie koszulki i klapki. Zabrała ubranie do łazienki. Kiedy się ubierała, usłyszała odgłos kroków w mieszkaniu.

- Jenna! - zawołał Nick niezbyt głośno, za to z pewną niecierpliwością, która skłoniła ją do natychmiastowego otworzenia drzwi.

Wpadł do środka. Jenna utkwiała wzrok w wielkim srebrzystym

rewolwerze.

- Musimy szybko stąd uciekać.

- Co się stało?

- Namierzyli nas. Przeszukują samochód. Zaraz tu będą. Chodź. Wciągnęła koszulkę przez głowę i ruszyła za nim do wyjścia.

- Poczekaj. - Zatrzymał się na środku sypialni i popatrzył na jej stopy. - Tak myślałem: znów na bosaka.

- Racja. - Wróciła po klapki. Po drodze rzuciła okiem na nocny stolik. - Zabrałeś dysk?

- No pewnie. Chodźmy już. - Złapał ją za rękę i pociągnął za sobą w stronę drzwi. Zatrzymał się, przez moment nasłuchując.

- W porządku - szepnął.

Kot przebiegł im pod nogami i wypadł na korytarz, miaucząc głośno i wymachując puszystym ogonem.

- Cholera. Co ty robisz?

Pytanie skierował do Jenny, która próbowała schwytać Muffy.

- Nie możemy jej tu zostawić.

- Oczywiście, że możemy.

Złapał ją ponownie za rękę, obrzucając nerwowym spojrzeniem korytarz, i pociągnął ją w stronę schodów. Musieli pójść schodami, ponieważ ktoś nadjeżdżał windą. W środku nocy, w uśpionym budynku nie mógł to być nikt inny niż ich prześladowcy. Na ucieczkę pozostały sekundy. Gdyby nie Nick i poczucie bezpieczeństwa, jakie jej dawał, Jenna z pewnością umarłaby ze strachu. Na samą myśl o Edzie oblała się zimnym potem. Zabiłby ją, bez względu na to, kim jest. Byli już na ciemnej klatce schodowej, kiedy usłyszeli dźwięk rozsuwających się drzwi oraz głośne miauknięcie. Muffy minęła ich i zbiegła po schodach.

- Cholerny kot - mruknął Nick. Panowała przeraźliwa cisza.

- Nic nie słyszę - szepnęła. - Powinni chyba teraz walić do drzwi.

- Nie muszą. Pewnie już są w środku i przeszukują mieszkanie.

Niedługo sprawdzą schody.

Z tą radosną myślą dotarli do drzwi wyjściowych, przy których czekała już Muffy. Jenna wzięła ją na ręce.

- Co ty robisz?

- Jeśli za nami pobiegnie, pokaże im, gdzie jesteśmy. Poza tym nie mogłaby zostawić jej samej w nieznannej okolicy, bez jedzenia i wody. Pośród bezpańskich psów Muffy z pewnością nie poradziłaby sobie najlepiej. Była kotem domowym, nie włóczęgą. A choć do niej nie należała, Jenna czuła się za nią odpowiedzialna.

- W porządku. Daj mi ją. - Nick, nie tracąc czasu na zbędne dyskusje, wziął kota pod pachę i otworzył drzwi. - Biegnij najszybciej, jak potrafisz, do tamtego budynku. Nie zatrzymuj się pod żadnym pozorem.

Budynek, który wskazywał, był niemal taki sam, jak ten, z którego uciekali. Znajdował się po drugiej stronie ulicy. Jenna czuła się okropnie, biegnąc przez otwarty teren w świetle ulicznych latarni. Własne kroki wydawały jej się przeraźliwie głośne, jezdnia była nierówna, klapki niewygodne. Zerknęła w stronę parkingu. Z miejsca, gdzie się znajdowała, nie widziała blazera, za to dostrzegła trzy czarne subarbany zaparkowane w równym rzędzie na końcu parkingu. Wcześniej ich nie było. Nie miała wątpliwości, do kogo należały.

Zdyszana ukryła się za rogiem, czekając na Nicka. Przybiegł tuż za nią, z rozzłoszczoną kotką pod pachą. Drzwi, przez które przed chwilą wypadli, otworzyły się gwałtownie i ukazało się w nich czterech mężczyzn. Wciągnęła ze świstem powietrze i pociągnęła Nicka za rękaw. Odwrócił się, widząc jej przerażony wzrok.

- Tak. Spodziewałem się ich. Chodźmy.

Ruszyli biegiem przez mroczne zaułki. Jenna z trudem łapała oddech. Strach i zmęczenie były niemal obezwładniające i gdyby nie świadomość pościgu, nie dałaby rady zrobić ani kroku. Nick przystanął na skraju niewielkiego parkingu.

- Co teraz? - wydyszała.

- Musimy zdobyć jakieś cztery kółka.

- Wezwać taksówkę?

- Ukraść samochód.

- Potrafisz?



- Skarbie, jestem szalenie utalentowany. Masz, przytrzymaj ją. -  
Podał jej Muffy. Kotka nie wyrywała się już, najwyraźniej niezbyt zachwycona okolicą, podobnie jak Jenna. Parking spowijały całkowite ciemności, jeśli nie liczyć światła rzucanego przez księżyc w pełni. Jenna aż podskoczyła, kiedy po chwili zatrzymał się obok niej samochód.

- Wskakuj - powiedział Nick, otwierając drzwiczki. Muffy wyrwała jej się i wskoczyła na tylne siedzenie. Jenna zamknęła za sobą drzwi i bezskutecznie rozglądała się za pasami.

- Pewnie pod siedzeniem - podpowiedział Nick. - To ford fairlane z 1972. Pasy nie były jeszcze wtedy tak popularne. Potrafię kraść tylko stare samochody.

- Dobrze wiedzieć. - Mogła zginąć na tyle różnych sposobów, że jazda bez pasów jakoś jej nie przerażała. Wyjechali na ulicę, kierując się na zachód. Przy skrzyżowaniu wyprzedził ich jakiś ciemny samochód. Jenna popatrzyła na niego z lękiem.

- Jesteśmy bezpieczni?

- W miarę. Szukają nas z całą pewnością, ale jak zobaczyli blazera, pomyśleli, że uciekamy pieszo. To nam daje niewielką przewagę czasową.

- To ludzie Eda?

- Prawdopodobnie. Zastanawiam się tylko, jak nas znaleźli.

- CIA. Mają swoje sposoby. - Zadrżała i rozejrzała się nerwowo.

Czuła się okropnie odsłonięta, wystawiona na strzał. Wokół panował ruch, autostradą pędziło mnóstwo samochodów. Jenna nie panowała nad nerwami. Podskoczyła, kiedy mijają ich ciężarówka.

- Dokąd jedziemy? - spytała z nadzieją, że Nick ma jakiś plan.

- W bezpieczne miejsce. Przyglądała mu się pytająco.

- Powiesz mi dokąd?

Jego uśmiech prawie rozproszył jej lęk.

- Spytałbym, czy mi nie ufasz, ale chyba znam odpowiedź.

- Znasz.

- Na wszelki wypadek, w razie gdybyśmy tam nie dotarli, lepiej, żebyś nie wiedziała, dokąd jedziemy. Pamiętasz metody Eda na

**zdobywanie informacji?**

**- Masz na myśli tortury? - Zrobiło jej się słabo na samą myśl o tym. Nick nie odpowiedział. Nie musiał.**

**Dziesięć minut później opuścili autostradę przy zjeździe do Bethesdy i zagłębili się w labirynt wiejskich wąskich dróg. Okolica stawała się coraz bardziej pusta, niemal wymarła. Jenna omal nie zaczęła obgryzać wypiełgnowanych paznokci. Wjechali wąziutką ścieżką w las. Podskoczyła gwałtownie, słysząc pohukiwanie sowy.**

**Wreszcie zatrzymali się przed małym domkiem w stylu Cape Cod. W oknach na dole i na górze paliło się światło. Jenna zaczęła się właśnie uspokajać, kiedy z cienia wynurzył się ubrany na czarno mężczyzna z wycelowaną w nich strzelbą.**

## Rozdział 27

Nick odsunął szybę i wystawił głowę za okno.

- Cześć, Baker, to ja.

Mężczyzna podszedł bliżej, przyglądając się Nickowi podejrzliwie. Opuścił strzelbę, ale tylko trochę.

- To nie twój wóz. I nie zapowiadałeś wizyty.

- Cóż, następnym razem nie omieszkać umówić się z kilkudniowym wyprzedzeniem.

Baker wahał się jeszcze przez chwilę, ale w końcu ich przepuścił. Ruszyli na tył budynku, lawirując między drzewami. Było ciemno.

- Kto tu mieszka? - spytała z ciekawością Jenna.

- Nikt. - Zaparkował obok dwudrzwiowego zamkniętego garażu. - Biuro używa czasem tego domu jako przechowalni. Różni ludzie zatrzymują się tu w razie potrzeby. - Wyłączył silnik. - Uwielbiam te stare samochody - dodał, obejmując ją ramieniem. Jenna popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Dotknął jej policzka.

- Nick... - zaczęła, ale jej przerwał.

- Mam coś do powiedzenia i chcę to powiedzieć teraz, póki mam szansę. - Dostrzegła w jego oczach czułość i isierki humoru. - Ja też cię kocham, Jenna. - Pocałował ją.

- Pamiętaj, na czym skończyliśmy - mruknął jej do ucha.

- Teraz musimy iść.

A tak. Złoczyńcy czyhający na jej życie. Z niechęcią wyswobodziła go z objęć. Była szczęśliwa. Wysiadając, uśmiechnęła się nawet do Bakera. Poczekała na Nicka, który wyciągnął Muffy z tylnego siedzenia. Do niego również się uśmiechnęła, co miało o wiele więcej sensu niż uśmiechanie się do ponurego Bakera. Nick odwzajemnił uśmiech. Serce zabiło jej szybciej. Uśmiechnęła się do Muffy, która odpowiedziała wściekłym machnięciem ogona. Noc wydawała się wyjątkowo piękna. Gwiazdy błyszcząły na aksamitnym niebie. Z okien domu padało złote przyjazne światło. Cienie rzucane przez drzewa sprawiały wrażenie, jakby tańczyły z radości. Weszli po be-

tonowych schodkach na ganek, a potem do środka, i znaleźli się w dokładnej replice kuchni domu Katharine. Jenna obrzuciła pomieszczenie osłupiałym wzrokiem. Wszystko było identyczne, każdy szczegół. Podobnie rzecz się miała z jadalnią, której fragment widziała przez drzwi.

- Nick - odezwała się zupełnie innym tonem niż poprzednio. Groźnym.

- Chryste! - szepnął, widząc jej wyraz twarzy. - Zapomniałem. Powinienem był cię uprzedzić. Specjalnie przygotowaliśmy to wnętrze, żebyś się mogła z nim wcześniej zapoznać. Mieszkałaś tu prawie miesiąc.

Jenna zaniemówiła. Popatrzyła na podłogę. Na trzydziestocentymetrowe płytki.

- Mój Boże. - Ukucnęła i dotknęła ich z niedowierzaniem. Okropna prawda dotarła do niej i zwała ją z nóg niczym fala tsunami.

- To wszystko było sfigowane. Tamtej nocy, kiedy zginęła Lisa... - wykrztusiła chrapliwie. Nick wyglądał na zmartwionego. I słusznie.

- Nie - odezwał się łagodnie i wyciągnął dłoń w jej stronę.

Jenna cofnęła się o kilka kroków, skrzyżowała ręce na piersiach i wpatrywała się w niego oskarżycielsko. Oparła się o blat, który, popatrzyła uważniej, okazał się, podobnie jak cała reszta wystroju, zaledwie tanią podróbką. Wyglądał identycznie, ale był dużo gorszej jakości. Na dodatek ktoś pomylił wielkość płytek.

- To było powtórzenie rzeczywistych wydarzeń - ciągnął Nick. - Katharine i jej przyjaciółka naprawdę zostały napadnięte wcześniej tej samej nocy. Lisa zginęła, a Katharine udało się uciec, dokładnie tak jak tobie. Dlatego też wcieliłaś się w swoją rolę miesiąc wcześniej, niż było to zaplanowane. Po tym napadzie musieliśmy działać szybko. Gdyby wtedy zginęła, wszystko poszłoby na marne. Nie mogliśmy ryzykować.

- Sterroryzowaliście mnie.

- Mnie przy tym nie było. Pojechałem karetką z prawdziwą Katharine. Podmieniliśmy was potem właśnie w szpitalu. Gdybym tylko mógł temu zapobiec, nie byłabyś ranna.

- Cóż, ale stało się. Przynajmniej dobrze, że strzelali ślepakami?

- Tak.

- Ktoś mi rozbił nos o podłogę.

- Rimaldi. On dowodził - wyjaśnił przepraszająco. -Widzisz, jedyna rzucająca się w oczy różnica w waszym wyglądzie to kształt nosa. Ona nie ma na nim tego uroczego garbka. Nie zgodziłaś się na operację plastyczną i wciąż debatowaliśmy, co zrobić. Musieliśmy podjąć decyzję natychmiast. Rimaldi wpadł na pomysł zafundowania ci opatrunku. Prawdziwa Katharine nie miała rozbitego nosa.

- Szczęściara - skomentowała z ironią. Poczula ból głowy zapowiadający powrót kolejnej fali wspomnień. Pomimo to próbowała się skoncentrować. Przypomniała sobie tamtą noc. W tym domu. Leżała w sypialni, nie mogąc zasnąć. Miała serdecznie dość wcielania się w rolę Katharine, ale postanowiła wytrwać do końca ze względu na ojca, a także na Nicka, który codziennie przyjeżdżał sprawdzać jej postępy. Szalała za nim, choć za nic by się do tego nie przyznała.

Nagle na dole rozległy się jakieś hałasy. Nie zdążyła wstać, kiedy do jej pokoju wpadło kilku agentów. Powiedzieli jej, że zaistniały nieprzewidziane okoliczności i trzeba przyspieszyć akcję. Potem przyszedł doktor Feah i zrobił zastrzyk, po którym najpierw ogarnęła ją panika, a potem wielki spokój i poczucie bezpieczeństwa. Zapadła w sen i obudziła się jako Katharine, widząc nad sobą zamaskowanego mężczyznę, który włamał się do jej domu.

Dotyk ciepłej dłoni Nicka sprawił, że wróciła do rzeczywistości.

- Wszystko w porządku? - Jego oczy płonęły niepokojem.

- Nie. - Zmierzyła go ponurym wzrokiem. - Z pewnością nie można tak powiedzieć. A ten drugi atak? Po wyjściu ze szpitala? Też był zaaranżowany?

Nick potrząsnął głową.

- Ten, kto cię zaatakował, naprawdę myślał, że jesteś Katharine Lawrence.

- Bizuteria, której rzekomo szukali... Mój spadek, za który kupiłam ten pierścionek... To wszystko kłamstwo, prawda? Ten mały

doktorek wtłoczył mi to do głowy.

Nick miał przeproszącą minę.

- Widzisz, nie znaleźliśmy powodów pierwszego napadu, ale podejrzewaliśmy, że ma coś wspólnego z tym, iż Barnes szantażował połowę miasta. Domyśliłem się, że ukrył dowody w sejfie, o którym Katharine nie miała pojęcia, a ktoś chciał je zabrać. Ale teraz... - Przerwał na chwilę, jakby odpędzając dokuczliwe myśli. - Ty miałaś odegrać rolę niewinnej Katharine, niczego nieświadomej, niewspółpracującej z FBI, a nie mogliśmy zatuszować włamania i morderstwa, ponieważ lokalna policja zjawiała się na miejscu. Musieliśmy wymyślić jakieś wyjaśnienie napadu, które nie wzbudziłoby podejrzeń Barnes'a i policji. Potrzebowaliśmy wiarygodnej wersji, żebyś mogła ją powtarzać z przekonaniem. Zdecydowaliśmy się posłużyć zdjęciem Katharine z „Postu”. Rzekomy spadek to tak naprawdę zapłata dla Katharine od FBI, za informacje. Przykrywka, na wypadek gdyby Barnes sprawdził jej konto.

- Boże...

Nagle rozmowę przerwał wesoły kobiecy głos.

- Usłyszałam, że ktoś przyszedł. To ty, Nick? Co tu robisz tak późno?

Kobieta, która weszła do kuchni, była odrobinę wyższa od Jenny i wyglądała na bardziej wysportowaną. Miała na sobie granatową spódnicę i białą rozpinaną koszulę z krótkim rękawem. Miała również broń przypiętą do paska, ale nie to poruszyło Jennę. Oczy agentki i jej włosy miały ciepły orzechowy kolor. Wydawały się znajome, podobnie jak rysy twarzy. Nagle Jenna doznała olśnienia. Upewniła się, zobaczywszy tatuaż z motylkami na lewej kostce kobiety.

- Lisa - szepnęła.

- Specjalna agentka Mary Slater - poprawiła ją Mary, a potem zwróciła się do Nicka: - Nie powinieneś jej tu przywozić.

- Odgrywała rolę Lisy - wyjaśnił Nick. Popatrzył na koleżankę. - Póki to wszystko się nie skończy, nie spuszczę oka z Jenny. Zbyt



wielu ludzi na nią poluje.

- Chyba na mnie.

W progu stanęła jeszcze jedna kobieta. Jenna odniosła dziwne wrażenie, jakby patrzyła w lustro, podobieństwo było niesamowite. Niewątpliwie miała przed sobą prawdziwą Katharine Lawrence. Nie mogła przestać się w nią wpatrywać w osłupieniu. W przeciwieństwie do niej, Katharine nie okazała zainteresowania. Rzuciła jej jedynie przelotne spojrzenie. Najwyraźniej posiadanie sobowtóra nie robiło na niej wrażenia. Z pewnością od dawna znała sytuację i aktywnie w niej uczestniczyła. Któż inny mógłby dostarczyć wszystkich niezbędnych informacji dotyczących jej życia, zwyczajów?

- Witaj, Katharine - odezwał się Nick, a ton jego głosu sugerował, że bliźniaczka Jenny nie budzi jego sympatii.

- Dobrze, że wstałaś. Muszę ci coś pokazać.

- Oczywiście, że wstałam. Mam zszarpane nerwy. Myślisz, że dobrze sypiam? Oglądam całymi godzinami telewizję, bo w tej dziurze nie ma nic innego do roboty.

- Odwróciła się na pięcie i odeszła, rzucając jeszcze przez ramię: - Oglądam Lettermana. Jeśli masz mi coś do pokazania, przyjdź do salonu.

- Księżniczka ma zły humor - szepnęła Mary, przewracając oczami, i poszła za Katharine.

Nick wykrzywił się, lecz również podążył za Katharine. A Jenna za Nickiem.

Katharine usiadła na kanapie, jawnie ich ignorując. David Letterman przeprowadzał wywiad z Drew Barrymore. Nick wyłączył telewizor.

- Oglądałam to, do cholery!

- Włączysz z powrotem, jak tylko się dowiem, co to jest. - Pokazał jej przenośny dysk.

Katharine otworzyła szeroko oczy. Przez chwilę sprawiała wrażenie wystraszonej, potem zrobiła obrażoną minę. Skrzyżowała ręce na piersiach.

- Znalazłeś. No i co z tego?

- Co to jest?

Wydeła usta i parsknęła pogardliwie. Założyła nogę na nogę.

- Przenośny dysk.

- Tyle wiem. Powiedz mi to, czego nie wiem. Jenna podziwiała jego cierpliwość. Jedyne zaciśnięte usta i oczy rzucające iskry wskazywały, ile go kosztowała ta rozmowa.

- To zabezpieczenie.

- Jakie zabezpieczenie? - Nie doczekał się odpowiedzi.

- Bez mojej opinii nie dostaniesz reszty pieniędzy i wypadniesz z programu ochrony świadków. Odpowiadaj.

- Zawsze mi grozicie! - wybuchnęła Katharine. - Rzykuję własne życie, a wy mi jeszcze grozicie. Jak myślisz, czemu to zgrałam? Żeby się upewnić, że wywiążecie się ze swojej części umowy. Możecie się wszyscy wypchać.

- Mam zamiar to zaraz zobaczyć na służbowym komputerze, na górze. Chcesz mi coś wcześniej powiedzieć?

- Goń się - odparła Katharine, nie odrywając wzroku od czarnego ekranu telewizora.

Nick zacisnął usta i wymienił spojrzenia z Mary. Poszedł na górę, a Katharine włączyła z powrotem telewizor.

- Przy okazji - chciałabym odzyskać swój pierścionek - powiedziała, wyciągając rękę w stronę Jenny.

- Naturalnie. - Jenna zdjęła szafir z palca i oddała go właścicielce.

- I kolczyki - dodała tamta, wciąż patrząc w ekran. Schowała biżuterię do kieszeni szlafroka. Jenna wycofała się w kierunku drzwi.

- Nie oglądasz Lettermana? - spytała ironicznie Mary.

Jenna potrząsnęła przecząco głową. Muffy weszła do salonu i zaczęła się ocierać o nogi Katharine, ale ta odepchnęła kotkę z niechęcią.

- Cholerny zwierzak!

Oglądanie samej siebie zachowującej się w ten sposób nie było przyjemne. Jenna poszła na górę, do Nicka. Siedział w mniejszej, gościnnej sypialni, w niczym nieprzypominającej luksusowo

**urządzonego pokoju w domu Katharine. Ta tutaj wyglądała bardziej na nowocześnie wyposażone biuro. Nick pochylał się nad monitorem. Ścisnął zbleiałymi palcami krawędź biurka. Wyglądał, jakby zobaczył ducha. Nagle z dołu dobiegł ich przeraźliwy krzyk kobiety, a po nim nastąpiła seria strzałów.**

SR

## Rozdział 28

Podskoczyli jednocześnie, wpatrując się w osłupieniu w drzwi.

- Uciekaj, Katharine! - krzyczała Mary.

Rozległy się kolejne strzały i następny przeraźliwy krzyk.

- Nie! Błagam, n... - rozległ się głos Katharine przerwany pojedynczym wystrzałem.

Jenna poczuła, jak serce w niej zamiera. Nie sposób było nie odgadnąć, co się stało. Zapadła śmiertelna cisza. Któraś z kobiet została zastrzelona. Gdyby Mary przeżyła, chyba by strzelała? Może się ukryła albo ktoś ją trzyma na muszce. Tak czy inaczej napastnicy wciąż są w domu.

- Jezus. - W głosie Nicka wyczuła strach. Ruszył ostrożnie do drzwi, ściskając w dłoni pistolet. Skinął ręką, by do niego podeszła. Przyłożył palec do ust i szepnął jej do ucha:

- Muszę pomóc Mary, ale nie mogę cię zostawić samej. Trzymaj się blisko mnie. Rób, co ci każe i wtedy, kiedy ci każe.

Bez słowa skinęła głową. Wyszli cicho na korytarz i dotarli do szczytu schodów, wciąż nikogo nie widząc. Słyszeli jedynie śmiech dochodzący z telewizora. Czyżby włamywacze wiedzieli o ich obecności i czekali na nich na dole? Jenna panicznie się tego bała. Ruszyli na dół, trzymając się jak najbliżej ściany. Na razie nie zauważyła nic szczególnego, w holu wszystko wyglądało jak wcześniej. Tylko ta atmosfera zagrożenia i zapach prochu. U podnóża schodów Nick zawahał się przez chwilę. Jenna, która stała tuż za nim, spojrzała ponad jego ramieniem i zamarła ze zgrozy. Zobaczyła szczupłą opaloną nogę na kolorowym dywaniku w orientalne wzory. Tylko tyle. Ale wiedziała, że to Katharine. Czy była martwa? Nie poruszała się. Jenna odetchnęła głośno.

- Ciii - upomniał Nick.

Zeszli z ostatniego stopnia i teraz widziała już cały salon. Katharine leżała na boku, oczy miała szeroko otwarte i nieruchome. Na środku czoła widniał mały otwór po kuli. Głowa spoczywała w

kałuży krwi.

Rany wylotowe są zawsze gorsze...

Zakreśliło jej się w głowie, kolana się pod nią ugięły. Mocniej chwyciła za ramię Nicka. Odwrócił się, by na nią spojrzeć, dokładnie w chwili, kiedy kula skierowana w jego głowę utkwiała w ścianie. Oboje pochylili się instynktownie. Jenna krzyknęła.

- Nie podnoś głowy. - Nick wysunął się przed nią i oddał kilka strzałów w stronę ubranego na czarno mężczyzny, który cofnął się tak szybko, że nie mogła dokładnie mu się przyjrzeć. Ktoś jęknął. Czyżby Nick trafił? Dał jej znak, by wybiegła na zewnątrz przez frontowe drzwi. Sam osłaniał tyły, rozglądając się na wszystkie strony. Zerknęła jeszcze raz w stronę salonu. Zobaczyła leżącą nieruchomo Mary. Złapała za klamkę i szarpała się z nią przez chwilę. Usłyszała krzyk Nicka i zamarła.

- Jesteś ranny?

Stał odwrócony do niej tyłem i strzelał do drugiego napastnika, który schronił się w salonie.

- Biegnij do samochodu - powiedział tak, żeby tylko ona usłyszała. Wyskoczyła na ganek i pognęła w stronę auta. Rozglądała się wokół lękliwie.

Nick został w tyle. Biegł z trudem, pochylony. Zdała sobie sprawę, że jest ranny. Chciała zawrócić, żeby mu pomóc. Nagle ktoś złapał ją za ramię. Wrzasnęła z całych sił.

- Cześć, skarbenku - usłyszała obrzydliwy znajomy głos. Ed. Zatopiła paznokcie w jego ręce i wyrywała się rozpaczliwie, póki nie przystawił jej do skroni pistoletu.

- Przestań albo rozwalę ci głowę.

- Puszczaj ją, Barnes! - zawołał Nick.

- Rzuć broń - zażądał Ed. Nick celował w jego głowę.

- Gwarantuję ci, że ona zginie przede mną.

- Tak czy inaczej będziesz martwy.

Ed zachichotał. Za Nickiem pojawiło się pół tuzina ciemnych sylwetek.

- Nick, za tobą! - krzyknęła Jenna.

Odwrócił się, a powietrze wokół eksplodowało. Jenna upadła na ziemię. Zobaczyła gwiazdy i poczuła zapach prochu.

- Jezu Chryste - usłyszała przestraszony głos Nicka. Klęczał przy niej, sprawdzając jedną ręką, czy nie jest ranna, drugą przyciskał do boku w niepokojący sposób.

Jenna jęknęła. Za sobą zobaczyła rozciągnięte na trawie ciało Eda. Odwróciła oczy, nie chcąc na niego patrzeć.

- Nic mi nie jest. - Usiadła. - Nie strzelił. Byłeś szybszy.

- To nie ja strzeliłem do Barnes'a. Za nic w świecie nie podjąłbym takiego ryzyka.

- To ja go zastrzeliłem - odezwał się jakiś głos z ciemności. Jenna przyglądała się z niepokojem wysokiemu potężnie zbudowanemu mężczyźnie, nie wiedząc, czy to przyjaciel, czy wróg. - Drań zasłużył na śmierć.

- Hej, Keith - powitał go Nick. - Co tak długo? Zachwiał się i zemdlął prosto w ramiona Jenny.



## Rozdział 29

Nick obudził się w karetce. Światło go raziło, więc nie otworzył całkiem oczu. Jeszcze nie ruszyli, domyślił się więc, że zabierają jeszcze kogoś. Miał nadzieję, że Mary Miał nadzieję, że przeżyła. Leżał na noszach, bez koszuli, okryty prześcieradłem, z opatrunkiem w okolicy obojczyka. Rana nie była poważna, ale cholernie bolała.

Obok niego siedział Keith z pobladłą twarzą i żalospną miną.

- Gdzie Jenna? - chciał wiedzieć Nick.

Nie lubił jej tracić z oczu. Postarzał się o tysiąc lat przez te minuty, kiedy Barnes trzymał ją na muszce. Wiedział równie dobrze jak on, że nie zdołałby go zabić, nie ryzykując życia Jenny. Odłożenie broni również nie wchodziło w grę. Gdyby nie Keith, Jenna już by nie żyła. Podobnie jak on, ale ta myśl nie wydawała się aż tak straszna. Jenna była miłością jego życia.

- Jest w środku. Sanitariusze sprawdzają, czy nic jej się nie stało.

Dopiero teraz zauważył - Keith mierzył do niego z czarnej beretty zaopatrzonej w tłumik.

- Chcesz mnie zabić? - odezwał się tonem przyjacielskiej pogawędki.

Keith uśmiechnął się smutno.

- Dowiedziałeś się. Wiedziałem, że to nastąpi. Od momentu kiedy zjawileś się w moim domu po śmierci Allio. Uparłeś się, żeby mnie zniszczyć, ty draniu.

Nick poczuł zimny dreszcz na plecach.

- Barnes założył ci podsłuch w domu. Wiedziałeś? Pewnie tak się dowiedział o nałogu Allie. Ale dostał mu się o wiele lepszy materiał. Ukryta kamera nagrała, jak zamordowałeś moją siostrę.

- Wiem. Katharine Lawrence powiedziała mi, że trafiła na nagranie, szperając w jednym z komputerów Barnes'a. Szantażowała mnie. Głupio robiła. Posłałem do niej ludzi, żeby odzyskali zapis, ale pokpili sprawę. Nic nie znaleźli w sejfie. Następnego dnia ponowiłem próbę, ale ten idiota nie zorientował się, że Katharine jest już u nas, i

próbował coś wydusić z twojej dziewczyny. Tak z ciekawości - gdzie to było?

Nick uśmiechnął się ponuro.

- Przy obroży jej kota.

Keith zaniemówił ze zdumienia.

- Żartujesz? Nigdy bym się nie domyślił.

- Pewnie nie. - Nick zdołał oswobodzić się niepostrzeżenie z pasów, którymi był przypięty do noszy. - Powiedziałaś Barnesowi, gdzie się zatrzymamy? To musiałeś być ty, nikt inny nie wiedział.

- Nie miałem wyjścia. Barnes odkrył w szpitalu nagranie z tobą i naszą małą fałszywą Katharine. Domyślił się, że depczemy mu po piętach. Przyszedł do mnie dwie godziny temu z cholernym zapisem śmierci Allie. Musiałem mu podać wszystkie adresy. - Keith uśmiechnął się z triumfem. - Nie wiedział, że go przechytryłem: miałem zamiar pozwolić mu zabić ciebie i Katharine, a potem go wykończyć. Byłoby po kłopotach. Ale mu się nie udało, więc ja to zrobię.

- Wcale nie musisz, Keith.

- Ależ tak. Wiesz, że kochałem cię jak brata. Wolałbym tego uniknąć, ale znam cię - nigdy nie odpuszczasz. Skoro mam wybierać między tobą a mną - wybieram siebie. Chciałbym, żebyś wiedział... Nie planowałem zamordowania Allie. Powiedziała mi, że ktoś ją szantażuje przez te cholerne narkotyki, i coś we mnie pękło. Nie mogłem już dłużej tego znieść. Wiecznego zamartwiania się, gdzie jest, co robi i co będzie, jak ktoś się o tym dowie. Nie zdajesz sobie sprawy, jakie to było piekło.

Keith wstał. Nick poczuł przyływ adrenaliny. Teraz. To jego ostatnia szansa!

- Muszę już iść. Przykro mi, stary. - Keith uniósł broń i wystrzelił. Nick uskoczył, a kula przeszła poduszkę. Rzucił się na Keitha. Pistolet uderzył ze szczękiem o podłogę. Keith stracił przytomność, a Nick wezwał pomoc. Popatrzył na nieruchomą twarz szwagra.

- To za Allie, łajdaku.

Minął tydzień. Nick był już w domu, karmił Billa i Teda. Musiał

kupić dla nich akwarium ze względu na nową współlokatorkę. Rybki nie miały nic przeciwko Jennie, za to nie przepadały za kotką. Muffy, zaadoptowana przez Jennę po śmierci Katharine (Mary na szczęście przeżyła), nie rozumiała, że rybki były tu wcześniej, a więc należy je traktować z szacunkiem. Spędzała całe dni, wpatrując się łakomie w Billa i Teda, póki Nick nie przeprowadził ich z kuchni do gabinetu. Rybki nie lubiły uporczywego spojrzenia Muffy.

- Nick! - zawołała Jenna z salonu. - Musimy się pospieszyć, bo się spóźnimy.

Jechali po jej ojca, który dziś wychodził z więzienia. Przez parę dni, dopóki nie znajdzie czegoś innego, Mike Hill będzie mieszkał z rybkami w gabinecie. Nick musiał przyznać, że nie zachwyciła go perspektywa mieszkania z przyszłym teściem, ale gotów był na wszelkie poświęcenia, aby być z Jenną. Ukląkł więc i oświadczył się jak należy.

- Nick!

- Idę!

Włożył marynarkę (rękę wciąż miał w gipsie). Jego wzrok spoczął na fotografii obok akwarium. Została zrobiona trzydzieści lat temu. Przedstawiała jego samego jako szczerbatego blondynka i Allie, która obejmowała go, stojąc z tyłu. Oboje uśmiechali się radośnie. Nick patrzył na swoją starszą siostrę, która go kochała i opiekowała się nim tak długo, jak mogła. Nosił jej obraz głęboko ukryty w sercu. Odwrócił się i wyszedł z gabinetu, zamykając drzwi. Za tydzień wróci do pracy i wszystko wróci do normy, o tyle, o ile to możliwe z trzema nowymi domownikami. Zacznie się nowy etap. Czeka na niego mnóstwo papierkowej roboty związanej z procesem Keitha i zamknięciem sprawy Barnes'a. A potem będą nowe śledztwa i następni przestępcy do złapania. Oraz mnóstwo innych rzeczy, którymi trzeba się zająć.

Włączając w to jedną, podstawową - dbanie o to, by ten świat był bezpiecznym miejscem dla Billa i Teda.